



TOMASZ BIAŁKOWSKI

KRÓL TYRU

lesiojot

Pamięci mojej matki

TOMASZ BIAŁKOWSKI

KRÓL TYRU

SZARA GODZINA

Prolog

11 grudnia 2006, poniedziałek

Dzień zapowiadał się doskonale. Białe słońce niezdarnie przebijało się przez ciężkie, gęste gałęzie świerków i sosen. Drzewa tworzyły ruchomy, falujący tunel, w którym wolno posuwał się przybysz. Ranek był, jak na tę porę roku, wyjątkowo ciepły. Pierwszy śnieg miał spaść dopiero za kilka dni. Prognozy meteorologów były w tym wypadku jednoznaczne. Najbliższe dni miały stanowić doskonałą zachętę do ruchu na świeżym powietrzu. Potem należało się spodziewać obfitych opadów śniegu i silnego mrozu. Teraz zaś zmrożone igliwie trzaskało pod masywnymi trzewikami mężczyzny, który pokonywał kolejny kilometr drogi. Wysoki, barczysty, z gęstą brodą ciągle ciemnych włosów, w dłoniach ścisnął kijki do coraz modniejszego nordic walking. Na chwilę przystanął, by odpocząć, bo kilkugodzinny marsz po leśnych ścieżkach dla sześćdziesięciolatka nie należał do łatwych wyzwań. Nawet pomimo wieloletniego doświadczenia, jakie nabył, obchodząc wszerek i wzdłuż ukochane Mazury. Wędrowiec z niewielkiego plecaka wydobyl termos z owocową herbatą i popijając małymi łykami, z uwagą wpatrywał się w mapę okolicy. Wszystko się zgadzało. Mężczyzna znajdował się w przygranicznym pasie oddzielającym Polskę od Rosji. Wczesnym rankiem wyszedł z gospodarstwa agroturystycznego w Janach, gdzie wynajmował od tygodnia przytulny pokój u młodego małżeństwa, które porzuciło wielkomiejskie życie i zdecydowało się na stały pobyt w tej surowej, ale pięknej

krainie. Kierując się na północ, dotarł polną drogą przez las w okolice Rapy. Był już prawie u celu wycieczki. Podróżnik ze stolicy przetarł chusteczką zroszone potem czoło, poprawił polarową czapkę z daszkiem, *schował* termos, sprawdził zapięcia plecaka i ruszył w dalszą drogę. Czuby błyszczących kijków dziurawiły martwe liście, które czasem zostawały na metalowych szpikulcach. Wędrowiec zdierał je wówczas butem i mrucząc pod nosem niezrozumiałe kwestie, szedł dalej. W pewnej chwili zatrzymał się i triumfalnie uniósł kijki nad głowę. Uradowany krzyknął w kierunku drzew, z których natychmiast wyfrunęło stado ciemnych ptaków. Był u celu drogi.

Przed nim w niewielkiej odległości, nieznacznie skryta w gęstym drzewostanie, stała wspaniała piramida. Pomimo swych blisko szesnastu metrów wysokości tkwiła pod leśnym baldachimem. Wędrowiec zadarł głowę, dostrzegł stado ciągle szybujące po bezchmurnym niebie. Pomyślał, że nawet ono, z góry, nie mogło widzieć tej wspaniałej budowli. Może to i lepiej, że jest tak ukryta, pomyślał wędrowiec, nie lubię tłumów. Cały dzień będziemy tylko my dwoje. Ja i grobowiec rodu Fahrenheitów. Mężczyzna ponownie zdjął plecak, z którego wydobyl aparat fotograficzny. Ruszył w kierunku niezwyklej budowli, która na tym bezludziu gdzieś w środkowej Europie robiła niezwykle wrażenie. Podróżnik wiedział o niej wiele. Jak chociażby to, że właściciel tych ziem, baron Friedrich von Fahrenheit, był podróżnikiem, a przy tym miłośnikiem i mecenasem sztuki. Studiował w Królewcu, gdzie wysłuchiwał wykładów filozofa Kanta. Podczas swych podróży zetknął się z kulturą Egiptu, którą rozpropagował Napoleon. To wówczas baron postanowił wybudować w swym majątku piramidę - grobowiec. Zadanie zlecił duńskiemu rzeźbiarzowi Thorvaldsenowi. Wkrótce budowla zaczęła piąć się ku niebu. W roku 1811 była gotowa. Tego też roku złożono w jej wnętrzu pierwsze ciało. Jakże tragiczna musiała to być ceremonia!, pomyślał mężczyzna. Były to bowiem zwłoki trzyletniej córeczki Fahrenheita - Ninette.

Wędrowiec stanął przed piramidą. Zrobił zdjęcie

zamurowanego wejścia. Ruszył na prawo. Obchodząc budowlę, dotknął każdego z „kamieni mocy”, przystawał przy okratowanych okienkach, wykonywał kolejne fotografie. Wnętrze piramidy wypełniał mrok. Wiedział, że przez to nie uda mu się zrobić dobrego zdjęcia.

Mimo wszystko umieścił aparat w otworze okiennym, wcześniej ustawiając opcję z błyskiem. Nacisnął przycisk cyfrowego aparatu, drugi raz, trzeci... Wyczytał w przewodniku, że podczas wojny grobowiec sprofanowali żołnierze sowieccy. Dopiero kilkanaście lat temu wewnątrz piramidy uporządkowano. Trumny członków rodu Fahrenheitów były teraz zamknięte. Podróżnik zerknął na niewielki monitor i w tej samej chwili wypuścił aparat z ręki. Drżącymi dłońmi podniósł go z trawy, przetaił szkło. To co zobaczył przeraziło go do tego stopnia, że wydobył z kieszeni spodni telefon komórkowy i na klawiaturze nokia wystukał trzy cyfry. Po chwili łamiącym się głosem powiedział:

- Panie posterunkowy, nazywam się Zaremba. Adam Zaremba. Jestem w Rapie, a konkretnie - przy piramidzie Fahrenheitów. Proszę o przysłanie radiowozu. Stało się tu coś strasznego. Nie potrafię o tym mówić.

Po chwili schował telefon do kieszeni, jeszcze raz sięgnął po aparat i obejrzał zdjęcia. Potem skierował wzrok w czerń okratowanego okna. Patrzył na nie, czując, jak krew odchodzi mu z twarzy. W następnym momencie pojął, że jego pobytowi - prócz lęku - towarzyszy coś jeszcze. Cóż to takiego?, zastanawiał się, nerwowo rozglądając się na boki, w las. Już wiedział. Jego nozdrza, a zaraz potem włosy, twarz, ubranie, liście, powietrze, słowem wszystko, wypełniał smród spalenizny. Przybysz nie miał wątpliwości. Taki fetor wydzielalo jedynie spalone ludzkie ciało.

12 grudnia 2006, wtorek

Więc tak to będzie kiedyś wyglądało, pomyślał Paweł Werens, patrząc na stół ustawiony po środku dużego pokoju wypełnionego mrokiem. Plastikowe talerzyki, kubki i sztucce. Mdła papka udająca jedzenie. Wszystko po to, żeby nie zrobił sobie większej krzywdy. Tylko czy można doświadczyć większego nieszczęścia? Siedział na skrzypiącym krześle. Obję mował dłońmi skronie. Samotny mężczyzna ze zmęczoną twarzą i łzami w oczach. Moje trzydzieste trzecie urodziny!, powtórzył w myślach. W pokoju panowała grobowa cisza.

- Nie, tato! - powiedział wreszcie i skierował wzrok na postać mającą po drugiej stronie stołu. Po czym dodał całkiem głośno: - Ciebie już wtedy przecież nie będzie. Będę siedział przy tym stole sam. Moja samotność będzie za to podwójna. Tak jak i szaleństwo! Ta choroba jest często dziedziczna. Tak twierdzą lekarze...

Ojciec ciągle milczał.

Paweł patrzył na niego w skupieniu.

Miesiąc wcześniej zabrał ojca z ośrodka terapii zaburzeń pamięci. Choroba Alzheimera rozwijała się coraz bardziej. Doskonale mu to wtedy wytłumaczył opiekujący się starym Werensem lekarz, z którym przeprowadził długą *rozmowę w sterylnie czystym gabinecie*.

- Jak pan wie - zaczął uprzejmie medyk - u pańskiego ojca stwierdzono zespół otępienny. To choroba mózgu, która stale postępuje. Musi pan wiedzieć, że co dziesiąty człowiek w wieku pańskiego ojca zapada na tę ciągle jeszcze nie do końca zbadaną chorobę. A połowa z tych dziesięciu procent to chorzy

na Alzheimera. Wykonaliśmy tak zwaną krótką skalę oceny stanu psychicznego, polegającą na badaniu orientacji w czasie i terenie, kolejne testy sprawdzały zapamiętywanie, liczenie, pisanie i kopiowanie. Nie będę tu wymieniał wszystkich przeprowadzonych badań, bo bym pana zanudził i zamiast sprawę rozjaśnić, tylko ją skomplikował. Drugim zadaniem, jakie otrzymał pański ojciec, był test rysowania zegara. - Lekarz sięgnął do szuflady po kartki papieru, które położył przed Werensem.

Pierwsza z kart przedstawiała narysowaną kredką tarczę zegara z liczbami i wskazówkami ustawionymi na godzinę drugą. W prawym górnym rogu Werens dostrzegł datę: 02.06.2006. Lekarz zabrał kartkę i podsunął mu kolejną. Przedstawiała również tarczę, ale z rozmazanymi liczbami bez wskazówek i oznaczona była datą 02.09.2006. A zatem badanie wykonano trzy miesiące później. To, co zobaczył na trzeciej, załamało go zupełnie. Na wykonanym przed trzema dniami rysunku było tylko jakieś wygięte w prawą stronę jajo mające symbolizować tarczę, brakowało zupełnie liczb, a wskazówki, nie wiedzieć czemu, były trzy.

Lekarz schował kartki, wolno mówił dalej:

-Tak to wygląda. Planowanie, myślenie abstrakcyj- no- pojęciowe, procesy wzrokowo-przestrzenne, wszystko uległo znacznemu pogorszeniu. Pański ojciec jest ciężko chory. Nastąpiły zaburzenia wyższych czynności nerwowych. W szczególności daleko posunięta jest agnozja.

- Co to za choroba? Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. - Werens nerwowo pocierał dłonie.

W odpowiedzi lekarz wyjaśnił mu, na czym to polega. Agnozja wzrokowa, bo z taką mieli tu do czynienia, to ślepotą psychiczną. Chory ma uszkodzoną korę mózgową w miejscach odpowiedzialnych za scalanie zdarzeń.

- Czy mój ojciec rozpoznaje przedmioty? - zapytał rzeczowo.

- Tak, ale za pomocą innych niż wzrok zmysłów - odparł lekarz.

- Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, czy była jakaś przyczyna? Dlaczego to spotkało właśnie mojego ojca?

- Pan pyta o przyczynę, ale tak naprawdę chce *pan* wiedzieć, czy to nie pańska wina, prawda? Czy mógł pan temu zapobiec. Otóż, zapewniam pana, że nie ma w tym, co się stało, niczego, co by pana obciążało. Nie ma leczenia przyczynowego tej choroby. Ona pojawia się niespodziewanie i zaczyna przejmować ciało i duszę chorego.

- Duszę?

- Tak. Osobowość pańskiego ojca uległa zmianie. Zaczął mieć urojenia. Rozmawia z jakimiś wymyślonymi postaciami. Odczuwa lęk przed sobą tylko wiadomymi rzeczami, może ludźmi?

- Czy boi się również mnie? - Werens w skupieniu czekał na odpowiedź.

- Panie Pawle, pański ojciec ma ciężkie zaburzenia poznawcze. Nie ma rozeznania co do nabytych doświadczeń i aktualnych wydarzeń. Jego pamięć praktycznie nie działa. Nie wie, jaki mamy teraz rok, miesiąc, dzień... Nie potrafi zebrać myśli, by cokolwiek zaplanować. Inna sprawa, że niewiele potrafi już zrobić samodzielnie.

- Ma pan na myśli higienę?

- Już dawno przestał trzymać mocz.

Werens zakrył twarz dłońmi. Czuł, że łzy napływają mu do oczu. W następnej chwili przestał kontrolować emocje i rozplakał się niczym dziecko.

Lekarz odczekał, aż przestanie płakać, podał mu papierowe chusteczki. Robiąc to, przytrzymał na chwilę jego ramię. Werens powoli dochodził do siebie. A kiedy już odzyskał względny spokój, spojrział w oczy lekarza i powiedział:

- Chcę go zabrać do domu. Jestem mu to winien.

- Czy pan wie, na co się porywa? Ta decyzja wywróci do góry nogami pańskie życie.

- Podjąłem już decyzję. Nie zmienię jej. Proszę powiedzieć, co mam podpisać? Czy może mi też pan podać kontakt do jakiejś organizacji zajmującej się pomocą chorym na Alzheimer'a?

Ta rozmowa odbyła się miesiąc wcześniej. Teraz siedzieli z ojcem przy stole i świętowali urodziny Pawła. Rzeczywiście, wiele się zmieniło w ciągu tego miesiąca. Pierwsza decyzja, jaką

podjął Werens, wiązała się z przeprowadzką z Warszawy do rodzinnego miasta. Z redakcji gazety zwolnił go jego szef, podły typ o nazwisku Durski, po tym, jak wyszła na jaw afera z rzekomą rozwiązłością Pawła. W istocie skompromitował go niepozorny stażysta, który przesłał do redakcji zdjęcie nagiego Pawła z nieletnią dziewczyną. Cóż z tego, że owa nieletnia okazała się całkiem dorosłą osobą, a między nimi do niczego nie doszło. Werens stracił robotę. Inna sprawa, że od jakiegoś czasu ta praca zupełnie go nie pociągała. Odszedł więc bez większego żalu. Sprzedał warszawskie mieszkanie i ruszył na północ, gdzie życie było dużo tańsze, a pieniądze, jakie uzyskał ze sprzedaży, mogły starczyć na bardzo długo. Willa po stryju przy ulicy Fałata stała przez te miesiące pusta. Werens nie miał pomysłu, co z nią zrobić? To, co się w niej wydarzyło, okrutny mord, skutecznie odstraszało go od zamieszkania w wielkim, pustym domu. Nie myślał, co będzie potem. Ważny był jedynie ojciec. Paweł postanowił zrobić wszystko, by odchodzenie ojca z tego świata było godne. Był też coś mu winien. To on, jako młody chłopak, uczestniczył w tragicznym wypadku, w którym zginęła matka i brat. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, że przecież jego ojciec odczuł tę stratę dużo mocniej. Zginęła jego żona i syn... To musiało mieć wpływ na dalsze jego życie. Ojciec nie znalazł sobie innej kobiety. Starzał się w samotności. Werens w tym czasie był daleko. Robił błyskotliwą karierę dziennikarza śledczego. Wpadł na trop sekty kainitów. Zdemaskował ich przywódcę - komunistycznego generała Szuberta. Stoczył z nim bitwę, która skończyła się tragicznie. Ludzie generała zamordowali stryja Pawła i jego żonę. Zginęło też wielu innych ludzi. Werens kroczył szlakiem, którym tuż za nim podążała śmierć. Kto wie, może śmierć upodobała sobie jego rodzinę już wtedy, gdy najbliżsi znikali w wodnym nurcie? Po powrocie do rodzinnego miasta Paweł skierował kroki do mieszkania ojca, które przez ostatnie lata wynajmowali studenci. To, co zastał, wprawiło go w zdumienie i zwyczajną złość. Piękne mieszkanie było mocno zdewastowane. Młodzi ludzie, których było zdecydowanie więcej niż widniało w umowie najmu, akurat urządzili sobie huczną imprezę. Jak się

wkrótce zorientował, była to jedna z cyklicznych zabaw, podczas których alkohol lał się strumieniami, a obyczaje ulegały znacznemu rozluźnieniu. Werens w kłębach dymu dotarł do dudniącego zestawu stereo i ku zaskoczeniu tańczącej młodzieży wyłączył wzmacniacz. Nie wchodząc w szczegóły, oznajmił, że zrywa umowę w trybie natychmiastowym. Lokatorzy mieli tydzień na opuszczenie mieszkania. Gdy zaczęli protestować wskazał zdewastowane sprzęty. Skala zniszczeń prawdopodobnie wprawiła w zdumienie samych protestujących, bo po półgodzinie z licznej grupy pozostała para głównych najemców w osobach długowłosego młodzieńca i szczupłej dziewczyny z fioletową grzywą włosów. Przeprosili Werensa i próbowali wynegocjować dłuższy termin pobytu. Pokazał im urwaną umywalkę w łazience. To przeważyło. Po pięciu dniach zniknęli, zostawiając zrujnowane mieszkanie i wszechobecny smród tytoniu. Wtedy to Werens skontaktował się ze stowarzyszeniem alzheimerowskim i poprosił o pomoc w przystosowaniu mieszkania dla chorego ojca. Wynajął świetną ekipę remontową, która pracowała w imponującym tempie od świtu do zmroku. Zaczął od pokoju dla ojca. Kupił duże, wygodne łóżko z materacem przeciwodłęzynowym. Po bokach kazał zamontować uchwyty ułatwiające podnoszenie się i wstawanie. Zamontował też przycisk do światła, telefon z prostym wybieraniem numeru. Kupił wygodny fotel i stołeczek pod nogi poprawiający krążenie krwi. Z pokoju usunął ze szklanymi szybami i stół, który również miał szklany blat. W to miejsce wstawił bezpieczne meble o zaokrąglonych kształtach. W całym mieszkaniu kazał ułożyć panele, a dywany, i tak już zniszczone przez tabuny lokatorów, zwyczajnie wystawił obok śmietnika. Ekipa układająca podłogę zlikwidowała progi między pokojami, by ojciec nie zaczepiał o krawędzie. Kazał usunąć w całym mieszkaniu drzwi, a przy wejściowych zdjął zasuwkę. Bał się, że ojciec pod jego nieobecność zamknie się od środka. Nie zapomniał o kuchni i łazience. Ostre narzędzia kuchenne zabezpieczył w szufladach. Podobnie zrobił z naczyniami, które mogłyby się potłuc, a ich kawałki stać się niebezpieczne. W łazience zamontował uchwyty podobne do

tych z sypialni. Kupił antypoślizgowe maty, w wannie zainstalował specjalne siedzisko. Kosmetyki i środki chemiczne trzymał w specjalnej szafce zamykanej na klucz. Mieszkanie pomalował na ciepłe i przytulne kolory. Spokoju nie dawały mu okna. Bał się, że ojciec któregoś dnia rzuci się z któregoś z nich. Myśląc o oknach, dostrzegł w przedpokoju duże lustro. Zaniósł je do piwnicy, podobnie jak i to z łazienki. Od tej pory nie widział swego odbicia. Golił się maszynką elektryczną, gładkość skóry sprawdzał dłonią. Kiedy remont był już zakończony Werens odkrył, że z pieniędzy, które miały mu starczyć na bardzo długo zostało, już niewiele. Ekipa remontowa była dobra, ale i droga. Za tempo robót też trzeba było zapłacić. Oszczędności zostało raptem na kilka miesięcy. Może do wiosny? Ta wiadomość bardzo go zmartwiła. Postanowił rozejrzeć się za jakimś zajęciem, najlepiej pisaniem artykułów do gazet. Ale nie to było teraz ważne. Potem pojechał po ojca. Przywiózł go swoim ulubionym czerwonym volkswagenem golfem GTI. Tym samym, którym dwa lata wcześniej przyjechał, by rozwiązać zagadkę śmierci trzech starszych mężczyzn. Kto wie, jeżeli sprawy nie pójdą jak trzeba, może będzie musiał sprzedać też samochód?

Ojciec zdawał się nie poznawać mieszkania, w którym spędził wiele lat. - Gdzie my jesteśmy? - zapytał siedząc na fotelu w nowo urządzonej sypialni. Patrzył po ścianach z niepokojem. Lekarz nazwał ten stan średnio głębokim zaburzeniem poznawczym. Ojciec Pawła wiedział jeszcze, jak się nazywa, pamiętał też imię syna. Zwracał się do niego „Pawelku”. Ilekroć wymawiał jego imię, w Pawle budziła się nadzieja. Może nie wszystko stracone? Może choroba się odwróci? Ale kiedy widział ojca krążącego po mieszkaniu w plastikowych klapkach i krótkich spodenkach wystających spod zimowego kożucha, nadzieja oddalała się.

Podobnie było i tego dnia. Siedzieli przy stole. Ojciec początkowo zachowywał się normalnie. Opowiadał z uśmiechem o ptaku, który przesiadywał na ich parapecie. Werens wiedział, że od jakiegoś czasu przylatuje do nich gołąb. Lubiał patrzeć, jak ojciec przemawia do ptaka. Był to zupełnie

sensowny monolog starszego człowieka cieszącego się z powodu wizyty skrzydlatego gościa. Lecz w pewnej chwili ojciec spojrzął na Pawła i powiedział:

- Powinien pan wiedzieć, że mam ptaka. Tam... No... siada - ojciec zapomniał słowa „parapet”, a co gorsza, pierwszy raz nazwał Pawła „panem”. - I ten... tam siedział. .. On w zeszłym roku. Tak, właśnie, wczoraj... On był tu u mnie, Pawelku. - Znowu pamiętał jego imię.

Werens milczał. Więc zaczyna się kolejny etap. Lekarz nazwał ten stan głębokimi zaburzeniami poznawczymi. Przyjdzie wraz z nim pobudzenie pomieszczone z lękami. Ojciec przestanie mnie zupełnie poznawać. Już teraz ma z tym problem. Wiem, że mnie nie widzi. Zna tylko mój głos... Tak wygląda agnozja wzrokowa. Uszkodzenie tkanek nerwowych w mózgu. Jakim więc sposobem rozpoznał ptaka?, zastanawiał się patrząc za okno. Może słyszy przez szybę gołębi turkot?

Jego rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Werens wolno wstał i ruszył w kierunku aparatu. Zerknął na ojca. Ten w skupieniu wsłuchiwał się w brzęczenie. Potem zakrył głowę dłońmi, jakby bał się tego dźwięku. Paweł podniósł słuchawkę i powiedział:

- Słucham? Werens.

Po chwili usłyszał kobiecy głos.

- Tu mówi Cecylia Garde.

- Czy my się znamy?

- Nie sędzę.

- W czym mogę pani pomóc? Czy może jest pani ze stowarzyszenia alzheimerowskiego?

- Nie. Dzwonię do pana w sprawie mojego ojca.

- Nie znam pani ojca - Werens szukał w pamięci - nie znam nikogo o nazwisku Garde.

- Panie Werens, stało się coś, co powinno pana zainteresować. Proszę pana o spotkanie. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Dzisiaj to ja mam rodzinną uroczystość. Nic nie jest w stanie odciągnąć mnie od stołu. Pani wybaczy.

- Panie Werens. Mój ojciec nie nazywa się Garde. Jego

nazwisko jest panu dobrze znane.

-A jakie to nazwisko, jeżeli można wiedzieć? - Paweł był już poirytowany. Czego ta kobieta chce? Najlepiej zrobi, jak odłoży słuchawkę.

Poruszona rozmówczyni powiedziała:

- Mój ojciec nazywa się Szubert. General Szubert. Bardziej panu znany jako Montalto. Mistrz Montalto.

13 grudnia 2006, środa

W niewielkiej, zimnej celi umieszczono dwie wąskie metalowe prycze. Przepocone materace okrywały niedbale narzucone szare koce. Na jednej z prycz siedział młody, szczupły mężczyzna w jasnej koszuli i dżinsowych spodniach. Druga prycza była wolna. Samotny mieszkaniec celi nie miał butów. Najpewniej skrył je pod łóżkiem. Podobnie jak i skarpetki. Ale jemu nie było zimno w stopy. Nie czui chłodu celi, wilgoci, którą nasączone były ponure mury. W tej chwili palił go jakiś niezwykły, wewnętrzny żar. Za okratowanym oknem ratuszowy zegar właśnie wybijał północ. Mężczyzna nie zamierzał spać. Zwrócony twarzą do księżyca wchodzącego w ostatnią kwadrę, szeptał wolno słowa Pisma:

- „A dusze sprawiedliwych są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka.

Zdało się oczom głupich, że pomarli, zejście ich poczytano za nieszczęście i odejście od nas za unicestwienie, a oni trwają w pokoju”.

Blond loki chłopaka opadały na czoło, zasłaniając błękitne oczy. Poprawiał je z jakąś niezwykłą powagą i dostojeństwem. Jego ruchy były pewne i stanowcze. Odślaniał piękną twarz, a wtedy widać było rozedrgane mięśnie wokół kształtnych ust i kropelki potu na wysokim czole. W pewnej chwili wolno wstał z pryczy i badając opuszkami długich, zadbanych palców śliską ścianę, ruszył w kierunku drzwi. Nie one jednak były obiektem jego zainteresowania. Tuż przed ciężkimi, metalowymi drzwiami, po prawej stronie chłopak wymacał gniazdko kontaktu. Wsunął paznokcie pod obudowę i zdjął ją jednym

ruchem. Niewielkie śrubki usunął za dnia przemyconym do celi pilniczkiem do paznokci. Teraz młodzieniec klęknął przy drzwiach i cichutko szepcząc słowa z Księgi, wolno odkręcał kolejne części gniazdka:

- „Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali
każni,
nadzieja ich pełna jest nieśmiertelności.
Po nieznacznym skarceniu dostąpią dóbr
wielkich,
Bóg ich bowiem doświadczył
i znalazł ich godnymi siebie”.

Po kilku minutach chłopak trzymał w delikatnych dłoniach lekkie, plastikowe gniazdko. Z czerni otworu w ścianie wystawały złowrogo dwa kable doprowadzające prąd. Więzień wrócił z niewielkim mechanizmem na swoją pryczę. Uważnie przyglądał się zdobyczy. Otarł rękawem koszuli pot, teraz nagle płynący obficie po skroniach. W świetle księżyca przystąpił do odkręcania od plastiku dwu błyszczących blaszek. Po chwili trzymał w mokrych i drżących palcach ostre niczym brzytwy kawałki metalu. Umieścił je w krawędziach drewnianego siedziska taboretu, wsuwając je w szpary. Ich zabójcze końcówki wystawały z drewna. Nie przestawał przez ten czas odmawiać modlitwy:

- „Doświadczył ich jak złoto w tyglu
i przyjął ich jak całopalną ofiarę.
W dzień nawiedzenia swego zajaśnieją
i rozbiegną się jak iskry po ściernisku.
Będą sędzić ludy, zapanują nad narodami,
a Pan królować będzie nad nimi na wieki”.

Samobójca ostatni raz spojrział za okno. Zdjął koszulę. Jego piękne ciało lśniło od potu w świetle lodowatego księżyca. Ponury cień obejmował połowę celi. W jej oświetlonej części stanął teraz więzień. Skrzyżował ręce, pomasażował

przedramiona, jakby przygotowywał je do krwawego spektaklu. Następnie przykłęknął, docisnął nadgarstki do śmiertelnych noży i powoli rozpoczął nacinanie żył. Robił to z jakimś niezwykłym spokojem. Jak ktoś, kto wykonywał już tę czynność, a śmierć, która nadchodziła, nie była czymś strasznym. Po chwili pojawiła się brunatna krew. Poczł jej słodkawy zapach. Wtedy nieco głośniej powiedział:

- „Ci, którzy Mu zaufali, zrozumieją prawdę,
wierni w miłości będą przy Nim trwali:
łaska bowiem i miłosierdzie dla Jego
wybranych.

A bezbożni poniosą karę stosownie do
zamyśłów,
bo wzgardzili sprawiedliwym i odstąpili od Pana:
nieszczęsny bowiem, kto mądrością gardzi
i karnością”.

W śmiertelnym zapamiętaniu rozcinał żyły coraz bardziej. Ostrza tarły o kości nadgarstków. Krew wolno płynęła po dłoniach, siedzisku taboretu, kapiała na wygładzone tysiącami kroków deski. Przy kolanach samobójcy utworzyła się spora kałuża. On jednak nie przestawał. Z jego wyschniętych ust płynęły kolejne wersy Księgi. Piękna twarz stawała się coraz bledsza, gasła, a ciało traciło równowagę. Mężczyzna upadł na bok. Resztkami sił wyszeptał ostatnie słowa:

- „Nadzieje ich płonne, wysiłki bezowocne,
bezużyteczne ich dzieła.
Żony ich głupie,
przewrotne ich dzieci,
przeklęty ich ród!”.

14 grudnia 2006, czwartek

Doktor Lena Lipska miała problem. Mówiąc najogólniej - problem ten wiązał się z przeszłością. Oczywiście - jej przeszłością.

Rano odebrała wiadomość, która wprawiła ją w ponury nastrój: „Odnalazłem Cię, kochanie!“. Po minucie na wyświetlaczu niewielkiej motoroli pojawiła się kolejna wiadomość: „Czy to ładnie kryć się przed przyjaciółmi?“. Nadawca wiadomości podpisywał się jako „Twój na zawsze“. Lena wyłączyła aparat, chociaż nie powinna była tego robić. Spodziewała się bowiem ważnego telefonu z sekretariatu Katedry Teologii Biblijnej, gdzie od kilku lat pracowała. Jakiś czas temu napisała podanie o półroczny urlop naukowy. Chciała ten czas poświęcić na zbieranie materiałów do rozprawy habilitacyjnej. Ta błyskotliwa absolwentka Instytutu Nauk Biblijnych, która studia ukończyła z wyróżnieniem, miała dopiero dwadzieścia osiem lat. Wcześniej studiowała teologię i historię sztuki.

Znała dobrze kilka egzotycznych języków, takich jak aramejski, koptyjski i hebrajski. Uwielbiała historię starożytną, w której się specjalizowała. Habilitację zamierzała robić z napisanej po hebrajsku *Biblii Hebraica Stuttgartensia*. Studiowała ją z zapałem od wielu lat. Sprawa urlopu miała się rozstrzygnąć właśnie dzisiaj. Ale tych kilka słów na wyświetlaczu tak ją przeraziło, że nawet tak ważna informacja jak zgoda na urlop nie miała teraz znaczenia. W mieszkaniu Leny zadzwonił telefon stacjonarny. Kobieta na chwilę znieruchomiała, po czym podbiegła do aparatu i chwyciwszy słuchawkę, wykrzyknęła:

chcieć w połowie grudnia? Sesja za jakiś czas, zresztą niewiele miała w tym semestrze zajęć. Poprawiła włosy i zwolniła blokadę drzwi. W następnej chwili w jej dłonie trafił ogromny bukiet czerwonych róż. Młody człowiek skłonił się i ruszył po schodach w dół. Lena zaniosiła kwiaty do salonu. Czuła, że dzieje się coś niedobrego. Nie myliła się. Wśród kwiatów znalazła niewielką karteczkę. Uniosła ją pod światło. Wolno odczytała ręczną dedykację: „Leno, Leno, zła i piękna. Już nic nas nie rozdzieli!”. Kobieta z karteluszkiem rzuciła się do drzwi. Sprawdziła, czy zamek jest zamknięty. Potem podbiegła do okna i zasunęła rolety. Przerażona wcisnęła się w oparcie kanapy. Ponownie spojrzała na karteczkę, przeczytała słowa, które знаła już z porannych SMS-ów: „Twój na zawsze.” Lena znieruchomiała, bo telefon zadzwonił ponownie. To nie mogła być sekretarka...

15 grudnia 2006, piątek

Paweł Werens wziął do ręki słuchawkę. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad konsekwencjami podjętej właśnie decyzji. Machnął wreszcie drugą dłonią

i wyszukał w pamięci bezprzewodowego telefonu numer, który pojawił się na wyświetlaczu trzy dni temu. Kiedy po chwili usłyszał szorstki, kobiecy głos, równie nieprzyjemnie powiedział:

- Tu mówi Werens. Dzwoniła pani do mnie we wtorek. No więc zgadzam się na spotkanie. Proszę powiedzieć gdzie mam przyjechać?

Godzinę później stał pod drzwiami dużego mieszkania w secesyjnej kamienicy na tyłach ratusza. W gruncie rzeczy był ciekaw, jak wygląda córka jego największego wroga. Próbował ją sobie wyobrazić, ale łapał się na tym, że w jego głowie powstaje twór o jakichś pokracznych rozmiarach, brzydki i ponury. Mój umysł wariuje, pomyślał. Zadzwoił kilka razy, ale nikt mu nie otworzył. Już miał zamiar odejść, kiedy uchyliły się skrzypiące, ciężkie drzwi i stanęła w nich wysoka kobieta. Ten rzekomy potwór miał całkiem atrakcyjną powierzchowność. Przed Pawłem stała kobieta po czterdzieści, ale równie dobrze mogła mieć więcej lat. Wątpliwości brały się stąd, że córka Montalto była kobietą bardzo zadbaną, o klasycznej urodzie. Jej piękną twarz, o regularnych rysach i niebieskich oczach, otulały kasztanowe, lśniące i gładkie włosy sięgające ramion. Sylwetkę miała wysportowaną, a kiedy wskazała mu dłonią wejście do salonu, w tym skromnym gościu Werens dostrzegł jakąś niezwykłą, wewnętrzną siłę. Mijając ją, wyczuł zapach doskonałych perfum, które zapewne nie były tanie. Mieszkanie

było wysokie, urządzone ze smakiem. Paweł, idąc długim korytarzem, ukradkiem zerkał na boki, patrzył na ciężkie, rzeźbione drzwi, za którymi kryły się kolejne pokoje. Jeżeli były chociażby w połowie tak obszerne jak salon, w którym się znaleźli, to łatwo było obliczyć, że całość apartamentu przekraczała grubo sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Córka Montalto wskazała mu wygodny, skórzany fotel. Sama usiadła na sąsiednim. Nie proponowała mu niczego do picia, co przyjął jako celowy afront. Ale nie zamierzał okazywać, że to zauważył. Z obojętną miną obrzucił wzrokiem ściany pokryte dziesiątkami większych i mniejszych obrazów, głównie portretów. Nie mogły należeć do rodziny Szuberta. Ten łotr miał plebejskie pochodzenie. Więc kto był na tych obrazach? Rodzina ze strony męża tej piękności?

Możliwe. Ale równie dobrze mogła te płótna zakupić w sklepie z antykami. Teraz patrzył na córkę generała, która założyła nogę na nogę i niedbale poruszała czubkiem eleganckiego buta na wysokim obcasie. Dziwne obuwie jak na tę porę roku i miejsce. Podobnie jak i letnia, lekka sukienka z odkrytymi ramionami. Kobieta nosiła na szyi delikatną, ale efektowną biżuterię, która kontrastowała z nagimi, długimi palcami. Coś tu jest nie tak, pomyślał. Czyżby wariatka? To możliwe. Mając takiego tatusia łatwo oszaleć. Werens patrzył na gospodynię z coraz większym niepokojem. Ona zaś na chwilę jakby zapomniała o nim. Patrzyła gdzieś hen, za okno. Jej pełne wargi drżały, a w błyszczących oczach pojawiły się łzy. Tak mu się zdawało. W rzeczywistości mogło to być złudzenie, bo pomimo wczesnej pory za oknem robił się mrok, a oni coraz bardziej ginęli w szarości salonu. Wreszcie kobieta spojrzała na niego i głosem, który już poznał przez telefon, powiedziała wolno:

- Dziękuję, że znalazł pan czas na rozmowę ze mną. Przepraszam za okoliczności naszego spotkania. To pan robi mi uprzejmość, a w takiej sytuacji powinnam się dostosować do czasu i miejsca spotkania. Jeszcze raz pana...

- To nie był kłopot - Werens wszedł jej w słowo.

- Proszę tak nie mówić. Dobrze wiem, ile zła wyrządził panu

mój ojciec. Domyślałam się, co pan czuje, będąc w tym mieszkaniu. Tym większy mam dla pana podziw i szacunek. Naprawdę.

- Powtarzam, to nie kłopot - jego głos był słaby, a słowa wypowiedziane bez przekonania. Chciał już przejść do sedna sprawy, czyli powodu, dla którego się znalazł w tym mieszkaniu. Córka Montalto jakby odgadła jego myśli, bo powiedziała:

- Panie Werens, mój ojciec, Jerzy Szubert, to na dzień dzisiejszy poszukiwany listem gończym przestępca. Kiedyś zajmował bardzo ważne stanowiska w państwie. Był wpływowy, ludzie się go bali. Niszczył każdego, kto stanął na jego drodze. Teraz to karykatura człowieka. Jego czas dobiega końca. Mam nadzieję, że piekło istnieje i trafi tam razem ze swoją krwiożerczą bandą. Tak, nie przesłyszał się pan. Mówię w ten sposób o własnym ojcu. Mój ojciec to przyczyna tragedii naszej rodziny. Zło, jakiego dokonał, wraca w różnej postaci pod ten dach każdego dnia. Proszę mi wierzyć. Cierpimy wszyscy...

- Wszyscy? Czyli kto?

- Zaraz do tego dojdziemy. Otóż, musi pan wiedzieć, że ze związku mojej matki, Anastazji Garde z Jerzym Szubertem przyszło na świat dwoje dzieci, Ja - Cecylia i mój młodszy brat Wiktor. Dzieciństwo spędziliśmy w Warszawie. Ojciec pracował w ministerstwie. Moja mama zajmowała się domem. Taki stan rzeczy trwał przez lata. Długo byłam przekonana, że to siedzenie mamy w czterech ścianach wynikało ze świadomie podjętej decyzji. Pamiętam ją leżącą w salonie na kanapie z książką w dłoniach. Spacerowały po Łazienkach, wystawy, na które zabierała nas regularnie. Podobnie jak do teatru i kina. To był świat idealny. Z gosposią i służbowym samochodem, który prowadził młody, przystojny kierowca. Byliśmy wtedy bardzo ważni i wpływowi, stanowiliśmy elitę otoczoną specjalną ochroną. Z niezliczonymi przywilejami i możliwościami. Jako dziecko zwiedziłam prawie całą Europę. Coś nieosiągalnego dla zwykłego obywatela, który nawet nie miał dostępu do paszportu. A jeżeli go zdobył, to zaraz po powrocie musiał zwrócić. Chodziliśmy do najlepszych szkół. Do domu odwoził nas

kierowca ojca. Po maturze wysłano mnie na studia. Był to elitarny kierunek w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, teraz to Szkoła Główna Handlowa. Większość ministrów finansów to ludzie, którzy kończyli tę uczelnię. Balcerowicz, Kołodko, Huebner, Rosati...

- Olechowski?

- Tak. On również. Wracając do tematu. Mój brat Wiktor z polecenia ojca trafił do liceum wojskowego z internatem. Rzadko go widywałam. Były to wyłącznie święta i okresy wakacji. Pamiętam, że za każdym razem, kiedy przyjeżdżał, był coraz mężniejszy i, niestety, coraz bardziej grubiański. Z matką prawie nie rozmawiał. Był skryty i opryskliwy. Ale nie wobec ojca. Godzinami siedzieli zamknięci w jego gabinecie. Wychodzili potem objęci, z jakimś takim złowróżbnym uśmiechem na rozpalonych twarzach. Ojciec posłał go na studia, oczywiście wojskowe. Pamiętam, jaki był dumny, kiedy Wiktor uzyskał dyplom ukończenia Akademii Sztabu Generalnego. To była najbardziej elitarna szkoła wojskowa. Produkowała dowódców, późniejszych generałów.

- Czy pani stosunki z bratem uległy poprawie?

- Co pan ma na myśli?

- Czy częściej się widywaliście?

- Tak. Ojciec załatwił mu stanowisko w ministerstwie. Chciał go mieć blisko siebie. Wiktor dostał kawalerkę na Ochocie. Pojawiał się u nas w niedziele. Jedliśmy razem obiad. Potem, jak zwykle, oni zamykali się w gabinecie ojca. A czasami wyjeżdżali na północ. Pan wie, co mam na myśli?

- Pałac Donhoffów?

- Tak. Ale myśmy z matką tego wtedy nie wiedziały. Ojciec mówił, że zabiera Wiktora na polowanie. Nie było podstaw, by im nie wierzyć. To był już czas, kiedy byliśmy sobie zupełnie obcy. Zna pan te sytuacje, kiedy ludzie siedzą przy stole i milczą. Nawet na siebie nie patrzą. Jednak to jeszcze nie było najgorsze. Najgorsze nastąpiło w styczniu 1982 roku.

- To okres stanu wojennego.

- Wiktor był już wtedy majorem. Pojechał w teren na tak zwaną akcję. W rzeczywistości tropił jakąś grupę

opozycjonistów.

- Co się wtedy wydarzyło? - Werens z uwagą czekał na odpowiedź.

- Nie wiadomo. Wiktor zaginął. Przeprowadzono śledztwo. Ostatni raz widziano go, jak wchodził do kamienicy w gdańskim Wrzeszczu. Co najciekawsze, budynek był otoczony przez jego ludzi. Nikt nie mógł wyjść niezauważony.

- Więc gdzie się podział pani brat?

- On zniknął. Rozumie pan? Zniknął. Rozpłynął się w styczniowym śniegu. Ojciec szalał. Uruchomił wszystkie podległe sobie służby. Wielu niewinnych ludzi wtedy skatowano. Nawet żołnierzy, którzy otaczali teren. Nic nie udało się ustalić. Po kilku latach poszukiwań ojciec przeniósł się na północ.

- Dom nad rzeką Baudą.

- Tam zamieszkał. Zostawił żonę i wyjechał.

- A pani matka? Jak ona to zniosła?

- Mama po zniknięciu Wiktora przestała mówić. Z dnia na dzień straciłam z nią kontakt.

Werens pomyślał w tej chwili o swoim ojcu i po chwili powiedział:

- Chyba panią rozumiem.

- Rok później zmarła.

-A jak to się stało, że znalazła się pani w tym mieście? Zostawiła pani Warszawę...

Córka generała milczała dłuższą chwilę. Werensowi wydało się to podejrzane, ale starał się tego nie okazać. Jego twarz była skupiona, ale opanowana. Obserwował tę kobietę bardzo uważnie choć dyskretnie. Nie miał podstaw, by ufać tej osobie. Bardzo był ciekaw, co ona teraz powie. Jaką da mu odpowiedź.

- Interesy - rzuciła krótko.

Był już pewien, że kobieta kłamie. Kto wie, może owo kłamstwo jeszcze bardziej pobudziło jego ciekawość? Bo historia rodziny generała wciągała go coraz bardziej. Czuł, że ogarnia go nagle od kilku miesięcy niedoświadczany stan, który nazwać by można ciekawością świata. Urządzenie mieszkania dla ojca na pewien czas uspiło w nim potrzebę poszukiwania

zajmujących spraw. Nie na tyle jednak, by całkiem zapomniał, co stanowi treść jego życia. Werensowi przyszło do głowy, że oto wkracza na nowy teren. Częściowo już znany, ale przecież zawsze jednakowo fascynujący i niebezpieczny. Bo tam, gdzie pojawiał się Montalto, tam tuż za nim pojawiały się kłopoty. I on, Werens, zamierzał pójść ich śladem. Kto wie, może przyjdzie taki moment, że będzie musiał biec, uciekać? Ale czyż nie o to w życiu chodzi? Pokiwał teraz głową na znak akceptacji i zapytał:

- Ale pani nie dzwoniła do mnie w sprawie zaginionego brata, prawda?

Cecylia Garde w tej chwili wskazała mu dłonią boczne drzwi, co miało oznaczać, że zaprasza go do innego pokoju. Szedł za nią, patrząc z uznaniem na jej zgrabną figurę. Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? Więcej? Po raz kolejny zastanawiał się nad jej wiekiem. Ale po chwili już nie myślał o pięknej gospodynie. Z przerażeniem patrzył na ściany pokoju wyklejone różnej wielkości czarno-białymi zdjęciami. Od podłogi do sufitu, w różnych ujęciach przedstawiały tę samą osobę. Werensowi zakręciło się w głowie. Na setkach mniejszych, większych, matowych, błyszczących, kwadratowych i prostokątnych fotografii była jedna i ta sama postać. Montalto. Setki portretów generała Szuberta zajmowały każdy centymetr ścian tego pokoju. Zaskoczony i zdezorientowany dziennikarz spojrzął na córkę generała. Jego oczy mówiły wszystko. Co to jest? Kto to zrobił? Odpowiedź przyszła w następnej chwili.

- To pokój mojej córki. Tydzień temu widziałam ją po raz ostatni.

16 grudnia 2006, sobota

Zastępca Naczelnika Wydziału do Walki z Przeszecznością przeciwko Życiu i Zdrowiu w Komendzie Miejskiej Policji Miasta Olsztyna Adam Dera właśnie wyszedł z dusznego, cuchnącego skoszoną, lekko przegniłą trawą gabinetu szefa. Pokój śmierdział trawą od czasu, kiedy jedna z policjantek, zafascynowana metodą jakiegoś amerykańskiego medyka, polegającą na wdychaniu zapachu ściętej trawy, podarowała szefowi na imieniny takie perfumy. Ponoć miały mieć zbawienny wpływ na stres. Redukowały go, sprawiały, że wdychający czuł odprężenie, obniżały ciśnienie i poprawiały pamięć. W rzeczywistości powodowały zawroty głowy, bo ze względu na grudniowy chłód gabinet miał szczelnie pozamykane okna. Smród nie znajdował ujścia i kłębił się w czterech ścianach. Woń uwolnioną z flakoników porozstawianych po kątach czuć było nawet na korytarzu komendy. Główny i zarazem jedyny lokator pokoju zdawał się nie czuć tego zapachu. Wręcz przeciwnie, na każdym kroku podkreślał walory zdrowotne zgnilej trawy. Twierdził, że jego mózg pracuje teraz o niebo lepiej. Dera był odmiennego zdania. Z kieszeni spodni wyciągnął pomietą chusteczkę higieniczną i wytarł nią dłonie. Chwilę wcześniej podał rękę naczelnikowi wydziału Jakubowi Kulisowi. Był to ich ostatni uścisk. Tak przynajmniej obaj to odebrali. Kulis właśnie pozbył się Dery. Ten drugi uwolnił się od paskudnego szefa. Podkomisarz Dera decyzją komendanta głównego policji został zdegradowany do stopnia aspiranta. Dostał również przeniesienie na prowincję, gdzie miał objąć stanowisko podległe Komendzie Powiatowej Policji w Gołdapi. Konkretnie został dzielnicowym numer pięć

w Baniach Mazurskich. Ześlanie do odległej dziury wśród lasów i jezior oraz degradacja miały być karą za poinformowanie mediów o działaniach Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego podczas majowej pielgrzymki papieża do Polski. Sprawę nieudanego zamachu na głowę Kościoła udało się zachować w tajemnicy. Ktoś jednak powinien był ponieść konsekwencje. Padło na Adama Derę. Upokorzenie doświadczonego policjanta było tym większe, że to nie on podejmował decyzję o przeniesieniu. W pierwszym odruchu podał się do dymisji. Szybko jednak musiał zmienić zdanie. Miał blisko pięćdziesiąt lat. Zaczynanie wszystkiego od nowa było wielce ryzykowne. Jego córka kończyła liceum, od lat odkładali na jej dalszą edukację, a żona, chociaż pracowała, nie byłaby w stanie utrzymać domowego budżetu na godziwym poziomie. Dera podjął zatem decyzję o pozostaniu w służbie, chociaż wiedział, że o dalszej pracy w Wydziale do Walki z Przestępczością może zapomnieć. Chciał dotrzeć do emerytury. Dlatego zacisnął zęby, spakował dwie walizki i po wizycie w komendzie, zakończonej uściskiem śliskiej dłoni Kulisa, wsiadł w autobus i wyruszył na wschód. Pięcioletniego nissana zostawił żonie. Postanowili, że rodzina dołączy do niego za jakiś czas, kiedy urządzi mieszkanie w Baniach Mazurskich, a żona - nauczycielka niemieckiego - znajdzie pracę w którejś z okolicznych szkół. Może w pobliskiej Gołdapi? Wiadomość o przeprowadzce najbardziej poruszyła ich nastoletnią córkę. Dziewczyna nie wyobrażała sobie życia w zapomnianej przez Boga i telewizję kablową wiosce. Ich wspólny ostatni obiad wyglądał żałośnie. Jedli w zupełnym milczeniu. Córka w pewnej chwili zaczęła płakać, a żona bliska hysterii skryła się w kuchni, skąd wkrótce dobiegać zaczęły odgłosy tłuczonych naczyń. Kobiety życia Adama Dery nie zachowywały się tak z powodu rozstania z ukochanym mężem i ojcem. Wiedział o tym doskonale.

Dlatego teraz podkomisarz, a raczej aspirant Dera był najnieszczęśliwszym pasażerem autobusu relacji Olsztyn - Gołdap. Przed nim było sto pięćdziesiąt kilometrów drogi. Niby nie tak dużo, ale w tej sytuacji była to odległość

niewyobrażalna. Oznaczająca rozłąkę z bliskimi, samotne wieczory i ranki. Obiady z mrożonek i równie zimne łóżko. Mijali kolejne miejscowości: Biskupiec, Kolno, Reszel, Święta Lipka, Kętrzyn, Węgorzewo... Dera, pomimo podłego nastroju, musiał docenić piękno tych ziem. Ze wszystkich stron otaczał go pagórkowaty teren z wtopionymi weń gęstymi lasami i migotliwymi lustrami wolno zamarzających jezior. Miasteczka zaś były urokliwe, pocięte wąskimi uliczkami, przy których posadowiono kamienice z kolorowymi elewacjami i intensywnie czerwonymi dachami krytymi łupkiem, ceramiką, blachą. Okrywał je delikatny woal szarego dymu z kominów. Dlaczego skupił się na tych dachach? Po chwili znał odpowiedź. Myślał o utraconym domu. Aspirant Dera postanowił, że zrobi wszystko, by jak najszybciej odzyskać rodzinę. Autobus minął wolno miejscowość o nazwie Popioły, kierowca poinformował Derę, że dojeżdżają do celu. Policjant zaczął nerwowo wiercić się na siedzeniu. Przed nimi pojawiły się pierwsze dachy Bani Mazurskich. Muszę to jakoś wytrzymać, pomyślał. Niewiele tu będzie do roboty. Drobni złodziejaskowie okradający domki letników, jakiś pijany rowerzysta, pewno przemoc domowa. Tak, ona jest wszędzie. Oczywiście nielegalny handel wódką i papierosami. Jak to w strefie przygranicznej. Niewiele więcej. Z drugiej strony, Dera próbował poprawić sobie nastrój, mam te superwędki, które kupiłem w maju. Będzie okazja je wypróbować. Tu powinny być całkiem ładne ryby. Po chwili się zreflektował. Był grudzień. Na jakie ryby zamierzał chodzić z tymi wielgachnymi wędziskami? Kolejne rozczarowanie. Wjechali do wsi. Dera już co nieco wiedział o swym nowym miejscu do życia. Prawie pięćsetletnia wioska liczyła tysiąc pięciuset mieszkańców. Była to mieszanina Polaków i Ukraińców. Tych drugich przymusowo przesiedlono na te tereny z Bieszczadów i Rzeszowszczyzny. Całą gminę zamieszkiwało niecałe pięć tysięcy ludzi. Jego poprzednik odchodził na emeryturę za dwa tygodnie. To był czas na zapoznanie się z obowiązkami. Autobus zatrzymał się na przystanku. Adam Dera zabrał swoje walizki, podziękował kierowcy i wysiadł z autobusu. Rozejrzył się bez entuzjazmu

dookoła.

- Boże, co ja tu będę robił? - powiedział zupełnie głośno.

Aspirant, a od tej chwili dzielnicowy numer pięć Adam Dera, nie zdawał sobie sprawy, *jak wiele* czeka go niespodzianek. Najbliższa stała tuż za rogiem.

Werens siedział już blisko godzinę w mieszkaniu Cecylii Garde, córki swego największego wroga. Widok zdjęć Montalto na ścianach pokoju jego wnuczki wprowadził go w stan rozdrażnienia.

- Ma na imię Klaudia - powiedziała po dłuższej chwili Cecylia Garde. - Jest moją jedyną córką. Wychowywałam ją sama, bez ojca. Właściwie to Klaudia nie ma ojca. Nigdy go nie miała. Tak było lepiej, proszę mi wierzyć.

- Chyba jednak nie do końca.

- Ma pan rację. To, co znajduje się na tych ścianach, to moja życiowa porażka. Jerzy, dziadek Klaudii, a mój ojciec, pojawił się w jej życiu ledwie kilka lat temu. Nie wyobraża pan sobie, jakiego spustoszenia dokonał w jej umyśle.

- Chyba jednak jestem w stanie to zrozumieć.

- Werens patrzył na ściany wypełnione zdjęciami Montalto.

- Początkowo to były tylko niewinne spotkania. Pojawiał się w mieście i zabierał ją na spacer. Wracła z nich coraz bardziej odmieniona.

- Co to znaczy?

- Klaudia była zawsze opanowaną, spokojną dziewczyną. Pod wpływem mojego ojca zmieniała się w skrytą, nieufną osobę. Kiedyś dużo ze sobą rozmawialiśmy, była moją jedyną przyjaciółką. Po wizytach ojca stawała się coraz bardziej wycofana. Na pytania o dziwne zachowanie nie odpowiadała. Uciekała przed moim wzrokiem, zamykała się w swoim pokoju, do którego mnie nie wpuszczała. Z czasem stała się agresywna, opryskliwa. Zmienił się też jej wygląd zewnętrzny. Zaczęła nosić czarne tuniki, ogoliła głowę. Wyglądała jak jakiś posępny upiór. Potem przyszła pora na wyjazdy do domu mojego ojca. Siedziała u niego całymi dniami. Nie wiem, co tam robiła.

- A szkoła?

- Klaudia już nie jest dzieckiem. Ma dwadzieścia pięć lat.

Werens był zaskoczony. Przed nim stała piękna kobieta, która chyba nie mogła mieć czterdziestu lat. Ale wyglądało na to, że jednak miała znacznie więcej. Musiał teraz przyznać, że czas obszedł się z nią bardzo łagodnie. Zapytał o zajęcia Klaudii.

- Moja córka studiowała prawo. W roku 2004, kiedy aresztowano jej dziadka, broniła dyplom. Po skazaniu Jerzego przeżyła załamanie nerwowe. Zamknęła się w domu, w tym pokoju. Nie dało się z niej niczego wyciągnąć. Przez te dwa lata, kiedy ojciec odbywał karę, nie wyszła z mieszkania. Czy może pan w to uwierzyć?! Właściwie to nie opuszczała nawet swojego pokoju.

- Co w tym czasie robiła?

- Co ma pan na myśli?

- Nie wiem, słuchała muzyki? Oglądała filmy? Surfowała w Internecie? Czytała książki?

- Czasem widziałam ją, jak prześlizguje się do łazienki czy kuchni. Ale nie po to, by jeść. Piła jakieś zatrważające ilości kawy. Potem wracała do pokoju. Zamykała się od środka.

- Zatem nie wie pani, co tam robiła?

- Wiem.

Werens w skupieniu słuchał słów Cecylii. Ta po dłuższej chwili wreszcie wolno powiedziała.

- Nie mogłam nie wiedzieć. Pan rozumie, jestem matką... Pewnego razu wyczekałam moment, kiedy wychodziła do łazienki... Siłą wdarłam się do jej pokoju. .. Szarpałyśmy się... To okropne... Z własną córką... Uderzyłam ją wtedy w twarz. Pierwszy raz w życiu... Ciężko mi o tym teraz mówić.

Cecylia skryła twarz w dłoniach, zaczęła szlochać. Werens czekał, aż kobieta się uspokoi. Stało się to dopiero po kilku minutach. Sięgnęła po chusteczkę, wytarła oczy. Tusz rozmazał się na jej pięknej, niewiarygodnie smutnej twarzy. Paweł nigdy nie widział kogoś tak cierpiącego. W tej chwili gotów był zrobić dla tej nieszczęśliwej kobiety wszystko. Wreszcie Cecylia Garde powiedziała:

- Czytała. Moja córka przez ten cały czas czytała tylko jedną książkę.

- Co konkretnie?

- To była Biblia.

- Skąd pewność, że tylko tę księgę czytała pani córka?

- Kurz - powiedziała spokojnie Cecylia.

- Nie rozumiem?

-Jeżeli człowiek miesiącami nie sprząta, wówczas w mieszkaniu pojawia się kurz. Ten kurz był na półkach z książkami. Gruba warstwa kurzu. Ona nie dotykała tych książek miesiącami. Boże, to straszne! A ja nic nie zrobiłam! Siedziała tam sama, w półmroku... Na biurku leżała Biblia. Klaudia musiała ją czytać na okrągło. Kartki były tak poniszczone... Kiedy trafiła do szpitala. Jej organizm był w katastrofalnym stanie.

- Ale udało się ją odratować.

- Tak. Ten szpital to było wybawienie. Znakomici lekarze, spokój. I Eryk.

-Kto?

- Eryk. Młody psycholog ze szpitala. To on ją uratował, przywrócił na chwilę do życia. Myślę nawet, że stało się coś więcej.

- Co ma pani na myśli?

- Klaudia zakochała się w Eryku.

- Co było dalej?

- Wróciła do domu. Mój ojciec nie dawał znaku życia. Pan wie, ukrywa się... Dziewiątego grudnia, to była sobota, Klaudia zniknęła. Od tej pory nie mam od niej żadnej wiadomości.

- A ten Eryk?

- Eryk Bunda. Próbowałam się z nim skontaktować, ale nie odbierał telefonów. Byłam nawet w szpitalu. Wziął wolne.

- Może wyjechali gdzieś razem?

- Tak też powiedzieli mi na policji. Żeby nie robiła niepotrzebnego zamieszania. Prawdę mówiąc, wyśmiali mnie, że niby jestem nadopiekuńczą matką całkiem dorosłej kobiety. Rozumiem ich.

Werens miał mieszane uczucia. Z jednej strony sprawa była

jasna. Młodzi, zakochani ludzie zrobili sobie wolne od problemów życia codziennego i gdzieś wyjechali. Zapewne wrócą za kilka dni. Z drugiej zaś strony ta fascynacja Klaudii osobą Montalto była niepokojąca. Ten człowiek był zdolny do wszystkiego. Relacje łączące wnuczkę z dziadkiem były mocno podejrzané. Stary manipulator musiał uczynić w jej umyśle wielkie spustoszenie, skoro trafiła do szpitala dla nerwowo chorych. Werens już wiedział, czego oczekuje od niego ta kobieta. Miał odnaleźć jej córkę. Tylko dlaczego on, a nie policja? Dlaczego nie jakiś prywatny detektyw, a skopany przez życie dziennikarz? Lecz po chwili sam odpowiedział sobie na to pytanie. Cecylia Garde zdecydowała się prosić go o pomoc dlatego, że nikt tak jak Werens nie pragnął dopaść Montalto. Nikt równie dobrze nie znał jego psychiki. Było jeszcze coś, co sprawiało, że Werens już podjął decyzję o zaangażowaniu się w tę sprawę, o czym nie miała pojęcia piękna pani Garde. Werens potrzebował nowego wyzwania, przyływu adrenaliny. Córka Montalto przypadkowo trafiła na okres w życiu Pawła, który marynarze zwą flautą. Werensowi brakowało silnego wiatru w żagle. W tej chwili poczuł jego pierwsze powiewy. Nie miał pojęcia, jaki sztorm szykuje mu się w niedalekim czasie.

18 grudnia 2006, poniedziałek

Aspirant Adam Dera siedział w barze „Młyn” i czekał niecierpliwie na specjalność szefa kuchni. Po drugiej stronie na drewnianej ławie rozparty był jego kolega po fachu, starszy aspirant Filip Wiśniewski. Policjant za dwa tygodnie przechodził w stan spoczynku. Jego rolą było wtajemniczenie Dery w zakres obowiązków. Wiśniewski był wysokim, barczystym mężczyzną o tubalnym głosie, który teraz niósł się przez całą salę. Co prawda pustą, ale fakt ujawniania informacji służbowych w taki sposób nie podobał się przybyłemu z miasta Derze. Prawdę mówiąc, wszystko tu było inne. Wieś przyjęła go z całym swoim dobrodziejstwem. Ku zdziwieniu aspiranta nie była taka mała, jak mu się wydawało. Liczyła szesnaście ulic, które obszedł poprzedniego dnia. Policjant doliczył się kilku sklepów spożywczych, całkiem dobrze zaopatrzonych i, co ważne, otwartych również w niedziele. Zamieszkał w niewielkim domku na ulicy 1 Maja numer cztery, przy komendzie policji. Obok miał stację benzynową. We wsi była przychodnia, dom kultury, tartak, zakład pogrzebowy i kamieniarski. Najwięcej instytucji usytuowano przy ulicy Konopnickiej. Był tu bank, poczta, rzeźnik, sklep z częściami do maszyn rolniczych, oczyszczalnia ścieków, ośrodek pomocy społecznej, fryzjer, apteka, siedziba gminy, biblioteka, a także oddział straży granicznej. Ten ostatni zamierzał odwiedzić po południu. Na ulicy Konopnickiej znajdował się również bar, w którym podawano najlepsze w tej części województwa kartacze. Dera niecierpliwie czekał na pachnący posiłek, co nie przeszkodziło mu z uwagą słuchać wywodów kolegi po fachu.

- Zasadniczo - mówił głośno Wiśniewski - to tu jest spokój.

Ludzie pilnują swoich spraw, ale i czuwają nad chałupą sąsiada. Kiedy pojawi się ktoś nieproszony, zaraz wzmagają czujność. Złodzieje tu mają ciężko, dlatego niewielu ich nas odwiedza. Jest trochę elementu, po wyrokach. Jak wszędzie. Powiem koledze potem, którzy to i gdzie mieszkają. Najwięcej roboty jest latem. To wioska turystyczna, z pięknymi krajobrazami. Głównie Warszawa się zjeżdża. Starsi spokojnie odpoczywają, gorzej z młodymi. Kilka piw za dużo i awantura gotowa. Ale latem to dochodzą patrole z Gołdapi. I może kolega liczyć na pomoc żołnierzy ze strażnicy.

Dera słuchał z coraz mniejszą uwagą. Wiedział już, czego ma się spodziewać po tej pracy. Teraz ważniejszy wydawał mu się zapach docierający z kuchni. To, co stamtąd płynęło, przyprawiało o zawrót głowy. Przez lata stołował się w barze przy komendzie. W domu jedli prawie wyłącznie w niedziele. Co tu zresztą dużo mówić, jego żona nie przepadała za gotowaniem. Przekładało się to w sposób naturalny na jakość posiłków, która nie była najlepsza. Menu również nie należało do szczególnie skomplikowanych. W niedziele jadalі rosół i schabowy. Warto dodać, że czasem nieco przypalony... A od kiedy ich córka została zatwardziałą wegetarianką, przyszło im jadać we dwójkę. Czy dla pary ludzi warto brudzić garnki?

I tak, z miesiąca na miesiąc, coraz rzadziej w ich domu czuć było kuszący zapach potraw płynący z kuchni, Teraz Dera pomyślał, że jednak jest sprawiedliwość na świecie. Oto na stare lata wreszcie będzie mógł się dobrze najeść. Jest to jego nagroda za rozłąkę z rodziną. Wiśniewski zdradzał kolejną informację związaną z funkcją dzielnicowego, kiedy Dera wszedł mu w słowo i zapytał:

- A sprawy kryminalne?

Tamten długo milczał, jakby szukał takich zdarzeń w pamięci, wreszcie powiedział:

- Jest taka sprawa. Przejęli ją ci z kryminalnej w Gołdapi, dlatego niewiele wiem. Ale fakt faktem, że to ja byłem pierwszy na miejscu.

Dera stał się czujny. Zawsze tak się działo, kiedy w grę wchodziła zbrodnia. Zapomniał o zapachu kartaczy. Czekał na

szczególności.

- W zeszły poniedziałek dostałem polecenie, żeby pojechać do Rapy, pod piramidę Fahrenheitów. Zadzwonili z komendy w Goldapi, że był telefon od jakiegoś turysty. Mówił o spalonych zwłokach w środku tej piramidy. No to wysłali mnie, bo to nasz rejon. Wiesz, kolego, takich telefonów to ja już w życiu wiele dostałem. O dwa kieliszki za dużo jeden z drugim wypije, a potem dzwoni. A to się kto utopił, a to, że talibów widział za całą. No i człowiek jedzie wyjaśniać. Ten, co się utopił, to psikus zrobił i w krzakach siedzi. Talibowie to aktorzy z teatru na plenerze.

- Co z tym spalonym? - Dera nie odpuszczał.

- Pojechałem. Ten, co dzwonił, przedstawił się z imienia i nazwiska. Nie mogłem odmówić. Było jak teraz, poniedziałek. Południe. Ta piramida to już niejedno widziała. W czasie wojny to ją ruskie wojsko zdewastowało. Trupy wywlekli z trumien, tak leżały przez lata. Ktoś tym martwym ciałom głowy podcinał. Słowem, profanacja. Wstyd i hańba. Wreszcie uporządkowano teren i wstawiono w okna kraty, a wejście zamurowano. No i tu dochodzę do mojego telefonu. Już z daleka czuć było swąd spalenizny. Ten turysta, Zaręba Adam, to trząsał się jak osika. Ciężko było z niego cokolwiek wydusić.

- Był trup?

- Był. Zaświeciłem latarką, bo ciemno w środku. Na podłodze leżało spalone ciało, Ale co to był za trup! Spalony! Normalnie, zwęglony, jak ziemniak w ognisku!

- Co było dalej? - Dera całkiem zapomniał o kartaczach, które właśnie pojawiły się na stole. Podała je młoda, ciemnowłosa kelnerka, która przypominała Derze koleżankę Lucynkę z drogówki. Policjant machinalnie wkładał w usta doskonałe kartacze, popijał je wodą mineralną, niegazowaną, jak mu nakazał lekarz.

- Wezwałem kryminalnych. Przejęli sprawę. To nie moje kompetencje.

- Czy wiadomo, czyje to są zwłoki?

- Nie mam pojęcia. To trzeba by do tych z kryminalnej. Ale i tak nic nie powiedzą. Taka robota...

Dera nie dawał za wygraną. Sprawa z każdą sekundą i kolejnym kęsem pysznego mięsa w cieście frapowała go coraz bardziej.

- Czy coś panu szczególnie utkwilo w pamięci?

Aspirant Wiśniewski przełknął kęs kartacza, popił zimnym piwem i wbił wzrok w Derę:

- Pewno, że mnie to poruszyło. Bo jak to ciało znalazło się w środku, skoro drzwi były zamurowane, a w oknach kraty grube na kciuk?

Doktor Lena Lipska bała się jak nigdy dotąd. Rano zajrzała do komputera, by sprawdzić skrzynkę mejlową. To, co zobaczyła po uruchomieniu Outlooka, przeraziło ją do tego stopnia, że potrąciła stojącą na biurku filiżankę. Ciemna, aromatyczna kawa zalała ułożone równiutko notatki, wpłynęła pod drukarkę i prawie zniszczyła router. Lena w ostatniej chwili podniosła niewielkie urządzenie, na którym migaly na zielono małe diody. Gorący płyn natychmiast wypełnił to miejsce. Z routerem w prawej dłoni i chusteczką w lewej, bo na szczęście zawsze trzymała jakąś w kieszeni szlafroka, usuwała kawę z blatu. Teraz kleista ciecz kapala obficie na piękny, jasny dywan. Roztrzęsiona Lena nie wiedziała, co robić dalej. Kable od sprzętu były bardzo krótkie, przez co nie można było postawić urządzenia na dywanie. I niby gdzie? W tej brunatnej kałuży? Puściła wreszcie router, który, ku jej zaskoczeniu, zawisł na sztywnym kablu w powietrzu, w połowie drogi między biurkiem a dywanem. I, co najważniejsze, w dalszym ciągu działał. Zielone światelka nie przestawały migać. W następnej chwili pomyślała, że przecież teraz wcale nie chce, aby komputer dalej był sprawny. Nie chce patrzeć na monitor. Tyle że Outlook przez cały ten czas był otwarty, a na jej adres napływały ciągle mejle od tego samego nadawcy. Wszystkie miały identyczną treść. Lena Lipska postanowiła przełamać lęk i na nowo zmierzyć się z zawartością korespondencji. Roztrzęsiona usiadła na obrotowym krześle i otworzyła kolejną z kilkudziesięciu identycznych wiadomości. Cichutko ją przeczytała:

- Wróciłem, Kochanie i już nie odejdę. Jestem Twój! Twój na zawsze!

Paweł Werens stał przed głównym wejściem do Szpitala Psychiatrycznego przy alei Wojska Polskiego. Godzinę wcześniej opuścił mieszkanie Cecylii Garde. Właśnie rozpoczął prywatne śledztwo. Szukał córki pięknej pani Garde - Klaudii. Poszukiwania postanowił zacząć od znalezienia Eryka Bundy, chłopaka Klaudii. Werens wiedział, że młody psychiatra wziął wolne i nie znajdzie go w szpitalu. Chciał jednak jak najwięcej dowiedzieć się o pobycie Klaudii w szpitalu, a także o tym całym Eryku, który budził jego nieufność. Romans z pacjentką. Czy to nie jest sprzeczne z etyką zawodową? Wszedł do dużego, czterokondygnacyjnego budynku, który, według pobieżnych wyliczeń Werensa, mógł pomieścić jakieś czterysta łóżek. Dziennikarz zapytał w recepcji o Eryka Bundę. Starsza kobieta zajmująca się informowaniem odnalazła nazwisko lekarza w komputerze. Pracował na trzecim oddziale ogólnopsychiatrycznym, który, jak głosiła ulotka leżąca na ladzie, „zajmował się leczeniem zaburzeń psychicznych, w tym: schizofrenii, zaburzeń depresyjnych, nawracających, afektywnych dwubiegunowych, schizoafektywnych, lękowych”. Leczone w nim były także „zaburzenia występujące w przebiegu organicznych zaburzeń osobowości oraz upośledzeń umysłowych”. Na oddziałach udzielana była również „pomoc psychiatryczna i psychologiczna w stanach stresu pourazowego”. Werens schował ulotkę do torby. Zastanawiał się, jakiego rodzaju zaburzenia miała córka Cecylii Garde. Ruszył długim, szerokim korytarzem w kierunku gabinetu ordynatora. Jak się wkrótce okazało, była nim kobieta. Elegancka pani doktor nazywała się Zakrzewska. Wyczytał to z tabliczki umieszczonej przy drzwiach do gabinetu, a potwierdzenie znalazł na identyfikatorze przypiętym do ponętej piersi kobiety. Przyjęła go uprzejmie, ale z zawodową rezerwą. Siedziała wyprostowana w skórzanym, czarnym fotelu. Łokcie oparła na blacie szklanego stolika. Werens

dostrzegł pod nim zgrabne nogi, zarzucone jedna na drugą. Delikatnie poruszała lewą stopą w wygodnym pantoflu. Równocześnie poprawiała zapięcie paska do zegarka. Dziennikarz zauważył złotą obrączkę ślubną na szczupłym palcu.

- Jaki jest cel pańskiej wizyty, panie...?

- Werens. Paweł Werens.

- Nie przypominam sobie pacjenta o tym nazwisku.

- Bo i nie w tej sprawie do pani przychodzę.

- A zatem?

- Nie zamierzam niczego ukrywać, chcę zapytać o pacjentkę o nazwisku Garde.

Słyszac to nazwisko, lekarka jakby pobladła. Patrzyła na Werensa z niepokojem. Odnotował, że zmieniła pozycję w fotelu, zdjęła nogę z nogi i przestała zajmować się zapięciem drogiej omegi.

- Kim pan jest, panie Werens?

- Jestem dziennikarzem. Wiem, że gdybym przedstawił się jako znajomy rodziny, kłamstwo natychmiast zostałoby zdemaskowane. Bo niby dlaczego nie odwiedzałem chorej przez czas jej pobytu w szpitalu? Nie mam ochoty na mętne tłumaczenia.

- Ciągłe nie powiedział pan, jaki jest cel tej wizyty? Dlaczego interesuje się pan moją pacjentką? Zdaje się, że była pacjentką.

- Z jakiego powodu trafiła do waszego szpitala? Rozmawiałem z jej krewną. Wiem, że miała kłopoty natury psychicznej.

- Kłopoty to może mieć zaraz pan, jeśli nie opuści tego gabinetu!

Doktor Zakrzewska poderwała się z fotela. Była mniej więcej o głowę niższa od Werensa. Jej reakcja była wielce zastanawiająca. Zupełnie zaskoczyła Werensa.

- Proszę się uspokoić. Prowadzę prywatne śledztwo na prośbę rodziny. Ta kobieta zaginęła. Szukam jakiegoś punktu zaczepienia. Wiem, że jest w bliskich relacjach z Erykiem Bundą. To pani pracownik. Zajmował się leczeniem chorej.

- Proszę pana, jako lekarza obowiązuje mnie tajemnica

zawodowa. Nie powiem panu niczego, co zdradziłoby rodzaj choroby mojej pacjentki i chociażby z grubsza jej przyczynę.

- A doktor Bunda? - Werens nie ustępował. Proszę podać mi jego numer telefonu, adres. Cokolwiek. Chcę zadać mu kilka pytań. Niewykluczone, że to on towarzyszy zaginionej. Proszę zrozumieć dramat jej bliskich, którzy są zrozpaczeni i śmiertelnie przerażeni. Mają chyba prawo wiedzieć, co się z nią dzieje! - Werens podniósł głos. Szybko się zreflektował i na znak przeprosin splótł dłonie i wykonał delikatny ukłon.

Doktor Zakrzewska ruszyła w jego kierunku. Minęła go i otworzyła drzwi na korytarz. Patrzyła na niego z wściekłością. Cedząc przez zaciśnięte usta, wolno wyrzuciła z siebie:

- Panie dziennikarzu, pomimo pańskich wyjaśnień, cel tej wizyty pozostaje dla mnie do tej pory nieznanym. Pytał pan o naszą pacjentkę, chociaż zdaje sobie pan sprawę, że obowiązuje nas tajemnica. Na co pan liczył? Że obcemu człowiekowi, a do tego żurnaliście, opowiem o ciężko chorej kobiecie? Że nie wiem, do czego pan tę rozmowę wykorzysta? Gazety są pełne tragicznych historii. Chce pan zarobić na kolejnej? A już pytanie o Eryka Bundę, jednego z naszych najlepszych lekarzy, jest szczytem bezczelności! - pani ordynator pchnęła mocno drzwi, tym samym dając znak, że rozmowę uważa za zakończoną.

Werens patrzył, jak doktor Zakrzewska wraca do szklanego biurka. Widział jej drżące, smukłe dłonie. Wsadziła je do kieszeni fartucha, wyciągnęła paczkę papierosów. Jednego z nich wcisnęła w kącik ust, z drugiej kieszeni wygrzebała zapalniczkę. Chwilę krzesła ogień. W ciągu następnych kilku sekund jasny dym zakrył jej wzburzoną twarz i gładko zaczesane platynowe włosy. Paweł stanął w szeroko rozwartych drzwiach, na korytarzu pielęgniarz wolno popychał wózek z młodą kobietą. Pacjentka miała nieobecny wzrok, w kącikach jej ust widoczna była ślina. Czy tak wyglądała Klaudia, kiedy tu trafiła? Werens ponownie skierował wzrok na zdenerwowaną lekarzkę.

- Pani doktor - powiedział sucho - zbyt niesprawiedliwie mnie pani osądza, ale ja to rozumiem. Prosiłem tylko o kilka

słów o Bundzie.

- Jest pan bardzo bezczelny, panie Werens. - Zakrzewska ruszyła do okna, które nieznacznie otworzyła. Dym rozpływał się w mroźnym, grudniowym powietrzu.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Bo Eryk Bunda od kilku dni nie żyje. Popełnił samobójstwo.

19 grudnia 2006, wtorek

Aspirant Dera bezskutecznie próbował dodzwonić się do żony. Od trzech dni przebywał na wsi, a zdawało mu się, jakby tu mieszkał od zawsze. Mieszkańcy, dowiedziawszy się o nowym dzielnicowym, widząc go na ulicy, sami podchodzili do niego i witali. Dera nie mógł pojąć, skąd w nich tyle sympatii i życzliwości dla obcego przecież człowieka, a do tego w mundurze. W mieście takie rzeczy się nie zdarzały. Wkrótce jednak poznał przyczynę tego stanu rzeczy. Jego poprzednik, aspirant Wiśniewski, był człowiekiem prostolinijnym, wyczulonym na niesprawiedliwość ludzką i krzywdę. Nigdy nie odmawiał pomocy. Mieszkańcy ufali mu bezgranicznie. Oczywiście do fanów aspiranta nie zaliczał się okoliczny element. Ale i on szanował policjanta za zasady, których nigdy nie łamał. Miał zawarty z nimi surowy układ. Był on jasny: Nigdy nie kalamy własnego gniazda. I kiedy teraz pojawił się nowy policjant w osobie Dery, ludzie, z miejsca obdarzyli go kredytem zaufania. Taka sytuacja poruszyła Adama Derę, poczuł się z miejsca odpowiedzialny za tę społeczność, za jej bezpieczeństwo i spokój. Aspirant Dera pomyślał nawet, że oto los, po tylu latach, uśmiechnął się do niego. Do pełni szczęścia brakowało mu u boku żony i córki. Dlatego wydzwaniał do nich każdego dnia, rano i wieczorem. Dzisiaj jednak coś było nie tak. Kobiety jego życia milczały. Trudno, uznał nowy dzielnicowy, widocznie nie mogą odebrać. Pora zająć się sprawą, o której myślał cały wieczór. Aspirant zastanawiał się nad zdarzeniem z zeszłego poniedziałku, kiedy to warszawski turysta natrafił na zwęglone zwłoki we wnętrzu piramidy w Rapie.

Dera wsiadł w służbową terenówkę i wyruszył do Komendy

Powiatowej w Gołdapi. „Terenówka” w przypadku samochodu, którym podróżował, było określeniem na wyrost. W istocie jechał niewielkim rumuńskim samochodzikiem ARO 10 z silnikiem o pojemności 1,4 i mocy ledwo sześćdziesięciu trzech koni mechanicznych. Wnętrze auta było ciasne, słabo wyciszone, a regulacja kierownicy mocno ograniczona. Szczególnie dla tak solidnego mężczyzny jak Adam Dera. Gdzie temu maluchowi do jego nissana! Mimo wszystko aspirant był zadowolony. Wolał ten niepozorny samochód od autobusu. Podróżowanie autem miało niezaprzeczalną zaletę w postaci poczucia niezależności.

W Komedzie Powiatowej był prawie w południe. Zameldował się przełożonym, którzy najwyraźniej wiele wiedzieli o przyczynie zsyłki Dery na prowincję i traktowali go bardzo nieufnie. Miał wrażenie, że był dla nich kapusiem, który zdradził prasie działania kolegów. Aspirant rozumiał ich niechęć, sam zachowałby się podobnie. Potem skierował kroki do naczelnika Wydziału Kryminalnego. Podkomisarz zajmujący to stanowisko, łysawy czterdziestolatek o nazwisku Koff, był w tym towarzystwie wyjątkiem. Poprosił go o zajęcie miejsca przy biurku. Wcześniej serdecznie uściśnął mu dłoń. Sprawa wnet się wyjaśniła.

- Znam pańskie dokonania, kolego. W przeciwieństwie do moich współpracowników jestem pod wielkim wrażeniem. To, co się stało... Ta cała sytuacja... Nie wiem, co powiedzieć. Powiem zatem wprost. Idioci są wszędzie. Nawet w centrali. A może tam w szczególności.

Te słowa natychmiast przełamały wszelkie lody. Dera poczuł, że ma do czynienia z bratnią duszą. Ponieważ jednak nie wypadało mu potwierdzać słów kolegi po fachu, pokiwał tylko głową i uśmiechnął się znacząco.

- Jaki jest powód pańskiej wizyty u mnie, kolego?

- Rapa. Tamtejsza piramida - wypalił Dera wprost.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - uśmiechnął się podkomisarz Koff i zaraz spoważniał. - Co chce pan konkretnie wiedzieć?

- Czyje ciało znaleźliście w piramidzie i jaka jest przyczyna śmierci?

- Pan chce wiedzieć, czy to był nieszczęśliwy wypadek czy zabójstwo.

- Wyjął mi to kolega z ust.

- A może to było samobójstwo? - Koff ponownie się uśmiechnął.

- A było?

- Hmm. Gdyby ten człowiek chciał popełnić samobójstwo, to sposób, jaki sobie wymyślił, należałby do bardzo karkołomnych. Dosłownie.

- Co pan ma na myśli?

- Odciął sobie głowę, a potem się podpalił?

- Więc to zabójstwo.

- Nie inaczej, panie kolego.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Pan wie, że to niemożliwe. Obowiązuje mnie tajemnica służbowa.

- Przecież to mój teren - Dera nie ustępował.

- Ale nie pańska działka. Należy do nas. A właściwie, należała.

- Jak to?!

- Na miejscu byliśmy pół godziny po otrzymaniu zawiadomienia. Okazało się, że ciało znajduje się wewnątrz piramidy. Tu pojawił się problem. Otóż wejście zostało zamurowane wiele lat temu, po tym, jak dokonano profanacji znajdujących się tam ciał. Wywleczono je z trumien i obcięto im głowy, które zniknęły. A w okna wstawiono kraty.

- To już wiem od Wiśniewskiego.

- To dobry policjant. Poznałem go wiele lat temu. Zapalony wędkarz. Pan może też wędkuje?

- A w jaki sposób to ciało znalazło się we wnętrzu? - Dera nie pozwolił na zmianę głównego nurtu opowieści.

- Cholera wie. Naprawdę! Nie mam pojęcia! Ściany były nienaruszone, kraty trzymały się mocno. Trzeba było wezwać strażaków ze sprzętem do wycinania grubych na palec prętów. We wnętrzu znaleźliśmy zwęglone zwłoki.

- A ta głowa?

- O, i tu robi się ciekawie. Głowa była odcięta wcześniej.

Wsadzono ją do worka.

- Skąd ta pewność?

- Nie była zwęglona.

- Jasne. Co było dalej? Przesłuchaliście tego turystę. Co zeznał?

- Niewiele. Przestraszył się chłopina, jeszcze dobrą godzinę po naszym przyjeździe był błądy jak ściana.

- No, to sporo się dowiedziałem, chociaż pamiętam, że to tajemnica. - Dera puścił oko do podkomisarza. - A gdybym tak jeszcze wiedział, kim jest ofiara, wówczas byłbym zupełnie zadowolony.

- I tu, niestety, moja opowieść się kończy.

- Nie wie pan, czyje to ciało?

- I już się nie dowiem.

- Dlaczego?

- Bo sprawę przejęli cwaniacy z ABW Zjawili się w dwie godziny po telefonie tego turysty.

- Pan żartuje!

- Nigdy nie byłem poważniejszy.

Paweł Werens siedział na korytarzu Komendy Miejskiej Policji przy ulicy Partyzantów 23 i czekał na rozmowę z zastępcą naczelnika Wydziału do Walki z Przestępczością przeciwko Życiu i Zdrowiu. Podinspektor nosił nazwisko Górecki i zapewne nie znalazłby czasu dla Werensa, gdyby ten nie przedstawił się jako znany warszawski dziennikarz śledczy. Taki sposób prezentacji ciągle otwierał mu wiele drzwi. Nawet mimo to, że Werens od kilku miesięcy nie zajmował się dziennikarstwem, a jego „prasówka” już nie była ważna. Zostawił ją na biurku redaktora Durskiego. Nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy. Te szerokie źrenice i lekko rozchylone usta, z których Durski nerwowo wycierał kantem dłoni ślinę. Nawet nie sięgnął po chusteczkę! Tak, odejście z redakcji to był gest, na który niewielu by się zdobyło. Bo przecież po wyjaśnieniu historii ze stażystą Durski próbował odkręcić sprawę i dawał mu do zrozumienia, że chce go mieć w dalszym ciągu w zespole. Ale Werens nie mógł mu tego, co się stało, wybaczyć. Nie chciał też dalej mieszkać w stolicy. Zdecydował się na

powrót do rodzinnego miasta.

Najbardziej z takiego obrotu sprawy ucieszył się Kort. Jego ukochany pies był teraz w siódmym niebie. Każdego ranka Werens zabierał go na długi spacer. Szli ulicami miasta, dochodzili do torów kolejowych, znikali w tunelu, by wyjść na aleję Wojska Polskiego. Teraz, idąc cały czas prosto, kierowali się w stronę miejskiego lasu. To tam dwa lata wcześniej znaleziono pierwszą ofiarę porachunków między kainitami. Demoniczny Adam Korbiel przeszedł w więzieniu swoiste nawrócenie i po wyjściu na wolność dokonywał zemsty za ofiary zamachu sprzed ćwierć wieku. Paweł szedł wąską ścieżką, pies, uwolniony ze smyczy, biegał między drzewami, oznaczał je w typowy dla czworonoga sposób. Dochodzili do strzelnicy wojskowej. Werens znowu wracał do przeszłości. Z rozczuleniem wspominał zamordowanego stryja Mariusza - byłego księdza. To stryj wprowadził go w świat biblijnych postaci, przybliżył życie papieży. Za swoje zaangażowanie zapłacił najwyższą cenę. Podobnie jak i bogu ducha winna żona stryja - Eliza. Gdzieś, może nawet blisko, ukrywał się sprawca tych wszystkich nieszczęść - Montalto. Okrutny starzec, który głosił chwałę zła. Negował dobro. Niszczył je przez całe swoje życie. Czy aby przez całe? Czy człowiek może urodzić się zły? Czy może to zło zawłaszcza go z czasem? Kilka dni wcześniej Werens dowiedział się o córce Montalto i jej bracie. A zatem i ten potwór musiał kiedyś kogoś kochać.

Potem wracali z psem do mieszkania przy ulicy Mickiewicza. Ojciec siedział nieruchomo, wpatrzony w jakiś punkt za oknem. Wyglądał nawet zwyczajnie. Dopiero kiedy zaczynał mówić, choroba pokazywała swoje okrutne oblicze. Coraz mniej pamiętał, ledwo rozpoznawał syna. Paweł wiedział, że agnozja coraz bardziej wyniszcza korę mózgową, jej tkankę nerwową. Ojciec poznawał go wyłącznie po głosie.

Z każdym dniem oddalał się od syna coraz bardziej. Dlaczego zmarnowałem tyle lat na uganianie się po świecie za nic nieznaczącymi sprawami!? Dlaczego po śmierci matki i brata nie okazałem ojcu więcej miłości?! Nawet wtedy, kiedy tu przyjechałem dwa lata temu, zamieszkałem u stryja, a nie u

niego. Już wtedy przecież musiał mieć objawy choroby.

Z tych rozmyślań wyrwał go podinspektor Górecki, który właśnie nad nim stanął.

- Pan Paweł Werens, prawda? - głos miał ciepły, ale stanowczy.

- Tak, to ja. Prosiłem pana o chwilę rozmowy. Czy znajdzie ją pan dla mnie?

- Przecież nie trzymałbym pana na tym korytarzu bez powodu.

- No tak...

- Zatem zapraszam! - przepuścił Werensa przed sobą.

Usiadł sztywno za biurkiem na skórzanym, miejscami przetartym fotelu. Wcześniej wskazał mu krzesło po drugiej stronie. Werens rozejrzał się po pokoju. Kilka regałów z jakimiś specjalistycznymi lekturami, na ścianach dyplomy uznania, a na biurku zdjęcie. Paweł nie mógł widzieć, kto na nim jest. Domyślał się tylko, że to rodzina podinspektora.

- Słucham pana? - Policjant z uwagą patrzył na Werensa.

- Przychodzę tutaj w sprawie samobójstwa.

- Czyjego?

- Trzynastego grudnia, w środę, w areszcie śledczym popełnił samobójstwo młody lekarz Eryk Bunda.

- Nie znam tej sprawy.

Werens spodziewał się takiej odpowiedzi i natychmiast dodał:

- To bardzo ciekawe, bo ordynator szpitala, w którym pracował Bunda, mówi co innego. - Paweł zrobił dłuższą pauzę i dodał: - Informację o śmierci Eryka przekazał jej podległy panu policjant.

- Być może. Nie mam obowiązku znać wszystkich nazwisk samobójców.

-Ale pan to nazwisko zna, prawda? Dlaczego zatem twierdzi pan co innego? Co pan ukrywa?

- Panie Werens - podinspektor nie był już tak uprzejmy i wyraźnie chciał, aby Paweł to dostrzegł - mam bardzo dobre kontakty z prasą, czego dowodem są te dyplomy na ścianach. Nie chcę tego psuć, ale pan najwyraźniej mnie zmusza, abym

zmienił dotychczasowe zasady. Powtarzam, nic nie wiem o Eryku Bundzie i nie wiem, co powiedział mój człowiek tej pani od czubków.

- Ja nie powiedziałem, w jakim szpitalu pracował Bunda...
Podinspektor zmieszał się, a jego twarz poczerwieniała.

- Doprawdy? - odburknął i wstał na znak, że rozmowa jest skończona.

- To będzie bardzo ciekawy artykuł...

- O czym pan mówi? - Górecki przechylił się przez biurko.

- O artykule do piątkowej gazety. Pan wie, największy nakład, z wkładką telewizyjną... Napiszę w nim o młodym lekarzu, który z jakichś nieznanych przyczyn trafił do aresztu śledczego i nie wiecieć czemu popełnił samobójstwo. A może ktoś mu w tym pomógł?

- Ależ panie! - Podinspektor uderzył pięścią w blat. Jego twarz nabrała purpurowej barwy.

- Albo mi pan powie, dlaczego Bunda znalazł się za kratami i w jakich okolicznościach umarł, albo ja tę sprawę opiszę! - Werens blefował na całego. Niczego nie zamierzał opisywać. Szukał wnuczki Montalto. Wiedział, że jej zniknięcie jest w jakiś sposób połączone z tym lekarzem. Spotykali się przecież, razem zniknęli. Artykuł temu chłopakowi już nie pomoże, a dziewczynie tylko zaszkodzi. Zbyt dobrze znał zasady tej gry.

- Eryk Bunda miał wypadek samochodowy - wypalił pokonany podinspektor i opadł na fotel, w którym jakby się skurczył.

- Z tego powodu trafił do aresztu?

- To był dziwny wypadek. Daleko stąd. Bunda potracił idącego prawidłowo poboczem człowieka. Nie udzielił mu pomocy. Kilometr dalej uderzył w przydrożny słup. Tam go znaleźli ludzie z komendy powiatowej. Był roztrzęsiony, jakby w amoku. Do tego pijany.

- A dziewczyna?

- Jaka dziewczyna?

- Czy była z nim młoda kobieta?

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Nasi ludzie znaleźli go w lesie. Niedaleko Bani Mazurskich.

- To powód, żeby przewozić go aż tutaj?
- Eryk Bunda, panie Werens, wyglądał bardzo dziwnie i równie dziwnie się zachowywał. Na jego rękach i ubraniu były plamy krwi.
- Tego potrąconego?
- I tu jest właśnie problem. Ta krew należy do kogo innego.
- Do kogo?
- Też bym chciał to wiedzieć!

Lena Lipska miała dosyć. Do jej skrzynki mejlowej cały dzień napływały wiadomości tej samej treści. W każdej z nich nadawca zapewniał o swojej miłości i oddaniu. Była niewyspana, bo w nocy nękały ją co kwadrans głuche telefony. Wreszcie nad ranem wyrwała przewód telefonu z gniazdka. Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej?!, zastanawiała się do świtu. A potem złapała się na tym, że jej rozważania są niedorzeczne. Była na skraju załamania nerwowego. Musiała coś z tym zrobić. Wiedziała też, że powinno to być rozwiązanie stanowcze i ostateczne. Dlatego rankiem wypila tylko gorzką kawę, wzięła prysznic i pojechała swoją zieloną toyotą yaris do komisariatu policji przy ulicy Partyzantów. Poprosiła o rozmowę z którymś z oficerów wydziału prewencji. Dyżurny policjant w randze aspiranta był bardzo uprzejmy, skierował ją do pokoju, w którym czekał na nią poważny mężczyzna za stylowym biurkiem. Przedstawił się jako komisarz Trzaska.

- Słucham panią - zaczął, równocześnie wskazując Lenie wolne krzesło - w czym mogę pomóc?

Lipska zajęła miejsce na krześle i dłuższą chwilę milczała. Zastanawiała się, od czego ma zacząć opowieść. Policjant bezmyślnie pstrykał długopisem. Lena dyskretnie obejrzała gabinet. Nie było w nim nic szczególnego. Szare ściany, miejscami zasłonięte regałami wypchanymi aktami spraw, nad biurkiem policjanta godło. Na biurku monitor, kilka kartek maszynopisu, kolejny długopis - reklamówka hotelu. Jedynym ciekawym elementem był naścienny kalendarz przedstawiający sławnych stróżów prawa, a raczej aktorów odgrywających role

policjantów. Grudzień należał do „Brudnego Harry'ego” - Callahana z jego słynnym magnum 44 w dłoni czy może po prostu Clinta Eastwooda. Lena w pewnej chwili zatrzymała wzrok na zakratowanym oknie. Komisarz taktownie chrząknął, co ją wyrwało z zamyślenia. Nabrała głęboko powietrza w płuca i szybko, zdanie za zdaniem, zaczęła wyłuszczać powód wizyty na komisariacie.

- Nazywam się Lena Lipska. Mieszkam nad Jeziorem Krzywym. Pracuję na uniwersytecie jako adiunkt w Katedrze Teologii Biblijnej. Od kilku dni otrzymuję dziesiątki głuchych telefonów. Mój komputer jest zapchany mejlami, których treść mnie bardzo niepokoi.

- Niepokoi? - powtórzył komisarz Trzaska.

- Przeraża. To chciał pan usłyszeć?

- Proszę się nie denerwować i mówić dalej.

- To właściwie wszystko. Chcę, by się to skończyło. Proszę o pomoc.

- Czy aby powiedziała mi pani całą prawdę? Czy domyśla się pani, kto stoi za tymi mejlami?

Lena milczała.

- Proszę pani, jest pani osobą wykształconą i ma świadomość, że nagabywanie kogoś, naprzykrzanie się i uporczywe nękanie to zdefiniowany w kodeksie karnym stalking. Jest on ścigany przez prawo. Grozi za to kara do trzech lat więzienia. My, oczywiście, zajmiemy się tą sprawą. Ale musi pani chcieć nam pomóc. Dużo szybciej uporamy się z tym prześladowcą, kiedy pani zdradzi nam więcej szczegółów. Proszę zatem się odprężyć. Tu nic pani nie grozi. Opowiedzieć wszystko ze szczegółami. To pomoże nam zidentyfikować przestępcę. Czy zatem są jakieś zdarzenia mogące ułatwić nam określenie tożsamości tego człowieka?

Lena patrzyła teraz na komisarza w wielkim napięciu. Jej usta drżały, a do oczu nabiegły łzy. Wreszcie bardzo cicho powiedziała:

- Nikogo nie trzeba szukać. Człowiekiem, który to robi, jest mój były mąż.

Paweł Werens opuścił gabinet podinspektora Góreckiego.

Wolno schodził po schodach. Zastanawiał się nad słowami policjanta. Myślał o Eryku Bundzie i o krwi na jego ubraniu, a właściwie o tym do kogo należała. W pewnej chwili, gdy już znajdował się przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na zewnątrz budynku, dostrzegł postać kobiety. Skądś znał tę sylwetkę. Werens cofnął się o krok. Z uwagą patrzył na postać idącą długim korytarzem w jego kierunku. Nie mylił się. To była Lena. Doktor Lena Lipska. Młoda pani doktor miała bardzo smutną twarz. Zachowywała się dziwnie. Jakby nie widziała poruszających się po korytarzu ludzi. W pewnej chwili nawet na jednego z nich wpadła. Dopiero teraz oprzytomniała i już trzęszącym wzrokiem ogarnęła korytarz. W następnej chwili przystanęła. Patrzyła na Werensa z wielkim zdziwieniem. Jej twarz nagle pojaśniała. Uśmiechnęła się delikatnie i, prawie biegnąc, ruszyła w jego kierunku. Rzuciła mu się na szyję. Paweł był również zaskoczony. Po chwili poczuł, że zaskoczenie przechodzi we wzruszenie. Lena! Ta sama Lena, z którą kilka miesięcy wcześniej rozszyfrowywał makabryczną zagadkę. Po ucieczce Montalto rozstali się. Lena wróciła na uczelnię, on zajął się ojcem i urządzaniem mieszkania. Dlaczego do niej nie zadzwonił? Owszem, czasem czuł taką potrzebę, lecz zawsze znalazł jakieś wytłumaczenie. Teraz Werens patrzył na nią rozpromieniony. Oto piękna pani doktor obejmowała go niczym wytęsknionego kochanka. Paweł dopiero teraz zorientował się, że przecież musiało stać się coś złego. Po co by tu przychodziła? Jej uścisk, który początkowo brał za wyraz wielkiej sympatii, oznaczał coś zupełnie innego. Werens już wiedział, że Lena obejmuje go, bo się czegoś boi. Jak dziecko tulące się do matki. Poczul lekki zawód. Ale w następnej chwili ogarnęła go fala wzburzenia. Kto lub co zagraża tej wspaniałej kobiecie?! Postanowił, że nie zostawi jej teraz samej. Zdjął zatem jej ręce ze swoich ramion. Znalazł w kieszeni chusteczkę, którą wytarł łzy na jej policzkach. A potem, zaciskając jej dłoń w swojej, wyprowadził Lenę z budynku.

Komisarz Trzaska, obserwując przez okno Lenę Lipską w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, poczuł się oszukany. Czyżby ta kobieta kłamała? Jeszcze pięć minut temu płakała z powodu

nachodzenia przez eksmęża, a teraz wychodzi z innym facetem. Kto wie, może wszystko to zmyśliła, by się odgryźć na byłym? Tu komisarz uśmiechnął się do siebie. A może nie ma żadnego męża? Widział już większe wariatki ogarnięte manią prześladowczą. Jest też inna możliwość. Facet na dole to mąż tej kobiety. Przyszła narobić kłopotów niewinnemu człowiekowi? To możliwe. Zazdrość, kochanek, podział majątku. Są dziesiątki powodów. Ludzie zdolni są do wszystkiego. Jedno komisarz wiedział na pewno. Nie zamierzał ruszyć w tej sprawie palcem.

Nowo mianowany dzielnicowy numer pięć Adam Dera sięgnął po aparat. Tym razem nie dzwonił do żony. Chwilowo dał sobie spokój z telefonowaniem do domu. Widocznie nie był bliskim do niczego potrzebny. Albo, co też mogło okazać się bolesną prawdą, kobiety jego życia nie były zainteresowane jego losem. Był pewien, że mają się dobrze. Gdyby coś się stało, natychmiast by go powiadomiono. W końcu przez te lata stał się osobą znaną w środowisku policyjnym. Tak czy inaczej w sercu czuł wielki smutek. Dera wybrał warszawski numer swojego przyjaciela. Komisarz Jerzy Nowak od wielu lat pracował w Warszawie w Komendzie Głównej Policji, ściślej - w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnych. Nowak zajmował się analizą i obsługą informacji. Kiedy zadzwonił telefon od Dery, akurat pełnił dyżur w swym niewielkim gabinecie przy ulicy Puławskiej.

- Witaj, Jerzy, tu Adam.

- Adaś!?! - Nowak prawie wrzasnął do słuchawki.

- No, przyjacielu, czemu się nie odzywasz?

- Przenieśli mnie - powiedział Dera.

- No co ty mówisz?! - Nowak udał zaskoczenie tą informacją.

W istocie dobrze wiedział, jaki los spotkał jego przyjaciela. Długo zastanawiał się, czy dzwonić do niego w tej sprawie. Ostatecznie uznał, że lepiej będzie milczeć. Adam, jeżeli zechce, sam mu opowie o tym przeniesieniu. Dlatego teraz, niczym wytrawny aktor, zapytał: - A gdzie cię przenieśli?

- Na wieś. Wcześniej mnie zdegradowali. Pamiętasz tę sprawę z przeciekami do mediów szwindli Kulisa z tymi cwaniakami z ABW? No więc to ja powiadomiłem dziennikarzy.

- Żartujesz!

- Potem chciałem odejść. Ale sam wiesz, jak jest. Gdzie ja dostanę robotę w moim wieku? Na stróża pójdę? Do ochrony? Basia z córką by tego nie przeżyły... No to zgodziłem się na to przeniesienie. Od kilku dni siedzę w Baniach Mazurskich. To typowo turystyczna miejscowość. Latem musi tu być pięknie. Aż dziw, że tu nigdy nie byliśmy na wakacjach.

- No, to teraz będzie okazja - Nowak próbował pocieszać wyraźnie podłamanego przyjaciela. - Zaprosisz mnie, to przyjadę na ryby.

- Jasne, że zaproszę.

- Trzymam cię za słowo!

Po tej wymianie zdań zaległa kłopotliwa cisza.

- Adaś - warszawski policjant zmienił ton - wiem, że nie dzwonisz, by opowiadać o urokach wiejskiego życia. Coś się stało, prawda?

- Właściwie - zaczął Dera - to jeszcze nie...

- Adam! Nie mów mi, że się zamierzasz w coś pakować! Ty wariacie! Nie możesz usiedzieć pięciu minut spokojnie? Państwo zafundowało ci lekką posadę na krańcu świata, a ty już wieszysz. Bo ty wieszysz, prawda?

- Po to dzwonię. Nie wiem, czy warto się w to mieszać... Wszystko zależy od tego, co mi zechcesz powiedzieć. No i, wiadomo, to nie jest do końca legalne.

- I co ja mam z tobą zrobić? Jak się nie zgodzę, to nici z wakacji na Mazurach, tak? No dobra, wal.

- Jedenastego grudnia, w poniedziałek, znaleziono zwęglone ciało we wsi Rapa, a właściwie w tamtejszym grobowcu Fahrenheitów. Niby to jest mój rejon, ale sprawą zajęli się chłopcy z kryminalnej w Goldapi. Wiadomo, trup to nie robota dzielnicowego. Ale kiedy pojechałem do nich, żeby mi o tym opowiedzieli, pojawił się problem. A właściwie ludzie z ABW. Odsunęli naszych od sprawy i zabrali ciało ze sobą.

- To w czym problem? Temat został zamknięty.

- Wiesz, że nie dla mnie. To mój teren, chcę wiedzieć, co się na nim dzieje.

- I ja mam się dowiedzieć, kim jest ten trup? A niby jak? Mam się włamać do bazy danych ABW? Czyś ty zwariował?!

- Od chwili znalezienia ciała do przybycia tych cwaniaków minęły dwie godziny.

- Faktycznie, szybko.

- A oznacza to tyle, że oni tego kogoś najwyraźniej szukali. Pojawili się błyskawicznie.

- I to pewno od dawna szukali.

- Właśnie.

- Coś mnie się zdaje, że jak kogoś się tak mocno szuka, to ten ktoś musi mieć więcej wrogów niż tylko ABW. Dowodem na to jest obcięta głowa przy tym truposzu.

- Uuuu, ostro. Adam, mów, czego chcesz.

- A czego ja mogę chcieć? Głowy chcę! Dowiedz się, z czyjego karku ta głowa spadła.

- Tylko tyle?! - Nowak wyraźnie drwił z przyjaciela. - Takim drobiazgiem zawracasz mi głowę? Poproś złotą rybkę o coś większego. Może chcesz, żebym ci przesłał numery najbliższego losowania totolotka?! Albo kartę kredytową premiera z PIN-em? Adam, przykro mi, ale tym razem przesadziłeś. Nie mogę ci pomóc. Możesz prosić mnie o różne rzeczy, ale ABW to zamknięta twierdza. Daj sobie z tym spokój. Tym razem odpuść. Mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu.

Dzielnicowy Adam Dera bez słowa rozłączył się. Był wściekły. Sam nie wiedział, na kogo bardziej. Czy na przyjaciela, czy może na siebie, że zdecydował się drażnić tę sprawę. Na co właściwie liczył? Czy spodziewał się, że Jerzy zadzwoni do ABW i z uśmiechem na ustach zapyta o zwęglonego truposza? Poprosi o jego dane włącznie z adresem i numerem PESEL? Co go podkuśiło, by wsadzać nos w nie swoje interesy? Wreszcie, w co pakował Nowaka? Przyjaciel przez jego prywatne dochodzenie mógł stracić pracę. Wystarczyło, że jego zdegradowano. Czy chciał pociągnąć innych na dno? A może to wszystko przez to, że nie udało mu się porozmawiać z żoną i córką? Zostawiły go

samego z tymi wszystkimi problemami, z urządzaniem na nowo życia. Dera sięgnął ponownie do kieszeni po telefon.

- Jerzy - powiedział przez zaciśnięte gardło - przepraszam. Naprawdę jest mi przykro. Nie chciałem, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

- Wiem - usłyszał w odpowiedzi - dużo przeszedłeś i masz prawo być wściekły.

- Będziemy dalej przyjaciółmi? - zapytał cicho i z lękiem.

Odpowiedź usłyszał prawie natychmiast:

- Zawsze i wszędzie, wariacie!

Paweł Werens siedział z Leną Lipską w „Cafe Teatralna”. Stolik obok zajmowała wesółą grupą młodych ludzi. Prawdopodobnie byli to słuchacze studium aktorskiego. Od wizyty w komisariacie upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by Lena zaczęła odzyskiwać spokój. Podobnie było z Pawłem. Chwilę wcześniej pokonali niewielki odcinek dzielący komisariat przy Partyzantów od kawiarni w budynku Teatru Jaracza. Do ulicy 1 Maja doszli w zupełnym milczeniu. Dziwne to było zachowanie jak na ludzi, którzy spotkali się po kilku miesiącach. Dopiero w kawiarni poczuli się swobodniej. Każde z innego powodu. Lena była przekonana, że mury teatru chronią ją przed natarczywym eksmężem, Paweł zaś przez chwilę zapomniał o schorowanym ojcu. Patrzył na śliczną Lenę. Jej zielone oczy błyszczały zza przyciemnionych okularów. Poprawiła czarną grzywkę i uśmiechnęła się do niego serdecznie. Sięgając po filiżankę z kawą, dotknęła palcami grzbietu dłoni Pawła i powiedziała:

- Nie wiesz, jak bardzo się cieszę z tego spotkania! Właśnie w tym dniu, w ponurym komisariacie.

- Ja również - rzucił błyskawicznie i równocześnie zatrzymał jej palce w swoich. Zrobił to odruchowo. Nie myślał w tej chwili o konsekwencjach.

Lena nie poczuła się jednak urażona. Wręcz przeciwnie, jeszcze mocniej zacisnęła uścisk. Paweł miał suche, ciepłe i delikatne dłonie. Było jej dobrze z tym ciągle młodym, nieco

zmanierowanym mężczyzną, który kiedyś pojawił się w jej życiu na chwilę, wciągnął ją w wielką, niebezpieczną przygodę. Tyle że potem zaraz zniknął. Prawie go nie знаła, ale czuła do niego wielką sympatię. Był uprzejmy, bystry i opiekuńczy. Musiała przyznać, że podobał jej się również fizycznie.

- To znaczy - prostował Werens - cieszę się ze spotkania, niekoniecznie z komisariatu. Właśnie, Leno, co się właściwie stało? Bo że się coś stało, to wiem. Wystarczyło na ciebie spojrzeć. Oczywiście możesz nic nie mówić, zrozumiem to.

- Nie, nie zamierzałam ukrywać tego przed tobą. Chciałam tylko dojść do siebie. Teraz jest dobrze. Tu, w tej kawiarni. Wśród ludzi. Już zapomniałam, że można się śmiać. Paweł, musisz coś o mnie wiedzieć. Ta historia ciągnie się za mną od dawna, dokładnie to od dziesięciu lat. W moim życiu był ktoś...

Werens patrzył na nią w skupieniu.

- ...Wydawało mi się, że bardzo ważny, najważniejszy. .. Kończyłam liceum, on był o dziesięć lat starszy. Miał żonę i dziecko. Zakochałam się jak wariatka. Pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wtedy mieszkałam jeszcze w Warszawie. Imponował mi pod każdym względem. Wiesz, taki supermen. Piękny, bogaty, wykształcony, czuły. Zabierał mnie do eleganckich restauracji, na wycieczki. Przyjeżdżał po mnie pod szkołę. Dziewczyny mi go zazdrościły, czułam to. Czasem podpytywały, jakim jest kochankiem. Wtedy uśmiechałam się tajemniczo, czym powodowałam jeszcze większą zazdrość. Byłam w siódmym niebie... Pewnego dnia podeszła do mnie pod szkołą kobieta. To była jego żona. Szok to najwłaściwsze słowo dla oddania tego, co wtedy poczułam. Widziałam te wszystkie moje koleżanki patrzące na nas z ławek, przez okna. Teraz mi nie zazdrościły, a jawnie szydziły, czekały, aż ta kobieta urządzi mi piekło. Czułam, jak moja twarz płonie. Nogi miałam wypełnione ołowiem, ciągnęły mnie do ziemi. Oczywiście, to nie była przyjemna rozmowa. Jej słowa cięły niczym żyletki. Na koniec ta kobieta powiedziała mi, że mogę go sobie zabrać, ale przychodzi, żeby mnie ostrzec. Mówiła, że to niebezpieczny człowiek. Zatkalo mnie! Pomyślałam, że to wariatka. Raz, że do mnie przyszła. Dwa,

chce bez walki oddać takiego faceta. A trzy, to w filmach zawsze jest na odwrót. To żony walczą z kochankami o rodzinę. Aleksander niebezpieczny! Też coś! Wtedy niewiele jeszcze wiedziałam o nim, ale i o życiu. Po pierwszym szoku ogarnęła mnie fala szczęścia. Mogłam być z nim teraz już oficjalnie. Kończyłam szkołę, wybierałam się na historię sztuki. Świat był mój. On, Aleksander, też niby był zadowolony. Mówił, że dogadał się z żoną. Rozchodzą się jak ludzie na poziomie, bez krzyków i wyciągania brudów. I rzeczywiście, dostał rozwód. Nawet szybko. Okazało się, że to żona naciskała, aby nie przeciągać sprawy.

- Czy twoi rodzice o tym wiedzieli? - zapytał Werens.

- Przedstawiłam im Aleksandra już po jego rozwodzie. Zrobił na nich duże wrażenie. Pierwszy sekretarz misji dyplomatycznej to było coś. I co z tego, że rozwodnik? Różnica wieku też im nie przeszkadzała.

- Mówiłaś, że Aleksander miał dziecko...

- Zostało przy jego byłej żonie.

- Co było dalej?

- Teraz to ja byłam w ciąży. Wzięliśmy szybki ślub. Zażądali go moi rodzice. Co by powiedzieli ich sąsiedzi?! Matka i ojciec to ludzie zakłamanii. Po roku studiów musiałam wziąć urlop dziekański. Siedziałam w domu z dzieckiem. Córeczka miała na imię Ewa. Ale brakowało mi zajęć na uczelni. Zawsze chciałam być naukowcem. Aleksander był innego zdania. Sam świetnie wykształcony, mnie widział w roli kury domowej. Coraz częściej wyjeżdżał. Za każdym razem na dłużej i dłużej. Siedziałam z malutką Ewą i w wolnych chwilach próbowałam coś czytać, żeby nie stracić kontaktu z nauką.

- Ale jednak wyrwałaś się z tego impasu...

- To stało się nagle. Pewnego dnia do naszego domu przyszła policja. Pytali o Aleksandra, o jego relacje z byłą żoną. Okazało się, że wcale nie przestał się z nią spotykać. Tydzień przed tym, kiedy przyszła policja, jego żona miała śmiertelny wypadek. Samochód stoczył się ze skarpy do jeziora. Zginęła wraz z dzieckiem. Tragicznego dnia widziano ją w towarzystwie mojego męża. Biegli nie byli pewni co do przyczyny.

Aleksandra postawiono nawet w stan oskarżenia, ale jego stać na dobrych prawników.

- Wtedy odeszłaś?

- Tak. Zaczęłam się go bać. Wiedziałam, że to on zepchnął ten samochód w nurt. Nigdy nie wybaczył jej, że od niego odeszła. Za to ją ukarał. Chciał mieć nas obie. To człowiek chory psychicznie. Wniosłam sprawę o rozwód. Wygrałam po walce. Jeszcze w trakcie śledztwa i rozprawy wróciłam na studia. Zabrałam Ewę i przeniosłam się do akademika. Było mi ciężko. Matka z ojcem odwrócili się ode mnie. Rzekomo wcześniej ostrzegali mnie przed tym ślubem... To hipokryci.

Werens zastanawiał się chwilę nad pytaniem, które zamierzał zadać Lenie. Miał duże opory, ale wreszcie nie wytrzymał:

- Co się stało z twoją córeczką?

- Aleksander postanowił się zemścić. Udało mu się. Jak zawsze zresztą. To diabeł w ludzkiej skórce.

- Leno, co on zrobił?

- Ten potwór nas wyśledził, porwał ją i wywiózł za granicę! - Lena zakryła dłońmi twarz. - Trop się urwał. Szukałam córki wszędzie. Potem postanowiłam przyjechać tutaj, ukryć się przed nim. W pewnym sensie zapomnieć. Tyle że to niemożliwe!

- To straszne! - krzyknął Werens, czym zwrócił na siebie uwagę studentów.

- Straszne jest to, że on właśnie powrócił.

Policjant Adam Dera siedział na drewnianej ławie w barze „Młyn” i czekał na talerz z apetycznymi kartaczami. Chwilę wcześniej otrzymał wiadomość od żony. Na wyświetlaczu niewielkiego telefonu pojawiły się trzy słowa: „To jeszcze potrwa”. Dera nie wiedział, jak ma rozumieć ten komunikat. Był pełen najgorszych przeczuc. No bo co jeszcze potrwa? Ich związek? Milczenie żony i córki? A więc się obraziły. Są na niego wściekle za to zesłanie i nie zamierzają się do niego przeprowadzać. Tak, to pewne. Znał takie przypadki. Rozłąka nie oznaczała nigdy niczego dobrego. Pół biedy, kiedy był to

miesiąc, dwa, trzy... Ale nie rok. Zaraz, jaki rok? Przecież on ma tu zostać do emerytury! Z rozmyślań wyrwał go właściciel karczmy, który postawił mu przed nosem pachnącą specjalność zakładu. Dera ciągle był zamyślony, dlatego niedbale sięgnął po sztućce. W następnej chwili łokciem przewrócił słoik z keczupem. Gęsta maź rozlała się po stole. Wtedy błyskawicznie oprzytomniał.

- Bardzo przepraszam! - Niezdarnie zabrał się za wycieranie stołu. - Tyle sosu. Jakby krew się wylała...

- O, krew to się wylała tydzień temu. To tutaj, ta plama, to żaden kłopot. Zaraz się wytrze - powiedział gospodarz i sięgnął po ścierkę.

Dzielnicowy Dera zeszywniał.

- Krew. Mówi pan, krew? Czyja krew?

- A takiego młodego kierowcy. Koło piramidy w Rapie, na drodze do Żabina. Podobno jechał jak wariat. Jakby pijany. No i na drzewie skończył. Ale to ciekawa historia, bo nic mu się nie stało, a krwi na koszuli to podobno miał jak tego keczupu na stole. No i skąd?

- Czy przyjechała policja?

- A jakżeby inaczej. Nasz Wiśniewski przyjechał. Zabrał go na posterunek.

Dzielnicowy Adam Dera poderwał się od stołu, zostawił pachnący obiad i popędził do komisariatu.

Aspirant Filip Wiśniewski siedział wygodnie rozparty w obrotowym fotelu. Czytał lokalną gazetę. Na widok purpurowej twarzy nowego kolegi odłożył gazetę na bok.

- Wypadek w Rapie - Dera rzucał zdanie za zdaniem. - Ranny młody człowiek... Byłeś tam... Zabrałeś go tutaj... Kto to był... Nazwisko... Podaj mi jego nazwisko!

Wiśniewski zastanawiał się dłuższą chwilę, wreszcie sięgnął do szuflady po teczkę z jakimiś zapiskami. Przeglądał ją jakiś czas, po czym głośno odczytał:

- „Dziesiątego grudnia na drodze do Żabina o godzinie ósmej trzydzieści miało miejsce zdarzenie w ruchu drogowym, w wyniku którego ranny został obywatel Eryk Bunda, lat dwadzieścia pięć, zamieszkały w Olsztynie przy ulicy

Dworcowej 20. Z zeznań świadka obywatela Jana Pota zamieszkałego we wsi Rapa wynika, że kierujący samochodem saab koloru wiśniowego Bunda potrącił idącego prawidłowo poboczem człowieka. Nie udzielił mu pomocy. Kilometr dalej uderzył w przydrożny słup". To wszystko.

- Dobra - przerwał Dera - co było dalej?

- Tam go znalazłem. Był roztrzęsiony, jakby w amoku. Do tego pijany. Przywiozłem go do Gołdapi, do chłopaków z komendy powiatowej. Facet coś kręcił. No i miał na rękach krew.

- Tego potrąconego?

- No właśnie, że nie! To było najbardziej podejrzane. Dlatego prokurator zwrócił się do sądu o tymczasowe aresztowanie.

- I co, dostał zgodę?

- Tego nie wiem. Na drugi dzień był ten trup w piramidzie. Całą uwagę żeśmy na tym skupili.

- I nie połączyliście tych wydarzeń w całość?

- Niby czego?

- Że ten Eryk Bunda może mieć coś wspólnego ze zwęglonym ciałem?

- A może? - zapytał zaciekawiony Wiśniewski.

- Też jestem tego ciekaw.

Paweł trzymał rozdygotaną dłoń Leny. Grupa studentów opuściła salę i zostali sami w kawiarni. Werens był wstrząśnięty wyznaniem Leny. To, co przeszła ta delikatna, piękna kobieta, poruszyło go do głębi. Piekło zgotowane przez niezrównoważonego Aleksandra powracało w całej swej straszliwej potędze. Gdzieś tutaj, może nawet całkiem blisko, czaił się psychopata. Lena opowiedziała Pawłowi o głuchych telefonach, dziesiątkach mejli, bukietach kwiatów. Spodziewała się najgorszego. Powiedziała mu też o reakcji policji. Odniosła wrażenie, że niewiele chcą w tej sprawie zrobić. Prawdopodobnie wzięli ją za mitomankę i paranoiczkę. Była sama. Ale przecież on był przy niej. Wiedział, że musi jej pomóc. Tyle że on również potrzebował pomocy. Opowiedział

jej o ciężko chorym ojcu. O walce z alzheimerem.

- Wiesz - Werens patrzył smutnymi oczyma na Lenę - najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja dopiero teraz poczułem potrzebę przebywania z ojcem. Przez te długie lata uciekałem. Może to poczucie winy?

- Winy?

- Tak. Kiedyś, wiele lat temu, wydarzyło się coś strasznego. Moja mama i brat... Oni utonęli. Byłem razem z nimi na tej łódce. Odtąd zawsze zadawałem sobie pytanie: Dlaczego to oni, a nie ja?

Lena chwyciła go za rękę.

- Paweł, spójrz na to wszystko z drugiej strony. Odzyskałeś wreszcie ojca. Mówisz, że czujesz potrzebę przebywania z nim. Ty zdążyłeś. Nie każdy z nas ma to szczęście.

- Tak myślisz? Tyle tylko, że zbyt późno. On już mnie prawie wcale nie poznaje.

-A ja myślę, że poznaje ciebie bardzo dobrze.

-Jak?

- Nosi ciebie w sercu. Wypełnia je tobą.

Słowa Leny sprawiły, że Paweł poczuł się znacznie lepiej. Jeżeli nawet nie do końca wierzył w to, co powiedziała, odczuwał ulgę. Wzbierała w nim radość. Przypominały mu się chwile z ojcem, kiedy ten odzyskiwał kontakt z rzeczywistością. Niewiele ich już było, ale w tym momencie wyłuskiwał z przeszłości najdrobniejsze zdarzenia i przedstawiał je jako ważne i intensywne. Kto wie, może właśnie te skrawki nadawały życiu większy sens? W pewnej chwili zawstydził się swego słowotoku. Przecież Lena jeszcze godzinę temu opowiadała mu o psychopatycznym człowieku! Ona ciągle się boi, a on odczuwa radość. Werens postanowił zmienić temat. Uznał, że warto wprowadzić ją w sprawę zaginięcia córki Montalto. W końcu to Lena kilka miesięcy wcześniej pomogła mu rozwiązać zagadkę serii zabójstw i planowanego zamachu na papieża.

- Klaudia jest córką Cecylii Garde. A więc wnuczką Montalto. Ma dwadzieścia pięć lat. Przeszła załamanie nerwowe po tym, jak w jej życiu pojawił się jej dziadek. Trafiała do szpitala dla nerwowo chorych, z którego wyciągnął ją lekarz Eryk Bunda.

Prawdopodobnie zostali parą. Dziewiątego grudnia wyszła z domu i tu ślad po niej się urywa.

- Może wyjechała gdzieś z tym Erykiem?

- Eryk nie żyje. Spowodował wypadek samochodowy, trafił do aresztu. Tam popełnił samobójstwo.

- To straszne!

- Nie popełnia się samobójstwa z powodu zakończenia jazdy na przydrożnym drzewie. Coś się stało. Policja odmawia informacji. Zasłania się dobrem śledztwa. A Klaudii jak nie było, tak nie ma. Podjąłem się zadania odnalezienia tej dziewczyny. Obiecałem to jej matce. Tyle tylko, że nie wiem, od czego mam zacząć. Stoję w miejscu. Montalto zapadł się pod ziemię. Czuję, że ma on z zaginięciem Klaudii wiele wspólnego. Znajdę Klaudię, to znajdę jego.

- A rodzice tego Eryka? - powiedziała nieśmiało Lena.

- Jacy rodzice?

- No, ojciec i matka. Tak klasycznie. Czy z nimi już rozmawiałaś?

Werens patrzył teraz na Lenę z niezbyt mądrym wyrazem twarzy. Dlaczego na to nie wpadł? Nie ma co, znalazł się detektyw! By do reszty się nie pogrążyć, zrobił skupioną minę i wypalił:

- Rzecz jasna, myślałem o tym. Nie mam jeszcze tylko adresu tych ludzi.

- To może zajrzyjmy do książki telefonicznej?

Werens wiedział, że jego kłamstwo wypadło żałośnie. Postanowił w najbliższym czasie poprawić swoje notowania. Okazja miała się pojawić bardzo szybko.

Jerzy Nowak siedział w swoim niewielkim warszawskim gabinecie przy ulicy Puławskiej, kiedy zadzwonił do niego Adam Dera.

- Jurek? Tu Adam. Masz chwilkę?

- Dla ciebie zawsze. Wal.

- Jest sprawa. Dziesiątego był tu u mnie wypadek. Młody człowiek, Eryk Bunda. Powtarzam, Eryk Bunda. Zapisaleś? Ten

Bunda potrafił prawidłowo idącego pieszego. To było w okolicy tej piramidy w Rapie. Tej, wiesz...

- Tej, w której znaleźli trupa bez głowy? Pamiętam. Ciekawe.

- Prawda? Tego truposza, którego zabrali ludzie z ABW

- A kiedy znaleźli tego trupa?

- No właśnie. Dzień później. Najpierw wypadek tego Bundy, a później trup. Mnie się zdaje, że to nie przypadek. Facet był bardzo wystraszony, miał na rękach krew.

- Co chcesz wiedzieć?

- Gdzie jest ten cały Eryk Bunda? I co to za gość. Wiesz, czy nienotowany i tak dalej.

- Dobra. To mogę załatwić. Jeżeli wzięli go nasi chłopcy, to sprawa jest prosta. Zadzwoń do mnie za godzinę.

Aspirant Dera podziękował i rozłączył się. Po chwili sięgnął ponownie po telefon. Odnalazł numer żony. Nacisnął zielony przycisk i czekał. Nic. Po drugiej stronie nikt nie odbierał. Ponowił połączenie. Bez rezultatu. W następnej kolejności wybrał numer córki. Tak jak się spodziewał, nie udało mu się porozmawiać z własnym dzieckiem. Co jest?, zastanawiał się dłuższą chwilę, by dojść do smutnego wniosku, że kobiety jego życia miały go w nosie. Po umówionej godzinie Dera wybrał numer telefonu Nowaka. Czekał...

Paweł wrócił do domu, gdzie zastał śpiącego w fotelu ojca, a u jego stóp rozłożył się Kort. Pies, widząc pana, zamierdał wesoło ogonem, lecz nie ruszył, jak to miał w zwyczaju, w jego kierunku. Stało się tak za sprawą Leny, która zatrzymała się tuż za Pawłem w progu i obserwowała zwierzaka z ostrożnością. Lubiała psy, ale się ich bała. Nie inaczej było i w tym przypadku. Na nic zdały się tłumaczenia Pawła, że Kort to dobre psisko, które nie skrzywdziłoby nawet muchy. Lena bała się i koniec. Dlatego z ulgą przyjęła informację o spacerze z psem, jaki planował Paweł. Nie było to szczytem taktu, ale postanowiła zostać z jego ojcem w mieszkaniu, podczas gdy pan i jego pies mieli wyjść na pobliski plac. W tym czasie Lena usiadła na kanapie i z uwagą obserwowała śpiącego starca. W pewnej

chwili poruszył się nieznacznie i okrywający mu uda koc spłynął na podłogę. Lena delikatnie wstała i ruszyła, by poprawić okrycie. Kiedy kładła koc na kolana mężczyzny, ten otworzył oczy i dłuższą chwilę patrzył na nieznaną kobietę. Chwyił jej drżącą rękę i mocno zacisnął. Poczula ból. Nie spodziewała się pokazu takiej siły po schorowanym staruszku. Ojciec Pawła patrzył cały czas na nią i wreszcie wolno powiedział:

- Zaraz do ciebie przyjdę, Stokroteczko.

Lena wyrwała rękę i odskoczyła od niego. Długo czuła lodowaty uścisk kościstych palców. Masowała nadgarstek nawet jeszcze po tym, jak Paweł wrócił z psem.

- Czy Stokrotka to twoja mama? - zapytała Werensa odpinającego mokremu zwierzakowi obrozę.

Werens drgnął:

- Skąd znasz to określenie? - Patrzył na nią w skupieniu.

- Kiedy ciebie nie było, tak do mnie powiedział. Chwyił mnie za rękę: „Zaraz do ciebie przyjdę, Stokrotko” - powtórzyła słowa staruszka.

- Nie Stokrotka, a Stokroteczka. Tak na nią wołał. Pomylił ciebie z nią. Z moją matką, a jego żoną.

Teraz zaczęło się dzieć coś niedobrego. Ojciec Pawła zrzucił ponownie koc okrywający mu biodra, dłonie zacisnął na poręczach fotela i dźwignął ciało z siedzenia. Towarzyszył temu cichy jęk. Paweł rzucił się w jego kierunku. Widział twarz ojca, która błyskawicznie poczerwieniała, oczy chorego mężczyzny zaszkliły się łzami, a z ust wypłynęła gęsta piana. Jakby w jego wnętrzu coś eksplodowało. Ciało przechyliło się do przodu i o ułamek sekundy wyprzedziło reakcję Pawła. Nim dobiegł do fotela, ojciec uderzył piersią i twarzą o podłogę. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż tułowia, jakby był martwy. Błady syn przekreślił ojca na plecy. Staruszek ciężko oddychał. Miał rozcięte czoło, z rany wolno wypływała *ciemna* strużka krwi.

- Dzwon po pogotowie, dzwon po pogotowie! - Paweł krzyczał, jakby to miało przyspieszyć reakcję Leny. Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni niewielki *telefon*. Po chwili rozmawiała z dyżurnym. Karetka miała pojawić się za dziesięć minut. Lena

podbiegła do okna, otworzyła je szeroko. Do pokoju wdarło się świeże powietrze, firany pofrunęły pod sufit. Paweł siedział na podłodze przy ojcu. Nie wiedział, co ma robić. By zająć czymś dłonie, głaskał po czole i policzkach nieprzytomnego ojca. Strużka krwi spływała z czoła do ucha. Wycierał ją papierową chusteczką, którą podała mu Lena. Czas płynął bardzo wolno. Werens odliczał kolejne długie sekundy. Karetka ciągle nie nadjeżdżała.

- Tato, tato... - powtarzał cicho.

Wreszcie gdzieś, hen, za oknem, usłyszał wycie syreny. A może mu się wydawało? Czy to już koniec?

Myśl o śmierci ojca ukłuła go w samo serce. Dlaczego właśnie teraz!?

- Eryk Bunda, Adamie, to młody lekarz - Dera wolno notował słowa warszawskiego przyjaciela - lat dwadzieścia pięć, niekarany. Pracował w szpitalu psychiatrycznym w Olsztynie. Był dobrze rokującym specjalistą. Zatrzymano go po wypadku. Miał alkohol we krwi. Trafił do aresztu.

- Dlaczego mówisz w czasie przeszłym?

- Bo ten lekarz popełnił samobójstwo. Podciął sobie żyły. W bardzo ciekawy sposób. Nie warto wchodzić w paskudne szczegóły. Dość, że to zrobił skutecznie. Znaleźli go wykrwawionego.

- Żartujesz?! - Dera aż podskoczył na krześle.

- Pewnie chcesz usłyszeć jeszcze coś? To równie ciekawe...

- Mów.

- No to uważaj. Z tym lekarzem podróżowała kobieta. Świadkowie widzieli, jak jadą razem przez wieś. Tyle tylko, że podczas wypadku żadnej kobiety nie było.

- Może tylko ją podwoził?

- Może. Ale na jego ubraniu znaleziono czyjaś krew.

- Myślisz, że to tej kobiety? Zabił ją, wpadł w panikę, a potem, uciekając, potrącił człowieka?

- Kto wie? Ta krew nie należała do potrąconego. Mogła być tej kobiety. A ofiara wypadku to jakiś miejscowy rolnik. Poza

podejrzeniami. Znalazł się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Tak to się mówi, prawda?

Dera w napięciu słuchał dalszych słów kolegi.

- Adam, bez dwóch zdań coś tu śmierdzi. I to bardzo. Dla mnie kluczem do rozwiązania tej zagadki jest ta kobieta. Nie wierzę w przypadki. Bunda musiał się znać ze swoją pasażerką. Kto znajdzie kobietę, znajdzie powód samobójstwa lekarza. To nie igła. Gdzieś być musi. Żywa czy umarła. I jeszcze coś. Zgadnij, kto przejął sprawę tego Bundy?

- Jak powiem, że cwaniacy z ABW, to bardzo się pomylę?

- Nic a nic. Zapraszam cię na piwo! Stawiam!

- Nie wiem, co na to małżonka - powiedział Dera i się zamyślił. Mijał kolejny dzień bez wieści od najbliższych. Nie ma co, wściekły się nie na żarty...

20 grudnia 2006, środa

- Proszę być dobrej myśli. - Werens siedział w gabinecie ordynatora. - Pański ojciec żyje i tylko to się teraz liczy. Najbliższe dni powinny przynieść poprawę.

Lekarz był jeszcze całkiem młody, chociaż skronie miał siwe. Zaprosił Werensa do swojego gabinetu i już dobry kwadrans wyjaśniał mu stan, w jakim znalazł się jego ojciec.

- Musi pan wiedzieć, że udar krwotoczny, który miał pański ojciec, albo, mówiąc inaczej, zawał mózgu, jest wielkim zagrożeniem dla życia. Tym bardziej dla człowieka w wieku pańskiego ojca i w jego stanie. Dobrze się stało, że był pan w tym czasie w domu i szybko zareagował. Ale uszkodzenia objęły korę ruchową mózgu.

- Co to oznacza?

- Przeciwny niedowład. Przeprowadziliśmy mechaniczną trombektomię. Polega to na usunięciu skrzepliny ze światła tętnicy. Wprowadziliśmy do tętnicy udowej pańskiego ojca cewnik, za pomocą urządzenia przypominającego korkociąg usunęliśmy skrzep z organizmu. To powinno przywrócić przepływ krwi. Teraz musimy czekać.

- Jak długo?

- Trudno powiedzieć. Ojciec zostanie w szpitalu. Tu będzie miał dobrą opiekę. Może go pan odwiedzać, ale proszę nie liczyć na wiele.

- Czy on mnie będzie poznawał?

- Szczerze? Szanse są niewielkie. Jak powiedziałem, najbliższe dni powinny przynieść poprawę.

- Albo śmierć, prawda?

Lekarz w milczeniu wstał i ruszył w jego kierunku.

W następnej chwili Paweł podał dłoń medykowi i opuścił gabinet. Był zmęczony i zdruzgotany. Trudno było ocenić, który z tych stanów teraz w nim brał górę. Werens musiał wziąć się w garść. Wiedział o tym doskonale. Do tego wszystkiego, jak zły sen, wróciła historia Leny i jej prześladowcy. Tu, w szpitalu, niewiele mógł pomóc. Ale sprawa Leny nie dawała mu spokoju. Podobnie jak śmierć Eryka Bundy.

21 grudnia 2006, czwartek

Lena obudziła się o godzinie siódmej piętnaście. Za oknem panował mrok, którego nie były w stanie rozświetlić spadające z nieba pierwsze tej zimy płaty śniegu. Na dodatek w sypialni panował przeraźliwy chłód. Wygrzebała się z pościeli i w bawełnianej piżamie ruszyła w kierunku okna. Tak jak przypuszczała, grzejnik był ledwo letni. Czyżby awaria? Założyła szlafrok, przez co zrobiło jej się nieco cieplej, ale ponury nastrój nie minął. W kuchni nastawiła czajnik z wodą, potem odnalazła numer telefonu do spółdzielni. Chciała wiedzieć, jak szybko problem zostanie rozwiązany. Niestety, telefon milczał. Postanowiła spróbować zadzwonić jeszcze raz, po ósmej. Piła gorącą herbatę siedząc na krześle z podkulonymi nogami. Z boku wyglądała jak wrona zajmująca niewielką gałąź. Tyle że w przeciwieństwie do ptaków nie czuła się wolna. Daleko jej było do owej legendarnej ptasiej niezależności.

We środę, po rozstaniu z Pawłem, odebrała telefon od kierownika katedry. Ton głosu, jakim zaprosił ją na rozmowę w swoim gabinecie, nie wróżył niczego dobrego. Czyżby odebrali jej obiecany urlop? Ale dlaczego? Za godzinę sprawa się wyjaśni. Chciało jej się płakać. Może to przez tę depresyjną pogodę? A może przez wczorajszy dzień? To, co się wydarzyło w mieszkaniu Pawła, poruszyło ją do głębi. Przed oczyma miała widok spadającego z fotela staruszka, pamiętała ślady krwi, łzy w jego oczach. Potem widziała syna niezdarnie wycierającego krew z jego twarzy. Ten straszny widok snił jej się także w nocy. Może również dlatego była tak przybita? Lena dopiła herbatę i ponownie zadzwoniła do spółdzielni. Tym razem telefon był zajęty. Zapewne nie była jedyną osobą, która rankiem

doświadczyła nieprzyjemnej pobudki. Zsunęła nogi z krzesła i bez kapci, po lodowatej posadzce pobiegła do łazienki. Gorący strumień wody cudownie ją rozgrzał. Tak, teraz poczuła się dużo lepiej. Założyła bieliznę, grube skarpety, ciepły sweter, dżinsowe spodnie, wszystko w kolorze głębokiej czerni. Na stopy wcisnęła wysokie, granatowe martensy. Tak ubrana stanęła przed dużym lustrem. Sięgnęła po czarną szminkę. Uśmiechnęła się pierwszy raz tego ranka. Nie ma co, wyglądam demonicznie, pomyślała. Niech się mnie pan boi, panie kierowniku. Tak łatwo nie oddam tego urlopu! Założyła kurtkę, wełnianą czapkę z długimi uszami i wyszła z mieszkania. Przypomnił jej się telefon do spółdzielni, ale machnęła ręką. Co jej teraz po ciepłych grzejnikach? Przecież cały dzień będzie poza domem. A kiedy wróci, awaria zapewne będzie usunięta. Wsiadła do samochodu i ruszyła w kierunku ulicy Hozjusza.

W gabinecie kierownika katedry znalazła się po dwudziestu minutach. Młoda sekretarka kierownika na jej widok aż pobladła. Lena wiedziała, że dla tej wymuskaney panienki z dobrego domu jej widok musiał być szokujący. Lena wyglądała jak anioł śmierci. Tak też się czuła. W tej chwili chciała unicestwić wszystkich, którzy będą próbowali zakłócić jej plany. Po sekretarce następną ofiarą miał być profesor Fitzer, pełniący od pięciu lat obowiązki kierownicze. Lena bez pukania wdarła się do jego gabinetu. Blisko sześćdziesięcioletni profesor o wyglądzie cherubina, tyle że bez skrzydeł, na jej widok pobladł. Wstał zza biurka i tłuściutką dłonią wskazał jej miejsce po drugiej stronie. Lena nie zamierzała jednak siadać. Oparła dłonie na błyszczącym blacie i zaczepnie rzuciła:

- Księżu profesorze, domyślam się powodu mego wezwania. Chcę jasno powiedzieć, że mam już wykupione bilety, spakowane torby i nie zgadzam się na zmianę planów! - Jej oczy iskrzyły. Można było odnieść wrażenie, że zaraz rzuci się przez stół na zaskoczonego księdza.

Profesor Fitzer przeczekał falę wzburzenia i ponownie zaproponował Lenie zajęcie miejsca przy biurku. Młoda pani doktor powoli równała oddech. Usiadła na krawędzi krzesła, ale zaciśnięte dłonie w dalszym ciągu trzymała na blacie.

- Pani doktor - zaczął Fitzer - czy już się pani uspokoiła? Możemy zacząć naszą rozmowę? Może herbaty? - W tej chwili Fitzer przypominał arkadyjskiego karibu strzegącego człowieka i zajmującego się jego sprawami materialnymi.

Lena jednak ciągle była wzburzona i czujna. Rzuciła zatem oschle:

- Piłam już dzisiaj herbatę. Z całym szacunkiem dla księdza profesora, nie przyjechałam tutaj na poranną filiżankę. - Lena pomyślała, że nieco przesadziła i pojednawczo dodała: - To znaczy, chętnie napiję się herbaty, ale może w innych okolicznościach.

- No właśnie, okoliczności... - Profesor kiwał smutno głową. - Wolałbym spotkać panią doktor w innych okolicznościach.

- Co ksiądz profesor ma na myśli?

Fitzer w dalszym ciągu kiwał głową, ale teraz towarzyszył temu ruch ręki do szuflady biurka. Po chwili na stole znalazła się tekturowa teczka z jakimiś dokumentami.

- Pani doktor - zaczął Fitzer, a Lena poczuła, że tematem tej rozmowy będzie coś więcej niż jej urlop naukowy - Wydział Teologii, a już Katedra Teologii Biblijnej, to miejsce szczególne. Praca tutaj to znakomite miejsce do realizacji życiowej pasji, a częstokroć i powołanie. Tak, tak, nie przesłyszała się pani! Nasza katedra odpowiedzialna jest za wykłady i ćwiczenia o tematyce biblijnej, zajmuje się wstępem do Pisma Świętego, historią, teologią i geografią biblijną. - Fitzer rozkręcił się na całego. - Nasze główne kierunki badań to egzegeza Księgi Rodzaju, literatury deuteronomicznej i ksiąg greckich Starego Testamentu. To także Ewangelie, listy świętego Pawła i Apokalipsa.- Teraz Fitzer wyglądał jak prawdziwy cherubin z wizji proroka Ezechiela. Miał dwie pary orlich skrzydeł i wiele oczu. Strzegł Świątyni Wiedzy i Prawdy.

- Wiem - powiedziała wzburzona Lena - dochodzi do tego literatura hellenistyczna. Znam zakres prac naszej katedry całkiem dobrze. Do czego ksiądz profesor zmierza?

- A w zakresie teologii biblijnej mieści się etyka biblijna... - Fitzer nie pozwalał sobie przerwać. - Słyszysz pani doktor? Etyka.

W tej chwili Lena Lipska poczuła, jak jej nogi robią się

miękkie, a z twarzy odpływa krew. Wiedziała, do czego zmierza ten siwy i ponury mężczyzna. Czekwała na chwilę, kiedy padną najokrutniejsze ze słów. Nie musiała długo na nie czekać. Profesor uniósł do góry tekturową teczkę, zamachał nią niczym skrzydłem i wykrzyknął:

- Kim pani jest?! Proszę mi to powiedzieć! Bo przecież nie tą osobą, której akta trzymamy w dziekanacie! Kim, na Boga, pani jest?! Niech mi to pani wytłumaczy! W co mam wierzyć? W pani oficjalne akta czy w materiały zebrane w tej teczce?!

Lena zakryła twarz dłońmi. Słowa profesora docierały do niej jak przez grubą warstwę tektury. Powinna się była domyślić, że nie jest wezwana do błahej sprawy, jaką wydała jej się teraz praca habilitacyjna.

- Milczy pani. To ja odpowiem za nią. Otóż jest pani kłamcą. Ba, kimś więcej niż kłamcą! Pani jest dzieciobójczynią!

- Nieprawda! - krzyknęła Lena, a jej głos słychać było zapewne w sąsiednim pomieszczeniu.

- Te dokumenty mówią co innego!

- Moje dziecko żyje! To mój mąż, prawda? To on przysłał te papiery księdzu.

- Wpisała pani w podaniu o przyjęcie do pracy, że jest bezdzietna. To już drugie kłamstwo.

- Czy to wpływa na jakość moich badań? Czy gorzej pracuję od innych? - Lena wiedziała, że teraz walczy już tylko o swoją godność. Jej godziny na uczelni były policzone.

- Pani usunęła dziecko wbrew prawom boskim i bez zgody ojca. Tu są na to dowody! Fakty.

- Fakty? - Lena zerwała się od stołu. - Fakty są takie, że urodziłam to dziecko. Kocham Ewę bardzo, ale ten drań...

Fitzer również wstał z wygodnego fotela. Jego cherubinowe skrzydła zakryły cały sufit.

- No co, co ten drań? - na tłustej twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek.

- On mi je ukradł i uciekł.

Paweł Werens siedział w pustym salonie. Jego ojciec od

kilkunastu godzin przebywał w szpitalu. Teraz tylko liczyło się jego zdrowie. Wszystko inne było nieważne. Odmiennego zdania był Kort. Pies od dobrych trzech kwadransów ocierał się o nogi swojego pana. Domagał się spaceru. Patrzył w oczy człowieka z narastającą niecierpliwością. Wreszcie Paweł dostrzegł to błagalne spojrzenie. Niechętnie wstał z krzesła i poczłapał do holu. Odnalazł smycz, którą zaczepił na szyi uradowanego psa. Włożył płaszcz i buty. Wyszli na korytarz. Kort ostro ruszył w dół, po schodach. Jego pan ledwo nadązał. Przechodzący obok sąsiad obserwował ten straceńczy bieg z wielką ciekawością. Był przekonany, że za chwilę ta dynamiczna para runie w dół. Niestety, ku jego niezadowoleniu, Werens zgrabnie zbiegł po kamiennych stopniach i przez grubą warstwę śniegu zalegającą chodnik i ulicę przebił się na plac. Tu uwolnił psa ze smyczy. Kort opróżnił pęcherz pod drzewem i teraz wesoło biegał po ośnieżonej przestrzeni. Paweł obserwował go kątem oka. Myślami ciągle był przy łóżku ojca. Co robić? Wiadomo, czekać. Ale czym to czekanie wypełnić? Pies zataczał coraz większe kręgi. Jego pan machinalnie przesuwał się za nim. Teraz Kort zniknął za rogiem, na ulicy Warmińskiej. Gęsty śnieg z każdą chwilą okrywał grubszą warstwą karoserie stojących przy ulicach samochod. Zacierała się granica między chodnikami a asfaltem. Służby porządkowe, jak co roku, zostały zaskoczone przez atak zimy. Paweł ze spuszczoną głową i postawionym kołnierzem szedł śladami psa, które ten zostawiał w świeżym puchu. Skręcili z Warmińskiej w dużo szerszą Partyzantów. Do padającego śniegu dołączył nieprzyjemny wiatr. Ciężkie płyty zamieniły się w drobny niczym piasek, zacinający deszcz. Ulica błyskawicznie zamieniała się w szaroburą breję. Paweł wszedł na schody prowadzące do secesyjnej kamienicy. Wcześniej przywołał psa. Ukryty przed deszczem i wiatrem chciał przeczekać atak natury. Zapalił papierosa, który błyskawicznie przemókł i zupełnie nie nadawał się do użycia. Wyrzucił go w mokry śnieg. Kort siedział przy jego prawej nodze. Z uwagą śledził uliczny ruch. Werensa wolno przetaczające się auta zupełnie nie interesowały. Z braku zajęcia przyglądał się

zdobieniom na masywnych, stylowych drzwiach. W pewnej chwili przeniósł wzrok na domofon. Zaskoczyło go to, że ciągle widnieją na nim nazwiska mieszkańców. W jego domu zastąpiono je już jakiś czas temu bezosobowymi numerami. Czytał kolejne nazwiska: Chereniewska, Korolewicz, Szostak, Kobierczak, Bunda... Zaraz, zaraz. Paweł zatrzymał się przy tym nazwisku. Skądś mu było znane. Tylko skąd? Bunda. Czy to nie tak nazywał się chłopak wnuczki Montalto? No jasne! Eryk Bunda. W następnej chwili nacisnął domofon. Nic nie szkodzi spróbować, pomyślał. Po chwili usłyszał zmęczony kobiecy głos.

- Dzień dobry, czy to mieszkanie państwa Bunda? - zapytał uprzejmie.

- Tak. A pan do kogo? Męża nie ma w domu.

Paweł z bijącym sercem zadał kolejne pytanie:

- Ale ja w sprawie Eryka.

Po dłuższej chwili usłyszał:

- Eryka? Pan pyta o Eryka?

Bingo!

- Tak. Nazywam się Paweł Werens. Jestem dziennikarzem. Chciałbym o nim porozmawiać.

Osoba po drugiej stronie odłożyła słuchawkę. Werens był niepokieszony. Stał pod drzwiami, za którymi być może kryła się odpowiedź na temat zaginięcia Klaudii Garde. Rozumiał nawet tę kobietę. Prawdopodobnie była matką samobójcy. O takich sprawach nie rozmawia się z dziennikarzami. Już miał odejść, kiedy otworzyły się drzwi na korytarz. Stała w nich starsza pani w czarnej sukience okrytej fartuchem.

- Ten domofon jest nic niewart. Zgłaszałam to wielokrotnie. Pan jest tym dziennikarzem? Proszę za mną. A, nie mówiłam. Nazywam się Maria Bunda. Jestem matką Eryka. Proszę za mną.

Mieszkanie państwa Bundów znajdowało się na parterze. Składało się z trzech ogromnych pokoi i równie dużej kuchni. Pokoje były połączone drzwiami w ten sposób, że można było przejść z jednego do drugiego i tym samym zatoczyć koło. Werens został zaproszony do salonu z oknami skierowanymi

na tył domu. Jego pies nie miał tak dobrze. Siedział uwiązany do klamki drzwi wejściowych. Werens od pierwszej chwili poczuł jakąś sympatię do tej otyłej kobiety z różowymi policzkami i jasnymi włosami zebranymi w kok. Szanował jej ból, ale jeszcze większym szacunkiem darzył spokój i opanowanie w tym straszliwym położeniu. A to, jak rozpoczęła rozmowę, bardzo go wzruszyło.

- Zje pan ze mną obiad? - zapytała z delikatnym uśmiechem na ustach. - Mąż wraca jutro. Samotnemu człowiekowi niewiele smakuje. - Wskazała mu krzesło przy dużym, okrągłym drewnianym stole okrytym białym obrusem. - No, proszę siadać! Niech pan nie odmawia!

Werens wolno usadowił się na krześle. Dłonie skrył pod stołem. Czuł, jak błyskawicznie robią się mokre od potu. Skąd brało się to zdenerwowanie? Rozejrzał się po salonie. Na ścianie dostrzegł portret młodego mężczyzny. Eryk? Tak, to musiał być on. Młody człowiek uśmiechał się szeroko. Jego oczy radośnie błyszczały. Czy tak wygląda samobójca?

- Bardzo pani dziękuję. Przyznam, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia. Prawdę powiedziawszy, trafiłem na pani adres zupełnie przypadkowo. To przecież cud!

- Pan wierzy w przypadki?

- Nie do końca.

Kobieta zniknęła w kuchni, by po chwili powrócić z dwoma nakryciami. Werens wciągał w nozdrza zapach zupy grzybowej. Kiedy ostatnio jadł taką zupę? Na chwilę zrobiło mu się smutno. Przypomniała mu się Eliza - żona stryja. Tylko ona robiła potrawy, za którymi się potem tęskniło. Teraz pani Bunda przyniosła wagę pełną cudnie pachnącej zupy z borowików.

- A zatem nie wierzy pan do końca w przypadki. Tak pan powiedział... - wróciła do tematu.

- Nie wierzę w tej sprawie.

- W sprawie śmierci mojego syna. To chciał pan powiedzieć, prawda? Proszę nazywać rzeczy po imieniu. Tak jest lepiej. Niech mi pan wierzy. Od jego śmierci nie ma w naszym domu tajemnic. Skończyły się. Kiedyś były. To prawda. I właśnie

przez te tajemnice mojego syna wśród nas już nie ma. Rozumie pan? Kiedyś zabrakło pewnych słów. Myślałam, że znam własnego syna dobrze, ale tak nie było. Bo gdybym go znała, nigdy nie zrobiłby tego. Dalej by żył. Dlatego trzeba być teraz szczerym. W imię jego pamięci. Dlatego wpuściłam pana do naszego domu, chociaż widzimy się pierwszy raz. Ja już niczego się nie boję. A może i się boję? Sama już nie wiem. Bo jeżeli Boga nie ma? Czy to znaczy, że już nigdy nie spotkam mojego Eryka? Rozumie pan? Nigdy! Moja wiara jest teraz wystawiona na ciężką próbę. I nie wiem, czy tę próbę przejdę. Jestem słaba. Jestem bardzo słaba, panie Werens.

Paweł w tej samej chwili pomyślał o ojcu. Czy to znaczy, że oni nie spotkają się już nigdy? Ale powiedział coś, czego się po sobie nie spodziewał:

- To nieprawda! Jest pani bardzo silną kobietą. Spotka pani syna, jestem tego pewien!

Werens wytarł wilgotne dłonie w leżącą przy talerzu papierową serwetkę i wziął do ręki łyżkę. Ale zanim zanurzył ją w zupie, zapytał:

- Czy mogę o coś zapytać? Proszę się nie gniewać...

- Słucham?

- A Klaudia? Dziewczyna Eryka. Czy kontaktowała się z panią?

- Klaudia? - powiedziała kobieta, zatrzymując łyżkę z zupą kilka centymetrów nad talerzem. - Biedna Klaudia. Bardzo ją lubię. Tyle przeszła w życiu. Była taka ufna. Poznali się w szpitalu. Kochała tego mojego Eryczka. Widziałam, jak im dobrze razem było.

- Powiedziała pani „była”?

- Tak. Rozstali się jakiś czas temu. Klaudia teraz nie pokazuje się u nas.

- Dlaczego?

- A kto to wie, dlaczego młodzi ludzie się nagle rozstają? Dzisiaj są, jutro ich już nie ma. Gorąca krew. Temperament.

- To Eryk nie wyjechał z nią na urlop?

- Ależ skąd! Tamtego dnia przyjechała tu po niego inna kobieta.

Werens był bardzo zaskoczony tym, co usłyszał.

- Czy ją pani zna? Tę kobietę...?

- Niestety... - Pokręciła przecząco głową.

- A jak wyglądała?

- Tego też panu nie powiem. Mignęła mi przez chwilę tylko w tym pięknym aucie.

- A jaki to był samochód?

- Samochód? Czy ja wyglądam na kogoś, kto się zna na samochodach? Czerwony był i tyle. Duży, ładny. A potem go znaleźli w tym samochodzie. Roztrzęsionego i pijanego. Czy pan w to uwierzy? Eryk pijany! On nigdy się nie upił! Nie znosił alkoholu!

I jeszcze jakieś narkotyki niby brał. On był dobrym chłopcem. Głęboko wierzącym. W każdą niedzielę chodził do kościoła. Nigdy by też nie popełnił samobójstwa. To przecież grzech.

-Aten wypadek. Gdzie to się stało? - Werens chciał potwierdzenia słów podinspektora Góreckiego.

Maria Bunda patrzyła na Werensa zaskoczona.

- Jak to? To ja panu jeszcze nie powiedziałam, gdzie to było?

- Niestety...

- Na Mazurach to się stało.

-I jest pani pewna, że to nie Klaudia tamtego dnia odjechała z Erykiem spod państwa kamienicy?

Maria Bunda odłożyła łyżkę i z uwagą wpatrywała się w Werensa. A kiedy ten poczuł się już zmęczony tym spojrzeniem, wolno powiedziała:

- Jestem pewna. Tak jak i tego, że pański dobrze ułożony pies właśnie sika na buty mojego męża!

Paweł Werens długo przeproszał panią Marię Bundę za zachowanie swojego psa. Mimo że kobieta nie robiła z tego incydentu większego problemu, dziennikarz czuł się bardzo zawstydzony. Choć przecież jego wina była niewielka. Całą drogę powrotną do mieszkania robił wyrzuty swojemu czworonożnemu przyjacielowi. Czasem nawet podnosił głos, kłął pod nosem, czym wzbudzał zainteresowanie prze-

chodniów. Pies zdawał się nie dostrzegać niestosowności swojego zachowania. Weszło merdał mokrym ogonem.

Lena Lipska siedziała na schodach kamienicy przy ulicy Mickiewicza. Widok skulonej, zmarzniętej kobiety przeraził Werensa do tego stopnia, że w pierwszej chwili wyciągnął telefon i zamierzał dzwonić po pogotowie. Uspokoila go ruchem ręki. W następnym momencie poprosiła, aby zabrał ją do środka.

- Przynajmniej jest tu u ciebie ciepło - powiedziała, zdejmując kurtkę - u nas grzejniki są zimne. Dzwoniłam nawet do spółdzielni...

Paweł chwycił ją za ramiona, spojrzał głęboko w oczy i powiedział:

- Leno, nie powiesz mi, że przyszedłeś na drugi koniec miasta, czekałeś na schodach, aż przyjdę, po to, by się ogrzać. Co się stało? Mów szczerze. Albo nie, poczekaj. - Zniknął w kuchni, skąd po chwili wrócił z kubkiem gorącej herbaty. Posadził przemarzniętą Lenę na kanapie, okrył ją też wełnianym kocem. Odczekał, aż dziewczyna wypije rozgrzewający napój, po czym wrócił do pytania:

- Powiedz mi, co się stało? - Ukląkł u jej kolan.

- Straciłam, wszystko! - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Rozumiesz, wszystko! - Odstawiła kubek i zakryła twarz dłońmi.

- Jak to „wszystko”?

- Dziecko. Pracę. Wyjazd. Wszystko!

Werens wstał z kolan, usiadł obok niej, objął ramieniem i poprosił, by przestała mówić. Czuł, że tak będzie lepiej. Widział jej zmęczoną twarz, zapłakane oczy, okropny, czarny makijaż. Lena chciała coś powiedzieć, ale zakrył jej usta dłonią. Wtuliła policzek w jego ramię, po chwili jej oddech zaczął się wyrównywać. Ogarniała ją senność. Delikatnie przeniósł ciężar jej ciała z ramienia na wygodną poduszkę, wolno wstał i poprawił koc. Z czułością patrzył, jak zasypia. Potem ruszył do holu. Kort czujnie obserwował pana. Być może liczył, że ponownie opuszczą dom. Tak się jednak nie stało. Werens nie miał zamiaru nigdzie wychodzić. Usiadł obok psa na podłodze,

podrapał go za uchem.

- Chyba masz problem z pęcherzem - powiedział, głaszcząc zwierzaka po grzbiecie. - To, co zrobiłeś u Bundów... Taki wstyd! Pora pójść do weterynarza.

Głaskał go jeszcze długo. Z perspektywy podłogi obserwował śpiącą Lenę. Sam nie wiedział, kiedy oparł się o drzwi i zasnął.

Obudził go zapach kawy. Dotarł aż pod koc, którym był przykryty. No tak, musiała przykryć go nim Lena, która teraz krzątała się po kuchni. Również ona wsunęła mu pod głowę poduszkę. Za oknem panował mrok. W łazience umył twarz. Kawa już czekała na niego w salonie. Lena wyglądała dużo lepiej niż na schodach. Kiedy weszła do pokoju, pierwsze co rzuciło się w oczy, był okrywający jej zgrabną sylwetkę szlafrok Pawła. Nieco za duży, ale pasował do tej ślicznej kobiety. Prawdopodobnie każdy strój, nie wyłączając roboczych drelichów, leżałby na niej doskonale. Ale Paweł doskonale rozumiał, że prawienie komplementów w tej chwili nie jest najlepszym pomysłem. Wypowiedział zatem słowa, których już użył wcześniej:

- Leno, powiedz mi, co się stało?!

Kobieta usiadła na kanapie i wolno, precyzyjnie streściła mu rozmowę na uczelni.

- Bardzo chciałam podjąć tę pracę. To prawda, że zataiłam istnienie Ewy. Wyparłam się własnej córki. Teraz ponoszę za to karę. Ale co miałam robić? Gdybym powiedziała, że jestem rozwódką, a moja córka została z ojcem, to by mnie dyskwalifikowało! Teraz jest jeszcze gorzej. Ten potwór napisał donos do Fitzera. Wysłał mu akt naszego ślubu. Dokumenty rozwodowe...

- Ale to przecież jest nieprawne!

- Niby co?

- No wiesz, pracodawca nie musi znać dokumentów o stanie cywilnym pracownika. Jest ochrona prawna tego typu dokumentów... Żyjesz w wolnym kraju.

- Paweł! Nie bądź naiwny. Jestem jedyną osobą na wydziale,

która nie jest osobą duchowną. Wielu to się u nas nie podoba.

- Oni nie mogą ciebie zwolnić! Są przepisy... Są ustawy... Kodeks pracy... Umowy!

- Jest też ludzka zawiść, uprzedzenia. Gdybyś widział, z jaką nienawiścią patrzył na mnie Fitzer! Dla niego jestem kłamczynią niegodną pracy wśród nich. Prawie wyrzucił mnie za drzwi.

- Świętoszek cholerny! - Werens był coraz bardziej rozdrażniony. Kiedy opowiadała o swoim przełożonym, aż zazgrzytał zębami. - Pojadę do tego hipokryty.

- I co mu powiesz?

- Postraszę go gazetami.

- Paweł, w tym kraju każdy ma za sobą jakieś gazety. Każdy głosi swoją prawdę.

Werens zwiesił głowę.

- Rzeczywiście. Rozpęta się burza, a i tak najgorzej wyjdiesz na tym ty.

- Już wstrzymał mi urlop naukowy. Zaczął się powolny proces wykluczania. Muszę zacząć szukać nowego miejsca do życia. A do tego Aleksander...

Mimo wszystko ta rozmowa oczyściła atmosferę. Lęk i rozpacz powoli ustępowały miejsca pragnieniu odwetu i wyrównania rachunków. Werens miał obok siebie kobietę silną i zdeterminowaną. Lena bez wątpienia wiele w życiu przeszła. Nie jest łatwo, nawet w demokratycznym kraju, konkurować z mężczyznami. Jej się to udało. Była dużo lepsza od wielu z nich. Dowodem na to była jej kariera naukowa, zdobyte dyplomy i tytuły. Ale prawdą też było, że w jej miejscu pracy obowiązywały surowe zasady. Jakiegokolwiek odstępstwo od nich dyskwalifikowało. I takiego wykluczenia teraz doświadczała Lena. Werens wiedział, że musi jej pomóc. Jeszcze nie miał pojęcia, jak to uczyni, ale nawet największe przeszkody nie były mu straszne. Kiedy skończyła, uściśnął jej dłoń i rozpoczął swoją opowieść. Czuł, że musi to zrobić. Chociażby po to, by Lena zapomniała na chwilę o swoich problemach. Opowiedział jej zatem o spotkaniu z matką Eryka Bundy, która zrobiła na nim dobre wrażenie. Tak jak Lena była silna i twarda. Straciła

syna, a pomimo to zachowała godność i nadzieję. Werens wypowiadał te słowa z całą świadomością ich mocy. Chciał, by siła Marii Bundy udzieliła się też jego rozmówczyni. Chyba to się udało, bo Lena podchwyciła temat zaginięcia córki Cecylii Garde - Klaudii. Interesowały ją szczegóły, pytania do policji. Szczególnie zaś zainteresowała ją osoba kobiety, która odjechała sprzed kamienicy Bundów z ich synem. Oboje doszli do wniosku, że trop prowadzi do miejsca wypadku. Werens zamierzał następnego dnia pojechać do Bani Mazurskich, a stamtąd do Rapy. zaproponował też Lenie, aby zabrała kilka rzeczy z domu i na jakiś czas przeprowadziła się do jego mieszkania. Tu powinna być bezpieczna i ukryta przed eksmężem. Lena obiecała zastanowić się nad tą propozycją. Rozmawiali do późnej nocy. Z czasem ich rozmowa stawała się coraz radośniejsza. Salwy śmiechu słyhać było aż na korytarzu. Kort był tym wszystkim bardzo poruszony. Dawno w tym domu nie słyhał tylu słów. Około północy Lena wzięła prysznic i zniknęła w sypialni. Paweł rozłożył sobie kanapę w salonie. Prawie zasypiał, kiedy usłyhał skrzypienie podłogi. Lena stanęła tuż przy nim. Pogłaskała go po policzku. Potem wzięła za rękę i poprowadziła do sypialni. Obserwujący tę scenę Kort błyskawicznie zajął miejsce pana w jeszcze ciepłej pościeli.

22 grudnia 2006, piątek

- Nie zostanę sama w tym pustym mieszkaniu - powiedziała Lena podczas śniadania. Zrobiła przy tym skwaszoną minę, tak że Paweł poczuł się autentycznie urażony. Dopiero co oddawali się namiętnym uściskom, a teraz takie zachowanie!

- Nie zostanę sama w tym pustym mieszkaniu - powtórzyła Lena i zaraz dodała - bo zamierzam jechać z tobą do tej wioski!

- Chyba żartujesz? - Pawłowi wypadła kanapka z dłoni.

- Wcale nie! Jak już wiesz, do pracy nie muszę iść - głos jej na chwilę posmutniał - do domu boję się wracać z obawy przed Aleksandrem i zimnymi kaloryferami, a u ciebie nie zostanę sama! Musisz mnie zabrać ze sobą i już!

- Ależ Leno...

- Żadne ale. Jadę i koniec!

Śniadanie zjedli w milczeniu. Paweł zastanawiał się nad konsekwencjami tej wyprawy. Co może się wydarzyć? Uświadomił sobie, że ostatniej nocy już się co nieco wydarzyło. I to całkiem sporo. Ukradkiem ziewał i rozcierał zaspane oczy.

Lena z kolei miała inny problem. To, że jedzie z Pawłem, było postanowione. Pytanie brzmiało następująco: W czym pojedzie? Nie wzięła ze sobą żadnych ubrań, kosmetyków. Stawało się jasne, że muszą odwiedzić jej mieszkanie. Lena spakuje torby, wyłączy gaz i pojedą sobie do tych Bani Mazurskich.

Tak też się stało. O godzinie dziesiątej zajechali pod jej dom. Paweł nie odstępował kobiety na krok. Był w tej chwili jej ochroniarzem. Zarówno na chodniku, jak i na klatce schodowej nie spotkali nikogo. Nie inaczej było w korytarzu. Lena odnalazła klucze do mieszkania. Dłuższą chwilę mocowała się z

zamkiem, by wreszcie pchnąć drzwi do środka. W następnej sekundzie z jej gardła wydobył się okrzyk. Odruchowo zakryła usta dłonią.

To, co zastali w jej mieszkaniu, zmroziło im krew w żyłach. Cały salon wypełniony był porozstawianymi na wszystkich sprzętach, ale też na podłodze i parapetach kolorowymi laurkami.

- On *tu* był - wyszeptała blada Lena - rozumiesz? W nocy zakradł się do mnie! Gdybym tu została... - Sięgnęła po leżącą na dywanie laurkę. Pokazała ją Pawłowi i w następnej chwili rzuciła mu się w objęcia. Ten obejrzał dokładnie kartkę. Cicho przeczytał:

- „Dla kochanej Mamusi w dniu jej urodzin Ewa!”.

Werens odsunął Lenę na bok i sięgnął po kolejną laurkę. Napis był taki sam. Teraz już wiedział, że kartki są identyczne. Pismo wyraźnie wskazywało autora. Musiało nim być dziecko. Tym dzieckiem bez wątpienia była córeczka Leny. Jakim potworem trzeba być, by kazać dziecku pisać kartki do matki, przed którą się je ukrywa! Paweł zaczął krążyć po salonie i je zbierać. Chciał zrobić to szybko, żeby Lena widziała je jak najkrócej. Wreszcie, po kwadransie, schował wszystkie kartki w szufladzie komody.

- Pakuję się - powiedziała krótko Lena. - Policji nawet nie ma sensu wzywać. W komendzie mi nie wierzyli. Teraz będzie tak samo.

- Tego bym nie był taki pewien. Ale masz rację, w tej sytuacji nie ma czasu na wizyty na policji.

Pół godziny później opuszczali miasto i kierowali się na północny wschód. Na drodze numer 16 pojawiły się piaskarki. Ruch był niewielki. Samochody poruszały się wolno. Lena z Pawłem podróżowali w milczeniu. Werens włączył radio, aby przerwać ponurą ciszę. Słuchali skocznej muzyki, którą co jakiś czas przerywano kołędami. Do Wigilii zostały dwa dni. Za plecami Leny drzemał Kort. Paweł nie miał na czas wyjazdu opiekuna. Doświadczenia sprzed kilku miesięcy sprawiły, że nawet nie rozważał możliwości pozostawienia zwierzaka w psim hotelu. Zdawał sobie sprawę, że jego przyjaciel nie będzie

wzbudzał entuzjazmu u właścicieli pensjonatów, ale to go obecnie nie interesowało.

- To nie mój problem - powiedział w pewnej chwili Lenie, kiedy ta zapytała go, gdzie zanocują z psem.

- Albo dadzą nam pokój z Kortem, albo nie zarobią.

Lena uśmiechnęła się pierwszy raz od chwili opuszczenia swojego mieszkania. Mrużąc oczy, powiedziała:

- Nam dadzą pokój? Dobrze usłyszałam? Nam?

Paweł zrozumiał natychmiast sens jej słów.

- Oczywiście, że nam. Muszę przecież ciebie chronić! - I uśmiechnął się łobuzersko.

Czuł się coraz lepiej w towarzystwie tej pięknej kobiety. Miał też wrażenie, że jego osoba nie jest jej obojętna. A namiętna noc była wstępem do czegoś większego. Dotarli do Mrągowa, wolno przejechali wąskie uliczki i znaleźli się na drodze numer 59. Tu ruch był zupełnie niewielki. Mijały ich pojedyncze samochody, zwykle pokryte warstwą śniegu, co oznaczało, że na wschodzie zima zapanowała już na dobre. Po prawej minęli wielkie jezioro Niegocin, które jeszcze nie zamarzło i widać na nim było przewalające się bałwany spienionej wody. Wiatr wzmagał się coraz bardziej. Za Giżyckiem zaczynała się droga numer 63, która prowadziła bezpośrednio do celu ich podróży. Werens zerknął na zegarek. Dochodziła godzina czternasta, przed nimi były Banie Mazurskie.

Wjechali do wioski. Wolno mijali ośnieżone, urokliwe zagrody. W pewnej chwili Lena powiedziała do Pawła:

-Widzisz to co ja? Bar „Młyn”. Skręć tam. Jestem głodna. Ty pewno też, o Korcie nie wspomnę.

- Masz rację. Trzeba coś wypić. Najlepiej butelkę dobrego wina. Koniecznie!

- Halo, czy ty nie przesadzasz? Prowadzisz auto. Z pijanymi nie podróżuję!

- Trudno, będę musiał pić sam.

- A z jakiego to powodu „będziesz musiał pić sam”?

-Wolałbym z tobą. Szczególnie, że to przecież dzisiaj są twoje urodziny... Te laurki... Sytuacja nie jest wesoła, ale nie dajmy się zwariować! Urodziny to urodziny! Moje były zresztą kilka

dni temu...

Rumieniec zawstydzienia pokrył twarz Leny. Jak mogła zapomnieć o własnych urodzinach! Ostatnie dni zupełnie ją wykończyły. Uśmiechnęła się do Pawła i powiedziała:

- Panie Werens, plotki o pana grubiaństwie i egocentryzmie są mocno przesadzone. - Pocałowała go w policzek. - Dziękuję! Tobie również życzę wszystkiego najlepszego!

Werens podjechał pod drewniany płot. Zaparkował przy nim samochód, który zainteresował przechodzącego obok z choinką na ramieniu mężczyznę. Najwyraźniej człowiek ten miał zmysł do interesów, bo widząc przybyszów natychmiast zaproponował im kupno drzewka. Podziękowali uprzejmie i zapytali o nocleg. Chwilę się zastanawiał, aż wreszcie powiedział:

- O, dla państwa z miasta to dobry będzie tylko Mazurski Folwark w Lisach. To niedaleko, przez Wólkę trza jechać. Niecałe pięć kilometrów będzie.

Człowiek z choinką na ramieniu uklonił się i wolno odszedł. Lena i Paweł z Kortem w kagańcu i na smyczy ruszyli w kierunku wejścia do baru. Już z daleka czuć było przyjemny zapach pieczonych potraw, który obiecywał bardzo wiele. A kiedy Paweł otworzył szeroko drewniane drzwi, w jego nozdrza wdarł się cudowny aromat rybnej zupy i świeżyny, o której dotychczas tylko słyszał od kolegów dziennikarzy, czasem zapuszczających się na te tereny. Tak, to, co opisywali, musiało pachnieć w ten sposób.

Lokal był całkiem duży, mógł pomieścić nawet osiemdziesiąt osób, jak szybko obliczył Werens. Ruszyli w kierunku drewnianego baru, przy którym młoda dziewczyna dekorowała choinkę bombkami. Werens przywitał się i rozpoczął rozmowę od wychwalania zapachów dobiegających z zaplecza. Dziewczyna uprzejmie podziękowała i podała mu kartę dań. Paweł odwrócił się na pięcie, by zanieść ją Lenie. W tej samej chwili jego twarz przybrała niezwykle wyraz. Był to uśmiech pomieszany z niedowierzaniem. Do ich stolika dosiadł się potężnie zbudowany mężczyzna. Nie można go było pomylić z nikim innym. Lena, nie zwracając uwagi na innych gości baru,

radośnie popiskiwała:

- Adam Dera! To niemożliwe! Podkomisarz Dera! Co pan tu robi? Jak się pan tu znalazł, podkomisarzu?!

Tyle czasu żeśmy się nie widzieli! - Pochyliła się nad stołem i mocno uściśnęła jego wielkie dłonie.

- Tylko aspirant. Tylko aspirant - tłumaczył cicho zakłopotany policjant i uśmiechał się niewyraźnie.

Po obiedzie składającym się ze wspomnianej świeżyny i gołąbków popitych grzaniem winem towarzystwo udało się do mieszkania dzielnicowego Dery, który przy herbacie opowiedział im w dużym skrócie o powodach, dla których znalazł się na zsyłce. Lena chwyciła podczas rozmowy pewien kłopotliwy szczegół. Ilekroć aspirant Dera wracał w swej opowieści do pracy w mieście, przerywał w chwili, kiedy miał coś powiedzieć o swojej rodzinie. Wreszcie i on zauważył, że dłużej sprawy nie da się tuszować, więc ponurym głosem oznajmił:

- Żona i córka całkiem o mnie zapomniały. Taka jest prawda. Zawiodłem je i teraz ponoszę tego konsekwencje. Czekam na wiadomość o pozwie rozwodowym.

- Przesadza pan - powiedziała współczująco Lena i pogłaskała go po wielkiej dłoni. - Wszystko będzie dobrze. - Słowa te wypowiedziała jednak bez większej wiary.

- Czyżby? Za dwa dni święta. A one co? Nawet telefonów nie odbierają.

Zaległa kłopotliwa cisza, którą wreszcie przerwał Werens:

- Czy wie pan, jak dojechać do Mazurskiego Folwarku?

- Jestem tu dopiero kilka dni. Nie byłem tam, ale wiem, gdzie to jest. To na południe. Kilka kilometrów. A państwo na święta, tak?

Lena zobaczyła, że jego oczy zaszyły wilgocią.

- Nie. Powód naszego przyjazdu jest inny. Myślę, że to pana zainteresuje. Szukamy pewnej kobiety. Co prawda żadne z nas jej nie zna, ale jej rodzinę już tak. To wnuczka generała Szuberta.

- Pan raczy żartować! - powiedział poruszony Dera. - Tego samego, który was porwał, a potem wywiózł do Wambierzyc?

- Właśnie tego. Kobieta ma dwadzieścia pięć lat. Nosi imię Klaudia, a nazwisko Garde. Jakiś czas temu zniknęła. Konkretnie - dziesiątego grudnia. Wtedy widziano ją po raz ostatni. Ją i jej chłopaka. Eryka Bundę, młodego lekarza.

- Kogo? Eryka Bundę? - wrzasnął aspirant. - Przecież Bunda miał tu u nas wypadek.

- Wiemy o tym. Dlatego żeśmy tu przyjechali.

- Zaraz, ta kobieta, Klaudia... Ona zaginęła dziesiątego, tak? A wypadek też był dziesiątego. To nie jest przypadek. Ludzie widzieli Bundę w towarzystwie jakiejś kobiety.

- No właśnie. My też tak uważamy. Tylko nie wiemy kilku rzeczy. Dlaczego doszło do wypadku? I gdzie jest teraz dziewczyna? Bo Eryka już nie szukamy, popełnił samobójstwo.

- Tak. To potworna historia. Ale jest jeszcze coś. Na ubraniu tego Eryka znaleziono ślady krwi. I nie była to krew potraconego człowieka - wyszeptał konspiracyjnie Dera.

- Moim zdaniem - powiedziała Lena - to krew Klaudii. Mówię to ze smutkiem, ale wszystko na to wskazuje. Kochankowie wybrali się na wycieczkę, pokłócili, ktoś nie wytrzymał, szarpanina, może nieszczęśliwy wypadek? Dziewczyna była nadpobudliwa. Eryk ją zabił, ukrył ciało, wpadł w panikę, upił się i uciekając, wylądował na drzewie. Potem wyrzuty sumienia doprowadziły do tego, że popełnił samobójstwo. To moja teoria.

Znowu zaległa cisza, po której aspirant Dera wolno powiedział:

- Tak, to jest możliwe. Również logiczne. Ale jest pewna rzecz, która każe powstrzymać się przed ogłaszaniem winnego i wyroku.

- Cóż to takiego? - Lena z Pawłem nadstawili uszu.

- Morderstwo w Rapie.

- Gdzie? - zapytali jednocześnie.

- W grobowcu rodu Fahrenheitów. Dzień po wypadku Bundy turysta z Warszawy dokonał makabrycznego odkrycia. Otóż we wnętrzu piramidy w Rapie odnalazł zwłoki bez głowy. Ciało

zostało całkowicie spalone, a wspomniana głowa oddzielona od korpusu.

- Boże! - wyrwało się Lenie. - Czy to ciało Klaudii?

- Tego właśnie nie wiemy. Sprawę przejęła ABW.

- Dlaczego? - zapytał Werens.

- Właśnie. Dlaczego?

- Może dlatego, że to ciało wnuczki generała poszukiwanego przez nich? - rzuciła Lena, coraz bardziej przekonana, że zabójstwa dokonał Eryk Bunda.

- Co ma jedno do drugiego? - Paweł był odmiennego zdania.

- Ano to, że sam powiedziałaś: *Klaudia* była pod silnym wpływem dziadka. Wyprał jej umysł.

- Jeżeli już, to chyba Bundzie, skoro to on jest podejrzany. Przepraszam, był.

Teraz głos zabrał aspirant Adam Dera. Spojrzał na swoich gości, nie pominął również psa i powiedział:

-A jeżeli, czego nie możemy wykluczyć, to nie ciało Klaudii znaleziono w piramidzie? Cóż wówczas?

23 grudnia 2006, sobota

Mazurski Folwark okazał się znakomitym miejscem na ucieczkę z miasta. Lena z Pawłem obudzili się około dziesiątej. Wieczór z Derą przeciągnął się do późna i do pensjonatu dotarli po północy. Prowadziła Lena, bo mężczyźni postanowili zapić zgryzotę butelką mrożonej wódki, która była na tyle dobra, że zaistniała konieczność wypicia kolejnej. Tak więc Werens obudził się z wielkim kacem w pokoju, który miał pojedyncze łóżko. Kort obserwował pana z pewną obojętnością. Najwyraźniej nie gustował w oparach alkoholowych. Paweł wziął prysznic, po którym poczuł się znacznie lepiej. Zbiegł na dół, do jadalni. Lena już tam była. Przeglądała jakąś starą książkę. Werens zorientował się wnet, że jest to przewodnik po okolicy. Lena z dobrze udawaną obojętnością zapytała o wieczorne wydarzenia. Werens niewiele pamiętał. Utkwił zatem wzrok w jajecznicy. Ciężką atmosferę rozładowali goście pensjonatu, którzy przyjechali właśnie na świąteczny odpoczynek. Zrobiło się gwarno i tłoczno. Lena przypomniała Pawłowi o umówionym spotkaniu z Derą. Mieli jeszcze godzinę.

Punktualnie w południe spotkali się wszyscy w komisariacie. Rankiem Dera miał kilka spraw związanych z przejmowaniem obowiązków. Planowali wyprawę do Rapy i dokładne przyjrzenie się tamtejszemu grobowcowi. Wcześniej jednak Lena uświadomiła zebranim, że tytułu doktora nie otrzymała na piękne oczy. Kiedy w nocy Paweł pochrapywał za ścianą, ona zajęła się robieniem notatek dotyczących przypadków

spalenia ciał. Szukała też powiązań z rytualnymi straceniami. Bo to, że obrzęd taki miał miejsce, nie ulegało dla niej najmniejszej wątpliwości. Nad ranem miała swoją wersję.

-To, co się stało, było dziełem szaleńca. Twierdzę, że zabójca był niespełna rozumu. Dekapitacja, czyli obcięcie głowy, jest znana ludzkości od tysięcy lat. *Caput* to po łacinie głowa, jak zapewne wiecie. Zaś *decapitare* oznacza ściąć. W dawnych kulturach dekapitacja miała różnorakie znaczenie. Na przykład w kulturze Nazca, rozwijającej się na południowych wybrzeżach Peru, ścięcie miało zapewnić bogate plony, odrodzenie społeczności i przedłużenie życia. Ścinanie głów ofiarom służyło powrotowi zmarłych na ziemię. Dla ludów muzułmańskich, które przejęły odcinanie głów od cywilizacji starożytnych, ścięcie miało budzić lęk niewiernego Zachodu. Najsłynniejszym i najbardziej okrutnym zwolennikiem takiego sposobu zadawania śmierci był założyciel środkowoazjatyckiego imperium - Tamerlan. W roku 1400 jego żołnierze wdarli się do miasta Aleppo w Syrii i ścięli dwadzieścia tysięcy głów. Zbudowali z nich kopiec wysoki na dziesięć metrów. Rok później, po zdobyciu Bagdadu, wzniesli sto dwadzieścia takich kopców!

Lena nabrała głęboko powietrza w płuca, by kontynuować swą opowieść. Dera z Werensem po tym, co usłyszeli, byli bardzo poruszeni.

- Co cenniejsze głowy przechowywano, wystawiano je na widok publiczny, wieszano na bramach, przy wejściach do pałaców. Sposób był prosty, ale skuteczny. Odcięte głowy wkładano do garnków z miodem. To była znakomita forma konserwacji. Do Europy ten osobliwy zwyczaj wprowadzili Turcy. Słynna jest historia Włada III Palownika, znanego bardziej jako Drakula. Jego głowa trafiła w garnku z miodem na dwór w Stambule. Inna sprawa, że wcześniej Drakula nabił na pal dwadzieścia tysięcy tureckich jeńców. Osobny rozdział to pojawienie się w osiemnastym wieku gilotyny, która wyparła miecz i topór.

- Ale to odległe czasy - powiedział Werens. - Kto dzisiaj stosuje gilotynę?!

- Czyżby? We Francji ostatniego ścięcia dokonano pod koniec lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Niewiele wcześniej we Wschodnich Niemczech.

- No dobrze, ale w przypadku grobowca nie ma mowy o gilotynie. Ten trop to ślepa uliczka... Kto by wstawiał gilotynę do piramidy? I jak by to zrobił? Którędy?

Lena była wzburzona.

- To wy chcieliście, abym przybliżyła wam historię dekapitacji! Ja mogę już nic nie mówić! A wstawiać gilotyny zabójca nie musiał. Mógł przecież najpierw zabić, a potem podrzucić zwłoki.

- Już dobrze - Dera próbował rozładować napięcie - nie kłóćcie się! Ważne jest, abyśmy jak najwięcej o tym zabójstwie się dowiedzieli. Rys historyczny tylko może w tym pomóc. Teraz ja zadam pytanie. Za co można było stracić głowę?

- To zależy, gdzie. Na przykład do drugiego wieku naszej ery na terenie Palestyny ścinano ludzi za morderstwo. Ale i bałwochwalstwo.

- A spalenie? - zapytał Werens.

- Za większość przestępstw związanych z kaziroddstwem. Zarówno ścięcie, jak i spalenie współcześnie raczej nie występują.

- Okazuje się, że jednak są wyjątki - stwierdził ponuro Dera.

Lena milczała. Również Werens nie był zbyt rozmowny. Za to aspirant Dera najwyraźniej czuł się dobrze w roli tropiciela zbrodni.

- Ciało znaleziono wewnątrz piramidy. Jest to o tyle niezwykle, że wejście do grobowca kilka lat temu zamurowano przed wandalami. W okna wstawiono grube kraty. Zarówno wejście, jak i okna pozostały nienaruszone. We wsi mówi się o jakiejś nadprzyrodzonej sile, która umieściła ciało wewnątrz budowli. Ale ja jestem człowiekiem, który mocno stąpa po ziemi. Nie wierzę w cuda! Tam musi być jakieś przejście.

- No i powód - wszedł mu w słowo Paweł.

- Powód czego?

- Dlaczego to ciało znalazło się właśnie tam? A nie na przykład w lesie czy na przystanku autobusowym. Rozumiecie?

Chodzi mi o to, że ta piramida ma jakieś szczególne znaczenie dla zabójcy. Kto by się tułał na koniec świata, aby dokonać tam takiej makabrycznej zbrodni?

- Paweł ma rację - powiedziała Lena. - To nie jest przypadek. Piramidy budowano tak, aby stworzyć warunki do mumifikacji zwłok. Wszystko było dokładnie wyliczone. Powierzchnia każdej ściany bocznej musiała być równa powierzchni kwadratu o boku równym wysokości ściany bocznej piramidy. Zwłoki były odpowiednio ułożone, a sarkofag osadzano na właściwej głębokości. Również kanały wentylacyjne umieszczano w określony sposób. Nawet kąt pochylenia ścian musiał być odpowiedni. Zawsze było to 68 do 70 stopni. A we wnętrzu 51 stopni 52 minuty. Piramida w Rapie spełnia te warunki. Projektował ją znakomity architekt. - Lena rzeczywiście dobrze się przygotowała. W oczach mężczyzny dostrzegła podziw. Bardzo ją to ucieszyło. Ale skromnie dodała: - To wiedza podstawowa, z podręcznika historii dla gimnazjalisty.

Droga do Rapy zajęła im pół godziny, a to dlatego, że śnieg zasypał całkowicie wąską szosę i samochód Pawła posuwał się niezwykle wolno. Lena podziwiała przepiękny krajobraz, zachwycała się mijanymi połaciami lasu. Dera dyskretnie wystukiwał SMS do córki. Miał nadzieję, że w końcu odezwie się do niego. Bo na żonę już nie liczył. Nie odbierała jego telefonów. Ale córka najwyraźniej nie zamierzała przerywać zmywy milczenia. Ku jego rozpaczy nikt mu nie odpowiedział. Paweł zaś pilnował drogi. Na zmęczonej nocną hulanką twarzy malował się jakiś nieokreślony lęk. Lena domyślała się, że mężczyzna jest myślami przy łóżku chorego ojca. Na miejsce dotarli tuż przed drugą. Piramida stała ukryta wśród gęstych drzew okrytych grubą czapą śniegu. Mieli niewiele czasu do zachodu słońca. Dera wziął ze sobą latarkę i ruszył w kierunku wejścia. Przeszedł pod luźno zwisającą taśmą policyjną. Właściwie były to strzępy, które pod ciężarem śniegu ocierały się o puszystą powłokę. Policjant dokładnie obejrzał wejście, a

raczej surową ścianę z cegieł, która strzegła dostępu do wnętrza. Potem przez okratowane okno zaświecił do środka. Wnętrze było uporządkowane. Trumny stały równo jedna obok drugiej. Po zwęglonym cieple nie było śladu. W miejsce zniszczonej kraty wstawiono nową. Następnie Dera obszedł wolno całą piramidę. Wrócił okryty warstwą białego śniegu, który teraz strzepywał z ramion.

- Nic. Kompletnie nic - mrucał pod nosem.

- Na co ja właściwie liczyłem? Na cud? Cuda się nie zdarzają. No, chyba że zadzwoni żona...

Za to Lena była zachwycona. Z podziwem patrzyła na blisko szesnastometrową budowlę. Równocześnie coś sprawdzała w dużym niebieskim notesie. Robiła kolejne zapiski. Porównywała je z mapą, którą trzymała pod notesem. Na złożonej w prostokąt mapie zaznaczała jakieś linie. W końcu zadowolona wróciła do samochodu. Werens był wyraźnie zdegustowany. Nie po to jechali przez te pustkowia, by teraz grzać się w aucie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Lena tak się zachowuje. Dera przynajmniej węszył. On z kolei dokładnie wszystko fotografował. Zadał sobie nawet trud i w ślad za policjantem, po kolana w śniegu, obszedł piramidę. Wrócił przemoknięty i wściekły, bo w aparacie wysiadły baterie. Jak mógł o nich zapomnieć?!

- Nic tu po nas - rzucił krótko - pora wracać do wsi. Cały jestem przemoczony i zmarznięty. Ta sprawa jest nienormalna. Stoimy w miejscu i zanosi się na to, że długo tak będziemy stać. Szukamy Klaudii Garde, a nie wariata, który odcina ludziom głowy i w niepojęty sposób przenosi ich zwłoki do starych grobowców. Zrobiliśmy sobie fajną wycieczkę na Mazury, ale pora wracać do miasta.

Lena siedziała na tylnym siedzeniu samochodu. W dalszym ciągu coś zapisywała i porównywała. Machinalnie przytakiwała Werensowi, kiedy ten, pełen żalu, z coraz większym rozczarowaniem opowiadał o wypadkach ostatnich dni. Wreszcie wrócił Dera i mogli ruszyć. Jechali w zupełnym milczeniu w coraz większych ciemnościach. Zdawało się, że poruszają się w jakimś tunelu, którego sklepienie stanowią

ciężkie od śniegu sosny. We wsi pożegnali się z Derą i ruszyli do Mazurskiego Folwarku. Już na miejscu każde udało się w inną stronę. Werens postanowił napić się gorącego piwa z miodem, Lena zaś chciała wziąć prysznic. Potem wróciła do swoich zapisków. Około północy pojawił się podchmielony Werens. Z głupawym uśmiechem, który w zamierzeniu miał być uwodzicielski, ruszył w kierunku łóżka, lekko się zataczając. Objął w talii leżącą na plecach kobietę i zaczął obsypywać jej nagie ramiona pocałunkami. Ogarniało go coraz większe podniecenie. W pewnej chwili usłyszał słowa, które skutecznie powstrzymały go przed dalszymi zalotami.

- Czy słyszałeś kiedyś o liniach promieniowania geomantycznego?

- O czym?

- O liniach łączących miejsca mocy.

- Mów jaśniej.

- Miejsca mocy to znane od tysięcy lat punkty energetyczne Ziemi. Są one połączone ze sobą liniami energetycznymi. To coś w rodzaju działającego na zasadzie telepatii Internetu. Miejscami mocy nazywa się tereny szczególnej koncentracji stymulujących sił przyrody.

- No i co dalej?

- Właśnie w Rapie przecinają się trzy takie linie promieniowania.

- Chyba żartujesz?

- Nigdy nie byłam poważniejsza.

Je Je Je

Adam Dera wreszcie doczekał się telefonu. Tyle tylko, że nie dzwoniła do niego nieczuła małżonka, a przyjaciel z Warszawy. Policjant był wyraźnie rozczarowany, ale to, co usłyszał, skutecznie wyparło myśl o niewdzięczności rodzinnej.

- Słuchaj, Adamie, mam dla ciebie prezent świąteczny. Co prawda Wigilia jutro, ale myślę, że ucieszysz się z tego, co zaraz usłyszysz.

- Mów.

- Ten samobójca, Eryk Bunda... Miał na sobie zakrwawioną koszulę.

- To prawda. Krew nie należała do potrąconego ani do samego Bundy. Nie mów, że wiesz, czyja to krew?!

Zaległa cisza.

- Jerzy! Jesteś tam?! Tak się nie robi! Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Czyja to krew?

-ABW przejęło sprawę, ale jak pamiętasz, chłopcy z Gołdapi przybyli pierwsi do tego chłopaka. Wzięli próbki krwi. I oto są wyniki.

- Jerzy, na Boga!

- Trzymaj się mocno czegoś solidnego. A jak stoisz, to usiądź.

Uwaga...

- Jurek, by cię szlag! Tak się nie robi!

- To krew Szuberta. To jego grupa krwi. B Rh+.

- Co? Tego cholernego drania Szuberta?

- Najwyraźniej chłopak dorwał go i posłał do piekła.

- Bomba! No tak, wszystko jasne. Stąd ABW. Ci z bezpieczeństwa wewnętrznego szukali bydlaka od dawna. No i znaleźli, ale nieco za późno. Chłopak, ten Eryk, zabił go, a potem, uciekając, wpadł w panikę i spowodował wypadek. Czas się zgadza.

- Myślisz, że to on, Szubert, jest tym trupem bez głowy w piramidzie? - Warszawski policjant mimo wszystko miał wątpliwości.

- Dałbym sobie głowę odciąć!

Ostatnie słowa Dery w zaistniałych okolicznościach zabrzmiały bardzo ponuro.

24 grudnia 2006, niedziela

Siedzieli we trójkę przy drewnianym stole. Mieszkańcy wioski przygotowywali się do wigilijnej wieczerzy i bar „Młyn” świecił pustkami. Gdyby nie obecność trójki detektywów, właściciel już dawno zamknąłby interes. Ale obecność stróża prawa robiła swoje. Aspirant Dera błyskawicznie stał się osobą powszechnie znaną, co do której, niestety, miejscowi nie mieli jeszcze wyrobionego do końca zdania. Dlatego też nikt nie zamierzał mu się narażać.

- Czakramy albo, inaczej mówiąc, miejsca mocy występują na całym globie. Znaleźć je można na każdym kontynencie. Są to miejsca, w których energia kosmiczna łączy się z energią Ziemi. Dawni ludzie dzięki intuicji i obserwacji natury potrafili odnaleźć miejsca szczególnej koncentracji pozytywnej energii. Powstała hipoteza, że struktura Ziemi przypomina strukturę kryształu. Oznacza to, że istnieje rodzaj symetrycznej sieci z aktywnymi węzłami - tłumaczyła powoli Lena.

- Czyli że można połączyć te węzły w linie? - zapytał Werens.

- Jak najbardziej. Dokonał tego rosyjski naukowiec Gonczarow. Połączył liniami miejsca, w których zrodziły się najstarsze cywilizacje. Powstały z tego połączenia regularne pięciokąty. Słynne święte miejsca znalazły się na wierzchołkach pięciokątów albo w ich geometrycznym środku.

- Co to za miejsca?

- Wyspa Wielkanocna, Machu Picchu w Peru, Mohendzo Daro w Indiach, piramidy w Gizie.

- Piramidy?

- Tak. Ale nie tylko one. Tych miejsc jest dużo więcej. Na przykład krąg Stonehenge. To zresztą osobna historia. Anglik Watkins odkrył wiele miejsc kultu ułożonych w jednej linii

prostej. Wspomniany krąg Stonehenge łączy się z Old Sarum, kręgiem Clearbury, katedrą w Salisbury, obozem Frankenburg.

- Co to oznacza? - zapytał z kolei policjant.

- Watkins nazwał je „liniami ley” co w języku walijskim oznaczało „święte miejsce”. Najpotężniejsze z nich oplatają całą Ziemię. Są również linie geomantyczne oplatające mniejsze powierzchnie. Można je nazwać Internetem sprzed tysięcy lat. Liniami tymi przebiegało od wieków przekazywanie wiedzy.

- W jaki sposób? - zapytał Dera.

- Ludzie będący na wysokim poziomie rozwoju wewnętrznego osiedlali się w miejscach mocy przebiegających przez linie geomantyczne. Tam dokonywali genialnych odkryć, przenikała ich mądrość. Tam też stawiali świątynie. I tu dochodzimy do naszej piramidy. Otóż najsilniejsze strumienie energetyczne wysyłane są z piramidy w Gizie. Wynika to z jej kształtu.

- To ta historia z tępyimi żyłkami, które same się ostrzą? - Dera bezwiednie potarł dłonią szorstki policzek.

- W Komorze Królewskiej promieniowanie sięga 170 tysięcy jednostek. Nigdzie na świecie nie ma większego promieniowania. Z piramidy wychodzi najwięcej, bo aż dziesięć linii, i to one tworzą pajęczynę oplatającą kulę ziemską. Piramida łączy miejsca kultu na całej Ziemi.

- A w Polsce?

- I tu dochodzimy do sedna sprawy - powiedziała tajemniczo Lena. - Największym miejscem mocy jest krakowski Wawel. Przebiega pod nim aż siedem linii geomantycznych. Największą moc ma linia zwana jerozolimską. Równie ważną, ale o słabszej mocy jest linia przebiegająca przez Białowięź i centrum kultowe w górach Harzu. Ale nie tylko, bo i przez Druggelte koło Soest, gdzie znajdowała się gnostycka kaplica sekty katarów. To miejsce największej mocy w Niemczech.

- A czy możesz nam powiedzieć, co ma Wawel i góry Harzu do naszej piramidy w Rapie? - Teraz pytanie zadał Werens.

Zaległa pełna napięcia cisza, po której Lena wyjaśniła:

- W Rapie, moi drodzy, przecinają się trzy linie silnego promieniowania geomantycznego łączące miejsca mocy. Jedna

z nich biegnie od Kowna do Karlsruhe, jednego z większych miejsc mocy w Europie. Promieniowanie energii w piramidzie z Rapy wynosi około dwudziestu trzech tysięcy jednostek w skali Bovisa.

- Czy możesz mówić jaśniej?

- Promieniowanie zdrowego człowieka wynosi sześć i pół tysiąca jednostek. Powinniście też wiedzieć, że miejsca o natężeniu osiemnastu tysięcy jednostek uznawane są przez znawców tematu za miejsca mocy.

Werens z Derą nie wiedzieli, jak się odnieść do tych rewelacji. Wreszcie jako pierwszy głos zabrał dziennikarz:

- No dobrze, załóżmy, że Szubert wiedział o tym miejscu. Czy myślicie, że chciał we wnętrzu piramidy naładować akumulatory? Rozumiem, że miejsce mocy ma również właściwości zdrowotne. Ale on nawet nie miał możliwości dostania się do środka!

- O, tu bym się nie zgodził - rzucił złośliwie Dera.

- W kawałkach, bo w kawałkach, ale wydobyto go z wnętrza.

- No właśnie, nie wiadomo, jak tam się znalazł.

- I czy to na pewno jego ciało - dodał Werens.

- A jeżeli on nie zdążył wejść do piramidy? - zastanawiała się głośno Lena. - Jeśli zabójca dopadł go wcześniej i zabitego umieścił w środku?

- Ale tu znowu jest problem natury technicznej! Jak, pytam, jak tam się znalazł? Żywy bądź martwy! - krzyknął Dera, czym poruszył poprawiającego świąteczną iluminację właściciela baru.

- Jest jeszcze coś, o czym warto wiedzieć - powiedziała cicho Lena. - Angielski badacz geomancji Nigel Pennick twierdzi, że kwatery Hitlera w nieodległej Gierłoży zlokalizowano dzięki znajomością wiedzy geomancyjnej.

- Co? Wilczy Szaniec też jest miejscem mocy!?! - znowu wykrzyknął Dera, a gospodarz baru tym razem nie wytrzymał i biorąc się pod boki, z purpurową twarzą wydusił z siebie:

- Wiem, że jest Wigilia i trzeba się tego dnia szanować. Ale ja już mam państwa dosyć. Nie dość, że przez was nie mogę iść do domu, to jeszcze co chwila krzyczycie, a ja mam chore serce.

Mnie straszyć nie wolno. Tym bardziej Hitlerem. Każde dziecko wie, że bywał w tej piramidzie. Wie to od swoich rodziców, a oni od swoich. I nie jest też wielką tajemnicą, że z jego bunkra szła linia kolejowa do piramidy.

-Jak to!?! - wykrzyknęli równocześnie Dera z Werensem. - Gdzie ona jest?

- To możliwe. - Lena potarła nosk palcami. - Wilczy Szaniec był największą w Europie kwaterą naczelnego dowództwa Wehrmachtu i tym samym Hitlera. Miał być bazą wypadową dla jego wojsk idących na wschód. Wódz Trzeciej Rzeszy spędził tutaj osiemset dni! Na dwustu pięćdziesięciu hektarach pobudowano dwieście obiektów. Ściany schronów, których było siedem, miały osiem metrów grubości. Zbudowano tu betonowo-asfaltowe drogi, które zamaskowano rozciągniętymi wzdłuż nich siatkami. Kwatera miała dwa lotniska, wodociągi, kotłownie, a nawet dworzec!

- Dworzec?!

- Tak. Dworzec.

- Co się z tym wszystkim stało?

- Kwaterę zniszczono. W styczniu 1945 roku niemieccy saperzy wysadzili wszystko w powietrze. A lokalne linie kolejowe sowieccy żołnierze wywieźli na wschód. Hitler był widziany w kwaterze ostatni raz pod koniec listopada 1944 roku.

- A piramida?

- Nie jest tajemnicą, że nadworny architekt Hitlera Albert Speer urządził jego bunkier na podobieństwo egipskiej piramidy. Píše o tym w swoich dziennikach. To żadna nowość.

- A zatem jest możliwe, że do piramidy prowadzi jakiś ukryty tor - Dera głośno i z uporem rozważał możliwość dostania się do wnętrza grobowca. - Nawet pomimo zawalenia.

- Jasne! - drwił jawnie Werens. - Pojedziesz do Wilczego Szańca i odkryjesz zasypane torowisko. Ty jako pierwszy. Po sześćdziesięciu latach! Tysiące poszukiwaczy skarbów i innych pasjonatów historii centymetr po centymetrze przeszukiwało ruiny twierdzy i niczego nie odkryli, a ty to zrobisz - po wieczornej biesiadzie postanowili mówić sobie po imieniu.

- Zapominasz o czymś. Ci poszukiwacze skupiali się na bunkrze Hitlera.

- A ty niby na czym?

-A ja? - Mrugnął łobuzersko. - Ja zacznę rozwiązywać ten węzeł od drugiej strony.

W następnej chwili Dera poderwał się z ławy. Jego twarz rozpromienił uśmiech pełen niewyobrażalnego szczęścia. Lena z Pawłem nie mogli zrozumieć, dlaczego policjant tak się cieszy. Czyżby rzeczywiście znał wejście od strony piramidy? W następnej sekundzie sprawa się wyjaśniła. W drzwiach baru stanęły dwie kobiety z wielkimi walizami. Patrzyły po sali z wyrazem zniesmaczenia. Nie mogło być wątpliwości. To były żona i córka aspiranta! W następnej chwili potężny mężczyzna odsunął ławę i w podskokach, z rozłożonymi szeroko rękami, dopadł ukochanych istot.

Kiedy Dera wyściskał żonę, Lena poczuła wibrację w kieszeni spodni. Sięgnęła po telefon. Werens widział, jak jej twarz wpatrzona w wyświetlacz nagle robi się blada. Wiedział, kto jest nadawcą tej wiadomości. Chwyił Lenę za dłoń i patrząc jej w oczy, z przekonaniem powiedział:

- Załatwmy tę sprawę raz na zawsze. Mam pewien pomysł. Bardzo niebezpieczny. Opowiem ci o nim później.

Poruszona Lena schowała telefon do kieszeni, wcześniej go wyłączając.

- Nie - rzuciła przez zaciśnięte zęby - powiesz mi o tym pomyśle teraz.

To była najdziwaczniejsza Wigilia w życiu całej trójki. Aspirant Dera zaprosił Lenę i Pawła do swojego domu. Nie wypadło im odmówić, chociaż zdawali sobie sprawę, że ich obecność może stanowić problem. Tak się jednak nie stało. Żona Dery najwyraźniej znalazła w nich nieświadomych sprzymierzeńców. Nie musiała teraz tłumaczyć się z długiego milczenia. Brak telefonów do męża skwitowała krótko chęcią zrobienia mu niespodzianki. Krążyła pomiędzy kuchnią a niewielkim salonikiem, znosząc kolejne potrawy, które bądź przywiozła z miasta, bądź przygotowywała na miejscu. Córka Dery nie wykazywała większego zainteresowania wieczerzą.

Skupiła się na pilocie telewizora. Badala jego możliwości, które, ku jej radości, nie były takie znowu małe, a to za sprawą anteny satelitarnej. Lena ukradkiem patrzyła na Pawła. Pomysł na rozwiązanie problemu z eksmężem wydawał jej się wielce ryzykowny, ale i skuteczny. Omówili go kilka razy, uzgadniając szczegóły. Niebezpieczeństwo, jakie stwarzał, było ogromne. Gdyby jednak się powiódł, oznaczałoby to uwolnienie się od potwora na długi czas, a kto wie, może odzyskanie córeczki. Dlatego Lena z każdą chwilą była coraz bardziej przekonana co do celowości tego szaleńczego planu. W chwili, kiedy łamali się opłatkami, objęła Pawła i szepnęła mu do ucha:

- Tak. Zdecydowałam się. Możesz porozmawiać z Adamem. Tylko na osobności.

Werens zdrzał. Odpowiedzialność, jaka na niego spadła, w pierwszej chwili podcięła mu nogi. Z drugiej jednak strony to on zaproponował to rozwiązanie. Jeżeli się nie powiedzie, jego życie również będzie skończone. Dlatego objął Lenę bardzo mocno, aż dziewczyna jęknęła i wyszeptał:

- Wszystko się uda. Jestem tego pewien.

Sama kolacja przebiegła w miłej atmosferze. Zebrani przy stole opowiadali anegdoty, wymieniali uwagi na temat drogi na Mazury. Zachwycali się pięknem tych terenów. Dera promieniał. Już w drzwiach baru wybaczył swoim kobietom ewidentną - jak sądził - zdradę. Cieszył się niczym dziecko z ich widoku. Okazało się, że cały czas wierzył w ich przyjazd, Dowodem na to były prezenty, które wydobyl z szafy. Sam również otrzymał piękny, gruby sweter, który natychmiast założył, chociaż najwyraźniej było mu w nim bardzo ciepło. Po jego czole i karku wnet zaczęły płynąć strużki potu. Ale szczęśliwy mąż i ojciec nie pokazał nawet przez ułamek sekundy, że jest mu niewygodnie i zwyczajnie odczuwa dyskomfort. Sypał jak z rękawa dowcipami, które były mało zabawne, ale towarzystwo, by go nie urazić, śmiało się w przerysowany sposób. Z tego wszystkiego nagle rzeczywiście zaczęli się dobrze bawić. Ze śmiechu łapali się za brzuchy, ich twarze poczerwieniały, w oczach stały łzy. W radiu grano bożonarodzeniowe kolędy. Dera, mocno fałszując, dołączył się

do chóru. Wył okropnie, lecz nikt nie zamierzał mu przerywać. Ojciec odzyskanej rodziny był szczęśliwy. Po kolacji żona Dery - Izabela wraz z córką Martą skryły się w kuchni. Był to dobry moment na podzielenie się uwagami dotyczącymi prywatnego śledztwa, jakie Lena, Paweł i Adam prowadzili. Bo nie ulegało wątpliwości, że wszyscy oni zaangażowali się w wyjaśnienie zagadki piramidy i zniknięcia córki Cecylii Garde - Klaudii.

- Leno, powiedziałaś, że kiedyś ścięcie było karą za morderstwo - zaczął Werens.

- To prawda. Ale i za bałwochwalstwo.

- Poprzestańmy na morderstwie. Moja teoria jest następująca. Eryk Bunda kochał Klaudię. Pewnego dnia dowiedział się, kim jest jej dziadek. To przecież Szubert sprawił, że dziewczyna z zaburzeniami psychicznymi trafiła do szpitala. Tam Eryk ją poznał.

- Co dalej?

- Eryk postanowił uwolnić Klaudię od psychopatycznego krewnego. Być może nie zamierzał go zabić. Dowodziłaby tego jego późniejsza reakcja. Wpadł w panikę, wylądował na drzewie. Potem popełnił samobójstwo.

- A jeżeli samobójstwo było wynikiem czego innego? - zapytał Dera.

- Co masz na myśli?

- Klaudii ciągle nie ma. Mogło ją spotkać jakieś nieszczęście. Eryk się o tym dowiedział. Nie chciał dalej żyć. Takie rzeczy się zdarzają.

- Tak. Istnieje taka opcja. Założmy jednak, że Klaudia żyje. Lena mówi, że odcięcie głowy jest karą za morderstwo. Szubert vel Montalto był okrutnym zbrodniarzem. Eryk dowiedział się o tym i wymierzył mu karę. Taką, na jaką zasłużył, a jakiej żaden sąd by nie zastosował. Tym samym uwolnił Klaudię od potwora.

- Ciągle jednak nie wiemy, jaką rolę w tym wszystkim spełnia piramida w Rapie. Jak Eryk umieścił w niej ciało starca bez zniszczenia wejścia? I po co to w ogóle zrobił?

- Zapominamy jednak o najważniejszym - wtrącił Dera. - Dlaczego Szubert został spalony? I dlaczego spalono ciało, a

oszczędzono głowę? Przecież policja i tak łatwo mogłaby ustalić, czyja to byłaby głowa, nawet kompletnie zwęglona...

Cała trójka zamilkła, bo pytanie Dery mocno gmatwało sprawę. Z kuchni dobiegał hałas puszczonej z kranu wody, żona aspiranta myła kolejny talerzyk. W przedpokoju Kort kończył gryźć pokaźną kość. Jego szczęśliwe ślepia wpatrywały się w Izabelę Derę, która tego dnia została jego niekwestionowaną idolką, donosząc mu kolejne pachnące kosteczki. Nagle w kieszeni Pawła zabrzączał telefon. Werens błyskawicznie docisnął go do prawego ucha. Lena wnet domyśliła się, kto może dzwonić w ten świąteczny wieczór. Dera również nie miał wątpliwości. Od rana Paweł chodził nieswój. Owszem, przy kolacji zapomniał na chwilę o nieprzytomnym ojcu leżącym w szpitalu. Ale teraz sprawa była jasna. Coś złego działo się z Werensem seniorem.

- Jadę - powiedział matowym głosem Paweł - będę najszybciej, jak to tylko możliwe.

Odłożył telefon. Patrzył na siedzących obok niego ludzi smutnym wzrokiem. Nie było potrzeby, aby cokolwiek mówić. Wstał od stołu i ruszył do drzwi. W jego ślady poszła Lena. Po chwili wyjeżdżali z wioski. Każde z nich wiozło z sobą jakiś dramat. Werens pędził do szpitala, Lena wracała do miasta, w którym gdzieś czaił się jej prześladowca. Nawet Kort siedzący za plecami Pawła nie był szczęśliwy. Zabrano go do samochodu w chwili, kiedy wspaniała pani w eleganckiej sukni niosła mu kolejną pachnącą kość.

Werens pędził na złamanie karku. Na szczęście droga była odśnieżona, a ruch na niej nieznaczny. Zaczynały się przecież święta i każdy, kto mógł, o tej porze siedział przy suto zastawionym stole. Do miasta wjechali od strony północnej. Paweł wściekał się, ilekroć stawali na czerwonym świetle. Dawał temu wyraz, objając kierownicę pięścią i klnąc pod nosem. Pod szpital zajechali, ledwo co mieszcząc się pod szlabanem, który w ostatniej chwili podniósł poruszony ochroniarz. Ruszył z pretensjami w ich kierunku, ale nie miał

szansy, by ich dogonić. Błyskawicznie pokonali kilkanaście stopni dzielących ich od drzwi wejściowych. Przebiegli przez duży hol i po kolejnych schodach ruszyli do góry. Na windę nie było czasu. Chcieli dostać się na Oddział Intensywnej Terapii. Ale zatrzymano ich na korytarzu i skierowano do gabinetu lekarza dyżurnego. Wpadli tam zadyszani. Dłuższą chwilę równali oddechy. Wreszcie Werens wyrzucił z siebie ciąg sylab:

-Co... z... mo... im... oj... cem? We... rens... się... na... zy... wam.

Lekarz zaproponował im zajęcie miejsc na kanapie. Powiedział krótko:

- Stan jest bardzo ciężki. Najbliższe godziny będą decydujące.

- Ale co się właściwie stało?

- Posocznica - powiedział lekarz - inaczej zwana sepsą.

- Proszę mówić jaśniej.

- To na oddziałach intensywnej terapii bardzo często występujący problem kliniczny. Niestety, pański ojciec jest starym człowiekiem. Cierpi na zaburzenia odporności, przyjmuje duże ilości antybiotyków. Miał też przeprowadzany zabieg inwazyjny.

- Ale, do cholery, co to oznacza?! - krzyknął Werens, nie bacząc na późną porę, ani miejsce.

- Doktor powiedział, że twój ojciec, Pawle, zachorował na posocnicę - Lena próbowała spokojnie wyjaśnić Werensowi sytuację. - Termin posocznica pochodzi od słowa „posoka”. Oznacza zepsutą „krew”.

-Jaką zepsutą krew? Czy to znaczy, że zaraził się w szpitalu?! Dlaczego nie dostał szczepionki uodparniającej?!

- Bo taka nie istnieje, proszę pana - rzucił ostro lekarz. - Rozumie pan? Będziemy stosować antybiotykoterapię. To długotrwałe i obciążone wielkim ryzykiem leczenie.

- Czy mój ojciec umrze? - Werens miał dosyć naukowego żargonu. Chciał znać prawdę. Nawet najgorszą.

- Każdy z nas kiedyś umrze - odparł filozoficznie lekarz. - Pański ojciec ma dziesięć procent szans na wyjście z tego.

- Dziesięć?! Tylko dziesięć!

- Aż dziesięć. W jego stanie to i tak dużo. Chce pan szczerości,

to ją pan ma.

- Czy coś mogę zrobić?

- Niewiele. Jeżeli jest pan wierzący, proszę się modlić za tatę. Mamy tu kaplicę. A jeśli nie wierzy pan w Boga, to niech pan wysyła ojcu pozytywną energię. Ona wiele może zdziałać. Wiara i nadzieja czynią cuda, a tu cud jest potrzebny. Leki są tylko lekami. Nie ma gwarancji, że organizm pańskiego ojca je przyswoi.

- Jest tak źle? - wydusił przez zaciśnięte gardło Paweł.

- Jest jeszcze gorzej - usłyszał od pocierającego kciukiem gęstą brodę lekarza.

Aspirant Adam Dera był wściekły. Ledwo Lena i Paweł odjechali, w jego domu wybuchła awantura. Zaczęło się niewinnie. Po kolacji żona postanowiła odpocząć. Jej ulubioną formą wypoczynku było czytanie romansów. Dera zakradł się do sypialni, w której zastał małżonkę pólleżącą na szerokim łóżu. Kobieta była przebrana w kusy szlafrok, na dodatek teraz rozchylony w taki sposób, że odsłaniał krągłe udo. Widok ten uruchomił wyobraźnię mężczyzny spragnionego kobiecych wdzięków. Ostatnie tygodnie, ba, miesiące pełne napięć i niespodziewanych wypadków sprawiły, że aktywność Dery w sypialni sprowadzała się do głośnego chrapania. Teraz zapragnął nadrobić stracony czas. Z każdą chwilą był coraz bardziej podniecony. Jego małżonka zdawała się tego nie dostrzegać. Z uwagą śledziła losy pary młodych bohaterów, którzy właśnie tańczyli na rozgrzanym piasku przy zachodzącym wolno słońcu. I kiedy Adam za plecami żony zakradł się na materac i położył ciężką dłoń na biodrze Izabeli, ta, machinalnie, zdjęła ją z siebie. Dera ponowił próbę. Zdawało mu się, że robi to nad wyraz delikatnie i czule. Niestety, jego dłoń ponownie została odtrącona. Tym razem jednak z większą stanowczością. Urażony małżonek nie wytrzymał. Zerwał się z łóżka i stając nad żoną, pełen złości i rozczarowania wypalił:

- Co się z tobą dzieje?!

Nie odpowiedziała. Dalej czytała romans.

- Słyszysz mnie? Pytam, co się z tobą dzieje?

Podniosła wzrok znad książki.

- A niby co się ma dzieć? Jak widzisz - odpoczywam. Pół dnia jechałam do ciebie. Wcześniej przez kilka dni zajmowałam się załatwianiem spraw w mieście. Do tego doszło gotowanie. A jak zapewne zauważyłeś, właśnie skończyłam zmywać talerze po kolacji. Czy nie mam prawa do odpoczynku?

Dera był wyraźnie niezadowolony z tej odpowiedzi. Spodziewał się skruchy z jej strony. Było nie było, przez tydzień nie dawała znaku życia. A on martwił się i zadręczał. I co dostał w zamian? Obojętność i lekceważenie. Nie zamierzał tego tak zostawiać. Dlatego rzucił zaczepnie:

- Jak widzę, ta rozłaka nie zrobiła na tobie większego wrażenia.

- Kilka dni odpoczynku od siebie nazywasz rozłaką?

- A więc to był odpoczynek ode mnie!

- Czasem się taki przydaje.

- No nie, co ja słyszę! Moja własna żona bez skrępowania mówi mi, że czas bez mnie jest czasem odpoczynku!

- Pewno byś chciał, żeby ci to mówiła cudza żona.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Po pierwsze, nie podnoś głosu. Po drugie, nie klnij w mojej sypialni. A po trzecie, nie udawaj świętoszka. Dobrze widziałam, w jaki sposób patrzysz na tę Lenę.

- Ty oszalałaś. Przecież ona mogłaby być moją córką!

- Tak? Wówczas ja musiałabym być starsza o dekadę. No, chyba że kto inny miałby być jej matką. A może jest coś, o czym nie wiem?

- O czym ty mówisz?

- Może przyłożyłeś rękę i coś jeszcze do jej poczęcia? Tak się w nią wpatrujesz. Z taką czułością!

- Kobieto! Obudź się. Zaczynaj czytać normalne książki, a nie te historyjki wyplukujące ci szare komórki!

-A więc jestem głupia? Tak? No, powiedz to wreszcie!

- Ty... Ty... ty nie wiesz, co mówisz! - wrzasnęła, równocześnie wybiegając z sypialni.

Adam Dera był roztrzęsiony. Wyszedł przed dom, z kieszeni wyciągnął paczkę papierosów. Dłonie mu drżały, kiedy próbował przypalić jednego z nich. Papieros złamał się w połowie i zniknął w śniegu.

- To ja tak tęskniłem, a co dostałem za to? Poniżenie i obojętność - syczał pod nosem.

Kolejne zapalki błyskały w ciemności, a nowy papieros ciągle się nie palił. Wreszcie Dera cisnął paczkę o ścianę i poszedł za dom. Wsiadł do poczciwego ARO i siedział tam dobry kwadrans. Włączył radio i słuchał roztkliwiających kolęd. W oczach stanęły mu łzy. To były jego najgorsze święta. Atak na nie czekał! Nagle przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na oblodzoną ulicę. Wolno skierował auto na północ. Musiał coś zrobić. Nie mógł w tej chwili wrócić do domu. Nie zasnąłby do rana. Potrzebował ruchu. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Dlaczego nie? - powiedział sam do siebie. Po dwudziestu minutach, w ciągu których wysłuchał kolejnych kolęd, zatrzymał samochód przed piramidą w Rapie. Wysiadł z auta, z bagażnika wyciągnął latarkę, plecak i ocieplane długie buty. Założył też służbową kurtkę i czapkę z nauszni- kami. Wrócił do samochodu. Ze skrytki przy kierownicy wziął nową paczkę papierosów. Nieco uspokojony, przypalił wreszcie jednego. Głęboko się zaciągnął. Plan zrodził mu się w głowie nagle. I tak jak nagle powstał, tak samo wymagał szybkiej realizacji. Nadzieje były niewielkie, ale jednak były. Dera postanowił pójść na tyły grobowca, a potem zataczać coraz dalsze luki. Świadomie zrezygnował z tej części, którą przybył. Tam nie mogło znajdować się wejście. Rozumował następująco: Skoro istniało jakieś połączenie kolejowe między Wilczym Szańcem a Rapą, to musi ono gdzieś tu być. Oczywiście żołnierze niemieccy zniszczyli bunkry i Rosjanie rozebrali drogę. Ale nie byłiby w stanie zniszczyć wszystkiego. Bo to, że istniało jakieś przejście, nie ulegało wątpliwości. Skąd bowiem by się znalazł trup generała wewnątrz piramidy? Ktoś musiał go tam doprowadzić jakimś podziemnym tunelem. Żywego bądź martwego. Lena mówiła o systemie wentylacji w piramidzie. Na tym Dera oparł swoją teorię. Gdzieś w lesie

może być otwór wentylacyjny. Policjant wszedł pomiędzy drzewa. Zataczał coraz większe łuki. Po kolana brnął w sypkim śniegu. Ciężkie nawisy śnieżne po dotknięciu ich latarką osuwały się na głowę i plecy Dery. Musiał wyglądać osobliwie. Niczym monstrualny, ożywiony bałwan. Wkrótce piramida za jego plecami zniknęła. Za to sprzymierzeńcem niespodziewanie okazał się księżyc i gwiazdy. Wzrok policjanta oswoił się z mrokiem. Dera szedł coraz dalej. Oddalał się od piramidy. Z uwagą patrzył na ślady pozostawione w śniegu. Wszystkie należały do leśnych zwierząt. Wyszedł na niewielką polanę. Tu światło księżyca docierało doskonale. Policjant rozejrzał się uważnie. Nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Wszędzie była płaska niczym stół powierzchnia pokryta grubą warstwą iskrzącego śniegu. Stał na środku polany i palił papierosa. Zerknął przy okazji na zegarek. Minęła północ. W następnej chwili w jego kieszeni zabrzączał telefon. Dzwoniła żona. Nie zamierzał odbierać. Po tym, jak się zachowała, postanowił ją ukarać. Nie było lepszego sposobu jak sprawienie, by czuła niepokój o jego życie. Szczęśliwie odnajdzie się, kiedy uzna to za stosowne. Czy ona przez te dni, kiedy milczała, nie była wobec niego okrutna? Dera wyłączył telefon. Niech się martwi. Mogli teraz przeżywać pełne namiętności chwile. A tak co? On łązi w środku nocy wigilijnej po lesie, a ona leży w wygodnym łóżku. To niesprawiedliwe. To niech chociaż pocierpi tych kilka godzin.

Teraz myśli policjanta przeniosły się w przeszłość. Na takiej jak ta polanie dwa lata wcześniej znaleziono ciało starca z odciętą głową. Wtedy też była zima. Dera nie miał wątpliwości, że zarówno wtedy, jak i teraz, w sprawę zamieszani byli kainici. Ponura sekta wróciła. Tylko dlaczego zginął ich przywódca? I to w jaki okrutny sposób! Adam Dera po raz kolejny powtórzył w myślach - klucz do rozwiązania zagadki znajduje się wewnątrz piramidy. Nie wierzę, że to Eryk zabił Szuberta. Do takiej zbrodni potrzeba kogoś nienormalnego. A Eryk, chociaż pracował w szpitalu dla nerwowo chorych, był normalny. W następnej chwili dodał już na głos: - To mi się ciężki dowcip udał. Wstydz się, Adamie.

Dera skończył kolejnego papierosa. Wyrównał oddech. Był już zmęczony i przemarznięty. Postanowił, że obejdzie łukiem polanę i wróci do domu. Jutro rozpocznie dalsze poszukiwania. Bo w domu, pomimo świąt, nie zostanie, to pewne. Nie w takiej atmosferze! Ruszył na skraj polany. I wtedy coś go poruszyło. Jakiś element nie pasował do całości. Nie wiedział, co to jest, ale czuł, że coś tu nie gra. Wyteżył wzrok i omiół światłem latarki teren przy lesie. Ziemianka! Na skraju polany, zasypana śniegiem, nieznacznie wystawała usypana z gliny ziemianka. Niby nic. Takie obiekty często występują na tych terenach. Ale intuicja doświadczonego policjanta nakazywała mu zachowanie największej czujności. Wolno ruszył w kierunku niepozornego garbu. Teraz jego uwagę zwrócił kolejny element. Ślady butów prowadzące od lasu. Po chwili znalazł się przed budowlą. Ziemianka wystawał półtora metra nad poziom polany. Kiedy stopnieje śnieg, również będzie słabo widoczna, a to za sprawą trawy, która ją w całości porasta. Wejście miało dwoje drzwi z okienkiem. Zabezpieczono je słomą i drobną kratką z drutu, która miała chronić wnętrze przed małymi gryzoniami. Dera pamiętał z dzieciństwa dom dziadków, przy którym pobudowano podobną ziemiankę. Nie było wtedy lodówek i ludzie w takich pomieszczeniach przetrzymywali ziemniaki i wszystko, co latem mogłoby się zepsuć w wysokiej temperaturze. Ślady prowadziły do wnętrza. Policjant wyjął z plecaka niewielki łom. Zerwał nim kłódkę. Wszedł do środka. Zdaje się, że właśnie dokonuję włamania, pomyślał. Wnętrze było zrobione w całości z czerwonej cegły. Nawet podłoga była nią wyłożona. Głową dotykał łukowatego sklepienia, kiedy uważnie oglądał wnętrze obiektu. Miało ono kształt ściętego walca i jakieś dziesięć metrów długości. Sporo jak na tego typu skrytkę. Ruszył przed siebie. Metr po metrze uważnie oglądał ściany i sufit. Wszystko mogło być ważne. Na końcu natrafił na ścianę z drewnianych skrzynek. Odłożył latarkę i jedną po drugiej przekładał skrzynki na bok. Nagle poczuł dreszcz podniecenia. Za ścianą z cuchnących pleśnią pojemników był metrowej średnicy otwór. Podniósł latarkę i zaświecił do jego wnętrza. Po kilku metrach otwór przechodził w dużo większy,

regularny tunel z grubymi kablami umieszczonymi przy sklepieniu. Adam Dera uśmiechnął się do siebie. -Wiedziałem. Mój nos mnie nie zawiódł. - W następnej chwili skierował snop bladego światła w czerń tunelu. Ostrożnie ruszył w ciemności.

25 grudnia 2006, poniedziałek

Gęsty śnieg padał całą noc i rano. Temperatura była ujemna. Werens dojrzał na zaokiennym termometrze minus osiem stopni. W tej chwili pragnął, aby ten śnieg nigdy nie przestał padać. Zasypałby cały świat, a wtedy i jego problemy. To jednak było mało prawdopodobne. Za ścianą, z łazienki, dochodził szum wody. Lena brała prysznic. Po nocnej wizycie w szpitalu pojechali do mieszkania Pawła. Tak było lepiej i bezpieczniej. Prześladowca kobiety krążył gdzieś niedaleko. Nie było gwarancji, że zrezygnował z dręczenia jej. Lena przezornie wyłączyła telefon. Pół nocy omawiali pomysł Pawła. Pod koniec rozmowy doszło między nimi do małej sprzeczki. Paweł, po namyśle, postanowił zrezygnować z tego projektu. Ale Lena już podjęła decyzję, nie było mowy o wycofaniu się. Jeszcze długo potem leżeli wtuleni w siebie, każde rozmyślało o czym innym, ale ich lęk był wspólny. Zasnęli nad ranem. Teraz zbliżało się południe.

Za oknem było pusto. Ludzie siedzieli przy świątecznych stołach. Pierwsze, co zrobił Paweł, to zadzwonił do szpitala. Poinformowano go, że stan ojca nie uległ zmianie. Jest ciężki, ale stabilny. Werens zapytał o możliwość wizyty. Dowiedział się, że nie może przyjechać, gdyż ze względu na sepsę na całym oddziale wprowadzono zakaz odwiedzin. Zrozumiał, że nie powiedziano mu całej prawdy. Stan jego ojca musiał być krytyczny. Lena domyślała się prawdy. Postanowiła odciągnąć myśli Pawła od śmiertelnej choroby ojca. Podążyła do salonu i siłą zaciągnęła go do stołu. Siedział milczący, z głową opartą na dłoniach. Wyrwała go z zamyślenia, mówiąc:

- Eryk Bunda nie zabił Szuberta.

- Co? - Werens spojrział na nią przekrwionymi oczyma.
- Mówię, że Eryk nie był zdolny do takiej zbrodni.
- Dlaczego tak uważasz? Jeszcze niedawno twierdziłaś, że Eryk zabił Klaudię. Skąd ta zmiana?
- Bo to nie jest typ mordercy. Młody psychiatra był wrażliwym człowiekiem, zakochanym w swojej pacjentce. Klaudii ciągle nie odnaleziono. Myślę, że ona żyje.
- I ja uważam, że to nie on jest zabójcą.
- Do czego zmierzasz?
- Nie tylko on miał powód, by dokonać zemsty na Szubercie.
- Kto na przykład? - spojrzała na Pawła z zainteresowaniem.
- Wszyscy ci których skrzywdził. Te dzieci, które wykorzystywał przed laty w pałacu Donhoffów. To dzisiaj dorośli ludzie. Krzywda, jakiej doświadczyli, musiała się odbić na ich dalszym życiu. To jest wielka trauma. Mogli go też zabić wspólnicy od ciemnych interesów. Ludzie, których pociągnął na dno. Wielu by mogło mu odciąć za to głowę.
- Tak sądzisz?
- Coś w tym jest. Matka Eryka twierdzi, że tego dnia, kiedy widziała syna po raz ostatni odjechał z jakąś kobietą w czerwonym aucie.
- Czy myślisz o tym samym co ja? - Lena patrzyła z uwagą w twarz Pawła.
- Myślę, że Cecylia Garde nie wszystko nam w tej sprawie powiedziała. - Werens wstał od stołu i ruszył w kierunku drzwi.
- I ja też tak myślę. - Lena po chwili dołączyła do niego.
- Po trzech minutach byli już przed kamienicą. Śnieg ciągle padał. Jakby wysłuchał prośb Werensa i zamierzał zakryć wszystkie tajemnice tego miasta.

Pod domem Cecylii Garde znaleźli się po kolejnych dziesięciu minutach. Dotarli tam pieszo, bo obie kamienice znajdowały się w śródmieściu. Werens chciał nacisnąć przycisk domofonu, ale nie było to konieczne. Jakieś starsze małżeństwo wychodziło z korytarza. Najpewniej szli do kościoła na świąteczne nabożeństwo. Lena z Pawłem skorzystali z okazji i

wśliznęli się do środka. Cecylia Garde mieszkała na pierwszym piętrze pod numerem czwartym. Już będąc pod jej drzwiami usłyszeli dobiegające od strony apartamentu hałasy. Wsłuchali się uważniej i po chwili zrozumieli, że to głośna muzyka. Nie była to wszakże jakaś klasyka, a pospolita piosenka, którą można było usłyszeć w każdej dyskotecie. Wydało im się to bardzo dziwne. Ale były przecież święta. Cecylia Garde mogła podejmować gości.

- Ciekawe, prawda? - powiedziała Lena. - Dziwne zachowanie jak na kogoś, kto jest w rozpacz po zaginięciu córki.

- I ja tak myślę. Pani Garde nie do końca powiedziała mi prawdę. Pora zadać jej więcej pytań. - Werens nacisnął dzwonek przy drzwiach.

Dyskotekowa muzyka w dalszym ciągu dudniła. Najwyraźniej Cecylia i jej goście nie słyszeli dzwonka. Paweł nacisnął go ponownie i jeszcze raz. Dopiero teraz muzyka nieco ucichła za drzwiami usłyszeli kroki zbliżające się do nich. Ktoś przekręcił klucz w zamku stanął młody mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy.

- Słucham państwa - powiedział z wyraźnym akcentem. Chyba francuskim.

- Przepraszamy, że zakłócamy święteczny spokój, ale musimy porozmawiać z panią Cecylią - powiedział uprzejmie Paweł.

Azjata nie bardzo rozumiał, o co chodzi, bo dodał:

- Jeżeli jest za głośno, to my zaraz zrobimy ciszej.

- Najwyraźniej wziął ich za sąsiadów, którym przeszkadza hałas.

- My nie w tej sprawie. Chcemy zamienić kilka zdań z panią Garde.

- Z kim? - przypatrywał się im uważnie. A po chwili dołączyły do niego kolejne ciekawskie osoby. Ci nie wyglądali na Azjatów, ale porozumiewali się między sobą po francusku.

- Z panią Cecylią Garde.

- Przykro mi, ale tu nikt taki nie mieszka.

- Jak to? - Werens postawił nogę w progu.

- To mieszkanie zajmuję ja i moja żona. A to nasi goście.

- Ale przecież...

- Wszystkie papiery są OK. Mamy umowę najmu z agencją.

Paweł był zupełnie zdezorientowany. Lena patrzyła na niego z niecierpliwością. Jej wyraz twarzy zdawał się mówić: No tak, pomyliłeś piętra. Ale Werens był pewien, że niczego nie pomylił. Dobrze zapamiętał te drzwi. Teraz, ku pełnemu zaskoczeniu ludzi wewnątrz, wszedł do mieszkania, odsunął ich na boki i ruszył do salonu. Nie zważał na krzyki i oglądał kolejne pokoje.

- To niemożliwe - powtarzał - to niemożliwe!

Mieszkanie było nie do poznania! Inne meble, na podłodze dywany. Przypomniał sobie o pokoju Klaudii. Gdzież on się znajdował? Wreszcie go odnalazł. Nacisnął klamkę. Pokój był zupełnie pusty!

- Co tu się dzieje?! - wrzasnął do Azjaty. - Gdzie się podziały zdjęcia ze ściany?

- Jakże znowu zdjęcia?

- Montalto.

- Kogo?

- Nieważne. Niech mi pan, do cholery jasnej, powie, co tu się stało? Gdzie jest gospodyni?

- Moja żona stoi za mną. A teraz to niech pan mi powie, dlaczego wdarł się do naszego mieszkania?! Policja jest już w drodze.

Na hasło „policja” Werens oprzytomniał. Rzeczywiście, co on wyprawia? Wdarł się do tego mieszkania w świąteczny dzień, krąży po pokojach, zostawiając za sobą kałuże stopionego śniegu. Należało się wytłumaczyć. Stał teraz przed mężczyzną, który mu otworzył i wolno powiedział:

- Dwunastego grudnia zadzwoniła do mnie Cecylia Garde i zaprosiła do siebie na rozmowę. Spotkaliśmy się w tym mieszkaniu piętnastego. Dobrze pamiętam, to był piątek. Teraz pan mi mówi, że to niemożliwe. Gdzie jest Cecylia Garde? Proszę mi odpowiedzieć? O jakiej agencji pan mówi?

- Piętnastego? - Azjata liczył coś w myślach.

- To by się zgadzało. Mieszkanie było wolne od poniedziałku, czyli od osiemnastego. Wtedy żeśmy się tu wprowadzili. Pracujemy na kontrakcie w Michelin. Jesteśmy obywatelami

Francji. Firma na czas kontraktu nas tu... Jak to będzie po polsku?... Ulokowała.

- To nie znacie państwo Cecylii Garde?

-Nie.

- A czy możemy dostać numer telefonu tej agencji nieruchomości?

- Nicole - powiedział Azjata - podaj panu numer tego agenta. A, i odwołaj policję.

Adam Dera uważnie oglądał wnętrze tunelu, w którym się znalazł.

-W co ja się pakuję? - mruzczał pod nosem, brnąc po kostki w brudnej wodzie. Na szczęście miał dobre, wodoszczelne buty, które chroniły go przed breją, na którą składały się jakiegoś niewiadomego składu i pochodzenia odpady. O ile buty chroniły przed płynną trucizną, o tyle smrodu, jaki się unosił w tunelu, nie dało się wyeliminować. Kwaśny odór wdzierał się w nozdrza, wyciskał z oczu łzy. - W co ja się pakuję? - powtarzał po raz kolejny. - Może jeszcze zawrócić?

W pewnej chwili przypomniał sobie słowa Leny, która dzień wcześniej, w barze, opowiadała im o znaczeniu tych terenów dla Hitlera. Kwatera główna w Wilczym Szańcu była połączona siecią linii kolejowych z mniejszymi kwaterami, które niczym pajęczyna oplatały całe Mazury. Te obiekty pomocnicze pobudowano w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Dowódcy poszczególnych ugrupowań przebywali tu bardzo często. I tak Canaris ze swoją Abwehrą stacjonował w Mikołajkach. Bunkry „Hochwald” zajmował Heinrich Himmler. W Giżycku zbudowano „Emmę”. Była to placówka wywiadu „Obce Armie Wschód”, którą kierował Reinhard Gehlen. Zaś w lesie niedaleko Węgorzewa była siedziba Hansa Lammersa - szefa Kancelarii Rzeszy. Nadano jej kryptonim „Wendula”, w pobliskich Mamerkach powstała kwatera o nazwie „Anna”. Tam mieściło się Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych. Pałac w Sztynorcie należał do ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa. Kwatera

„Robinson” obsługiwała Naczelne Dowództwo Wojsk Lotniczych. W Puszczy Piskiej ulokowano „Breitenheide” dla Hermanna Goeringa.

Dera wzdrygnął się. Jakież niezwykle skupienie zła! Na kilkudziesięciu kilometrach kwadratowych zamieszkali najbardziej okrutni zbrodniarze nowej ery. Ukryci za setkami ton betonu i stali kierowali - rozpiętą na niespotykaną dotychczas w dziejach świata skalę - falą nienawiści i terroru. Gdyby narysować mapę Ziemi z tamtych czasów i zaznaczyć kolorami siedziby zła, nie byłoby czarniejszego punktu na globie! I gdzieś pomiędzy tymi ponurymi kwaterami znajdowała się niewielka piramida w Rapie. Miejsce mocy. Czy to możliwe, aby Hitler ze swoją świtą odwiedzał jej wnętrze? Szukał mocy i energii?

Jeżeli tak było, to znając jego lęk przed zamachem, musiałby się jakoś zabezpieczyć. Jego ochrona nie pozwoliłaby na wejście do budowli, z której nie ma awaryjnego wyjścia. A skoro w piramidzie nie ma innych drzwi, wniosek nasuwa się prosty. Gdzieś musiało być przejście podziemne. Dera otarł pot z czoła. Pomimo zimna na zewnątrz, w tunelu było całkiem ciepło. A może to podniecenie i adrenalina powodowały, że się pocił? Bo oto odkrył tajne przejście, które najwyraźniej znali również inni. I musieli z niego korzystać ostatnimi czasy. Dowód w postaci martwego Szuberta bez głowy był aż nadto przekonujący. Bo to musiał być Szubert, tak mówiła Derze intuicja. Jak daleko może być do piramidy? Szedł krok po kroku, a właściwie sunął w brei. Zapomniał już o paskudnym fetorze. Perspektywa odnalezienia wejścia do budowli skutecznie łagodziła niedogodności marszu. Policjant zerknął na zegarek. Oświetlił go latarką. Wskazówki pokazywały piątą trzydzieści. Czyżby szedł już kilka godzin? Czy to możliwe? Przecież droga, którą przyszedł na polanę, była zdecydowanie krótsza. Dziwne. Dera pierwszy raz od wejścia do tunelu poczuł niepokój. Czyżby zablądził? A może powinien się wycofać? Wrócić tu w towarzystwie innych policjantów? Ale przecież zaszedł tak daleko. Może za kilka metrów pojawią się schody i wyjdzie we wnętrzu piramidy? Szedł zatem dalej. Po kolejnej

godzinie zrozumiał, że coś jest nie tak. Tunel wcale nie był prosty. Nieznacznie skręcał w prawo. Dera pomyślał, że oto zatacza jakieś wielkie koło. Czyżby po drodze przegapił wejście? Ale w którym miejscu? Był coraz bardziej zmęczony. Nie mógł nigdzie usiąść, bo po łydki stał w brudnej cieczy. Aspiranta Derę ogarniał coraz większy lęk.

Paweł Werens chwycił za telefon. Pośrednik z agencji nieruchomości „Złoty Klucz” nazywał się Rogalski. Jego głos zdradzał, że od kilku godzin musiał biesiadować. Bełkotał niezrozumiale i kichał. Zanim Werens zdążył wytłumaczyć, o co mu chodzi, upłynął kwadrans. Jego rozmówca najwyraźniej był przekonany, że Werens chce wynająć mieszkanie. Na dodatek to już najmowane przez Francuzów. Twierdził autorytatywnie, że to chwilowo niemożliwe. Ale ma inne propozycje. Pomimo okresu świątecznego chęć zarobku brała w nim górę nad spokojem domowego ogniska. Wreszcie udało im się porozumieć. Paweł po raz kolejny wyjaśnił, że niczego nie będzie wynajmował. Za to na poczekaniu wymyślił historyjkę o przyjacielu pracowników Michelina, którzy odkryli niewielkie zniszczenia w łazience i chcą obciążyć nimi poprzednią najemczynię. Siedzi u nich przy stole i wysłuchuje narzekań. Czy agencja może sobie pozwolić na utratę dobrej opinii na rynku? Rogalski stanowczo zaprzeczał, jakoby łazienka była uszkodzona. Według niego była w doskonałym stanie, kiedy oddawał klucze młodemu mężczyźnie. Werens nadstawił uszu. Wreszcie coś mieli.

- Klucze odebrał mężczyzna? - zapytał zaskoczony.

- Oczywiście. Dobrze pamiętam. Młody facet. Jakieś dwadzieścia pięć, sześć lat.

- Jest pan pewien, że nie kobieta?

- Jeżeli to była kobieta, to ja byłem pijany!

To bardzo prawdopodobne, pomyślał Werens. Ale nie powiedział tego głośno.

Tamten oburzony wydusił:

- Jasne, że nie kobieta. Już sprawdzam w papierach. O, jest!

Nazywał się... Nazywał... Zaraz... Nazywał się Eryk Bunda!

O ósmej rano aspirant Dera miał wszystkiego serdecznie dosyć. Brakowało mu sił na dalszą wędrówkę wewnątrz mrocznego tunelu. Zdawało mu się, że przeszedł niezliczoną ilość kilometrów. Wiedział jednak, że człowiek zwykle pokonuje ich w ciągu godziny raptem cztery. On ze względu na grząskość terenu, w jakim się poruszał, musiał iść dużo wolniej. Szybko policzył. Około północy znalazł się w lesie. Dobrą godzinę krążył między drzewami, potem znalazł wejście do ziemianki. A zatem jest pod ziemią już siedem godzin. Znaczyło to, że przeszedł jakieś dwadzieścia kilometrów. Może i nieco więcej. A jeżeli cały czas szedł w stronę odwrotną do piramidy? To gdzie on teraz jest?! Mógł być wszędzie. Dera zaczynał popadać w panikę. Kto go tu odnajdzie? Umrze w tym smrodliwym kanale. Sam wybrał sobie taki paskudny grobowiec. Roztrzęsionymi rękoma sięgnął po telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Było tak jak podejrzewał. Aparat nie miał zasięgu. Policjant oparł się o ścianę i ciężko dyszał. Pomimo zmęczenia próbował zebrać myśli. Lena opowiadała im o „Robinsonie”, czyli kwaterze Dowództwa Wojsk Lotniczych. Ta była najbliżej Rapy, znajdowała się na północ od Gołdapi. Zbudowano ją w miejscu ośrodka badawczego Luftwaffe. To tam przebywał często Goering, który przyjeżdżał pociągiem sztabowym. W lesie pozostały resztki wyrzutni. Czyżby znalazł się w tunelu łączącym kwaterę z innymi obiektami? To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Do pozostałych kwater było zbyt daleko. Mówiąc inaczej, Dera nie wszedł do tunelu łączącego ziemiankę z piramidą, ale natrafił na jakiś inny tunel z czasów wojny. A ziemianka? To przecież proste, przez lata służyła za wytwórnię bimbru. Dlatego była tak dobrze zamaskowana. Doświadczony policjant znalazł się w pułapce. W zapomnianym przez ludzi i historię odcinku z gnijącą wodą i czymś jeszcze, co towarzyszyło mu od początku drogi. Cóż to mogło być? Zarówno za, jak i przed sobą słyszał jakieś dźwięki. Pluskanie, drapanie, czasem pisk. Nagle przeszedł go dreszcz. Uważnie

rozejrzał się dookoła. Światło latarki było coraz słabsze. Dawało niewielki blask, szybko znikający w czerni ceglanego walca. Mimo to Dera dostrzegł tych, którzy śledzili go od kilku godzin. W ponurej ciemności nasączonej wilgocią błyskały złowrogo szczurze ślepia.

Dochodziła godzina dziewiąta, kiedy Andrzej Górski zasiadł za kierownicą pięcioletniej skody favorit i wyruszył w kierunku Rapy. Na śliskim śniegu jego auto zataczało się od jednej krawędzi drogi do drugiej. Nie tylko trudna nawierzchnia wpływała na takie zachowanie pojazdu. Andrzej Górski był mocno wstawiony. Właśnie odszedł od świątecznego stołu. Pił z kuzynem całą noc, do świtu. Przespał się trzy godziny, a teraz postanowił zrobić sobie przejażdżkę do miejsca, o którym krewny opowiadał mu z wypiekami na twarzy. Górski postanowił obejrzeć piramidę wraz z jej zawartością. Poruszyła go nocna opowieść o trumnach, z których wystają zmumifikowane zwłoki ludzkie pozbawione głów. A że kuzyn zamroczony alkoholem pochrapywał w najlepsze i próby namówienia go na wycieczkę spełzyły na niczym, Górski pojechał sam. Tyle tylko, że po przejechaniu pięciu kilometrów jego również ogarniała senność. Kierowca przysypiał. Rozcierał opadające powieki i z nosem przy szybie parł naprzód. Tuż przed samym celem podróży jego głowa opadła na kierownicę. Poczł nagle uderzenie. To go obudził i nieco otrzeźwiło. Wytoczył się z samochodu i z niedowierzaniem pokręcił głową. Jego śliczna skoda uderzyła w bok starego rumuńskiego ARO 10. Górski nie mógł pojąć, jak to się stało. Na pustej drodze uderzył w jedyny stojący na poboczu samochód! Cóż za pech! Trudno, winę weźmie na siebie. Obejrzał auto, nie dopatrywał się większych uszkodzeń. Ot, zbite prawe światło kierunkowskazu. Zbliżył się do drugiego samochodu. Zajrzał do środka i w tej samej chwili poczuł niepokój. Stary grat należał do miejscowej policji. A to oznaczało dla Górskiego spore kłopoty. W pierwszej chwili chciał uciekać. Nie dostrzegł jednak żadnego z policjantów. Może go nie widzieli? Ale krążący w żyłach mocny alkohol i fantazja Górskiego podsunęły mu inne rozwiązanie. Andrzej wszedł do otwartego ARO. Kluczyki tkwiły w stacyjce,

poruszone rękawem kurtki mężczyzny lekko się kołysały. Uruchomił silnik. Zwolnił hamulec i skręcił koła w stronę dwu torów polnej drogi wytyczonych w śniegu. Wolno przejechał jakieś dwieście metrów w las. Tam pozostawił samochód w krzakach. Wrócił pieszo do skody. Rozejrzał się nieco trzeźwiejszym wzrokiem po okolicy. Nikogo nie dostrzegł. Był uratowany! Zawrócił samochód i skierował go do domu kuzyna. Dochodziła jedenasta, a zatem rodzina wracała do świątecznego stołu. Andrzej Górski miał ochotę na kielicha albo lepiej od razu dwa.

Werens nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Na wyświetlaczu jego telefonu pojawiło się nazwisko Cecylii Garde. Długo wpatrywał się w ciąg liter. Na tyle długo, że telefon zamilkł. Po chwili zabrzączał ponownie.

- Słucham? - rzucił oschle. - Czego pani ode mnie chce? Już raz mnie pani oszukała. Po co ta maskarada z wynajętym mieszkaniem?

Zaległo milczenie, jakby rozmówczynie Werensa chciała jak najstaranniej dobrać słowa. Wreszcie powiedziała:

- Panie Pawle. To nie jest rozmowa na telefon. Błagam pana, proszę mi zaufać jeszcze ten jeden raz! Nie mogę długo rozmawiać. Obawiam się, że jestem śledzona! Błagam pana...!

Werens nie wiedział, co ma odpowiedzieć tej kobiecie. Po tym, co zrobiła, miał prawo jej nie ufać. Dlaczego urządziła tę maskaradę z mieszkaniem przy Ratuszu? Kto wie, co szykuje tym razem? Z drugiej zaś strony, po co by dzwoniła? To wszystko nie miało sensu albo miało ów sens, ale gdzieś głęboko ukryty. Co powinien zrobić? Wycofać się z tej sprawy? Tylko co wtedy stanie się z Klaudią? Po tym, jak skończył Montalto, jedno było pewne - ludzie, którzy zamordowali go w tak bestialski sposób, nie cofną się przed niczym. Jeżeli to oni porwali wnuczkę generała? Czy dziewczyna żyje? Ile musiała przejść. Szalony dziadek, który wyprał jej mózg. Pobyt w szpitalu dla nerwowo chorych. Izolowanie się od świata w czterech ścianach mieszkania. Samobójstwo chłopaka. Tu Werensowi nasunęło się kolejne pytanie. Był zdziwiony, że nie zadał go Cecylii już przy pierwszym spotkaniu. Kim jest ojciec

Klaudii i gdzie przebywa? Jeżeli oczywiście żyje, bo to w przypadku tej rodziny nie było takie oczywiste. Milczenie przedłużało się w nieskończoność. Wreszcie tonem, który wskazywał na wielką niechęć, Werens wycedził:

- Za godzinę w kawiarni „Staromiejska”. Spod ratusza ma pani pięć minut drogi. Ale, pani przecież mnie okłamała, wcale tam nie mieszka. Tak czy inaczej, za godzinę w umówionym miejscu. Proszę dobrze się zastanowić nad tym, co chce mi pani powiedzieć. Dobrze pani radzę.

- Bardzo panu dziękuję! - wykrzyknęła do słuchawki Cecylia.
- Będę na pewno!

Adam Dera nie miał już zupełnie siły. Przykucnął w brei i czuł, jak uda i pośladki przesiakają cuchnącą wodą. Głodne szczury krążyły coraz bliżej. Stawały się coraz bardziej natarczywe. Podpływały do policjanta i włochatymi pyszczkami dotykały jego cuchnących spodni. Odganiał je latarką, która dawała nikły snop światła. Za godzinę zgaśnie zupełnie, pomyślał. Dera resztkami sił wyprostował ciało. - Nie mogę się poddać! - rzucił w ciemności. Jakby chciał tymi słowami odpędzić szczury. Te zupełnie zignorowały jego krzyk. Oczekały, aż ruszy przed siebie i całym stadem przemieszczały się za nim. Policjant słabł z każdym krokiem. Postanowił myśleć o czymś innym. Przed oczyma stanął mu obraz żony, z którą idzie na pierwszą randkę do kina „Polonia”. Jakiż on był wówczas zdenerwowany. Siedział w ciemności obok ukochanej, nad głową mieli piękny, potężny kryształowy żyrandol. Filmu zupełnie nie pamiętał. Za to teraz przypomniał sobie, że przez cały seans zastanawiał się, co by się stało, gdyby te tysiące kryształów runęły w dół? W jaki sposób by ratował ukochaną? Dera uśmiechnął się, bo chyba nawet zaproponował przyszłej żonie, aby usiedli bliżej wyjścia. Jak ona wtedy na niego spojrzała! Tym spojrzeniem raczyła go czasem. Działo się to w chwilach, kiedy nie bardzo rozumiała, jaki sens mają jego propozycje. Tak też spojrzała na niego, kiedy oznajmił, że przenoszą się na wieś. Po co poszedł do mediów z informacjami

o machlojkach szefa? Siedziałby sobie wygodnie w komendzie, prowadził śledztwa. Nie komplikował życia żonie i córce. I tak dotrwałby do emerytury. Jakiż żalorny koniec! W tejsze chwili wyrzucił z gardła przekleństwo. Raz, że był wściekły na swój brak wyobraźni, dwa, że właśnie wypadła mu z dłoni latarka i zniknęła w śmierdzącej wodzie, która sięgała w tym miejscu po uda. Rozpaczliwie rzucił się, by ją odzyskać, lecz szybko zrezygnował z walki. Cuchnąca maź i zwierzęce ekskrementy pokryły mu twarz. Plując i krztusząc się, wycierał mokrym rękawem oczy i policzki. W pewnej chwili zwymiotował. Miał dosyć. W zupełnych ciemnościach, opierając się o ścianę, krok po kroku szedł dalej. Widział tylko szczurze ślepia, w których dostrzegł już nie nadzieję na łup, ale okrutną pewność. Oto za kilka godzin zamieni się w pokarm dla tych bestii. Wygryzą mu oczy i nos. Przez usta wejdą do wnętrza. Ostroymi zębami potną na kawałki jego jeszcze ciepłe jelita. Będą ssać krew. Walczyć między sobą o żyły i ścięgna. A kiedy ktoś kiedyś go odnajdzie, ustali tożsamość jedynie po ślubnej obrączce, której te potwory nie przegryzą. - Precz! - wyszeptał. - Precz ode mnie!

W tej samej chwili przewrócił się ponownie. Pomyślał, że o coś zaczepił. Podniósł się i czubem buta ostukał nierówność. Stopień! Natrafił na jakiś stopień! Jego serce zaczęło bić nadzieją. Wykonał kolejny krok. Wyczuł drugi stopień. Zrobił krok do przodu. Odkrył, że woda sięgająca ud teraz dochodziła ledwo do kolan. Po następnym metrze do łydek. Nie widział tego, lecz czuł po ciężarze wody otaczającej go zewsząd. Czuł, jak gwałtownie wzrasta mu tętno. A w następnej chwili gdzieś od góry poczuł powiew mroźnego powietrza. Spojrzał za siebie. Szczurze ślepia, dotychczas tak zadowolone, teraz posmutniały. Dera nabrał nowych sił. Pogroził im pięściami. Chociaż ciągle był pod ziemią, wiedział, że jest ocalony. Do mroźnego powietrza doszły delikatne promienie słońca. Oślepiło go na chwilę. Mrużąc oczy, stopień po stopniu parł do góry. Natrafił na żelazny właz. Ze szpar po bokach wpadało upragnione światło. Napał barkiem na pokrywę. Miał szczęście. Nie była połączona z ramą zasuwą czy kłódką. Okrywała ją jedynie warstwa zmrożonego śniegu. Napał ponownie. W tym

momencie jakiś wygłodzony szczur, najwyraźniej świadomy, że to ostania chwila na atak, wczepił mu się w łydkę. Dera zawył dziko i wierzgnął nogą. Napastnik z wielką siłą uderzył o ceglana ścianę. Kłapa wreszcie powędrowała na bok. Dera pokonał ostatnie cztery stopnie i wyszedł na zewnątrz. Był wolny! Nie dał się! Walczył do końca. Wzrok wolno przyzwyczajał się do dziennego, ostrego światła. Osłonił dłonią oczy i rozejrzał się dookoła. Jego radość nagle zgasła.

Wszędzie, z każdej strony, było łyse pole pokryte grubą warstwą śniegu. Dera przetarł twarz tym śniegiem. Dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, w jakim jest stanie. Przemoknięty, w porwanej kurtce, bez nakrycia głowy. W butach rozpadających się od wielogodzinnego marszu w kwaśnej brei. Z nogawki wypływała mu strużka krwi. Jak nic wdało się zakażenie. Nie wiedział, gdzie się znajduje. W którą stronę ma ruszyć? Poczul przenikliwe zimno. Siły, które na chwilę odzyskał, nagle gdzieś stopniały. W przeciwieństwie do śnieżnej czapy kryjącej ziemię. Dera postanowił ruszyć na zachód. W kierunku szybko zachodzącego słońca. Wiedział, że jeżeli nie znajdzie szybko ludzkich osad, umrze. - Lepsze to niż szczury - zdobył się na czarny dowcip. - Kruki zamienią gryzonie. - Zadarł głowę w niebo, po którym kołowały stada czarnego ptactwa. Mróz narastał. Policjant krok po kroku szedł w stronę plamy lasu na widnokręgu. Po kilometrze miał pierwsze odmrożenia. Mokre ubranie błyskawicznie zamarzało. Stawało się sztywną tekturą. Dera wiedział, że trzydzieści procent ciepła wypływa z organizmu przez głowę. Musiał ją zatem chronić. Zdjął porwaną kurtkę i sweter. Założył kurtkę ponownie, a swetrem owinął głowę. Tym samym, który otrzymał na Wigilię od żony i córki. Postanowił, że zrobi wszystko, aby je ponownie zobaczyć. Z owiniętą głową było mu cieplej. Las był zupełnie blisko. Jakieś czterysta metrów. Słońce błyskawicznie zniknęło za drzewami. Nagle Dera usłyszał cichy dzwonek. Czyżby miał omamy? Tak się dzieje, kiedy człowiek zamarza? A może właśnie zasypia na zawsze? Potem dostrzegł parę koni. Za nimi sanie. Resztkami sił poszurał w ich kierunku. Uniósł ręce do góry. - Jestem tutaj! - wyszeptał i

poczuł, jak jego ciało osuwa się w zmrożony śnieg. Idę do nieba czy do piekła?, pomyślał i zamknął oczy.

Kelner w restauracji „Staromiejska” nie był szczególnie uprzejmy. Kto by był zadowolony z pracy w święta? Zamiast siedzieć przy stole z narzeczoną, musiał obsługiwać jakimś facetowi, który sprawiał wrażenie nieobecnego.

Werens patrzył na ściany restauracji. Przypomniał sobie, jak w letni dzień siedział przed tym budynkiem w towarzystwie starszej kobiety, którą godzinę później zamordowali ludzie Szuberta. Dlaczego na spotkanie z Cecylią Garde wybrał to samo miejsce? Nie potrafił sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Może należał do tego typu ludzi, którym rozgrzebywanie ran sprawia chorą przyjemność? Im dłużej trwała ta sprawa, tym mniej siebie znał. Bo dlaczego ciągnie to paskudne śledztwo? Od tego jest policja. Mają krew znalezionej na rękach Eryka. Trupa z piramidy w dwóch kawałkach. Zapewne znajdą jakichś świadków, którzy doprowadzą ich do zaginionej Klaudii. Po cóż mu to? Powinien teraz siedzieć przy ojcu. Tyle tylko, że to niemożliwe. Obowiązuje zakaz wstępu na oddział. Kiedy wczoraj dzwonił do ordynatora, usłyszał, że stan ojca pozostaje bez zmian. Trzeba czekać, powiedział lekarz smutnym, beznamiętnym tonem. Po cóż mu ta sprawa?, powtórzył w myślach.

O umówionej godzinie pojawiła się Cecylia Garde. Piękna i elegancka. Czy równie niebezpieczna jak pociągająca? Wstał na przywitanie, podał jej rękę i odsunął krzesło. Usiadła z wrodzonym wdziękiem i zamówiła kawę u kelnera, który pojawił się przy niej błyskawicznie. Werens poprosił o kieliszek wina. Kątem oka obserwował kobietę, kiedy chowała rękawiczki w torebce. W jej oczach dostrzegł zaniepokojenie. Czyżby rzeczywiście coś jej groziło? Postanowił od razu przejść do rzeczy. Rzucił zaczepnie:

- Gdzie teraz wynajmuje pani mieszkanie? Rozumiem, że gdzieś w mieście. Inaczej nie zdążyłaby pani w godzinę dotrzeć tutaj.

Cecylia odstawiła filiżankę z kawą, z uwagą wpatrywała się w Pawła. Uśmiechnęła się delikatnie i powiedziała:

- Jest pan bardzo złośliwy. Ale rozumiem to. Wiem, że moje zachowanie upoważnia pana do tego.

- Czego pani chce? Po co te spotkanie? - Ciągłe był szorstki, wręcz napastliwy.

- Kiedy już się pan uspokoi, odpowiem na każde z pańskich pytań.

Cecylia ponownie sięgnęła po filiżankę. Kawa musiała być bardzo smaczna. Jej aromat wypełnił część sali restauracyjnej. Werens przechylił kieliszek. Kiedy go opróżnił, poprosił kelnera o drugi.

- Nie za wcześnie na alkohol?

- Po to pani tu przyszła? Żeby pouczać mnie o szkodliwości picia alkoholu?

- Przepraszam. Proszę pić do woli. Ja za chwilę również się z panem napiję. Dobre te pańskie wino?

- Znakomite. Mogłem poprosić od razu o całą butelkę. Zaraz to zrobię. A kiedy ją wypiję, wyjdę stąd.

- Sugeruje pan, że czas, jaki to panu zajmie, należy do mnie.

- Dokładnie tak.

- A zatem zaczynam. Szkoda każdej minuty.

Kelner na polecenie Werensa przyniósł butelkę czerwonego ceuso i drugi kieliszek. Paweł nalał wina Cecylii i uzupełnił swój. Patrząc prosto w jej oczy, uważnie słuchał. Co tym razem wymyśli? Nie wierzył w ani jedno jej słowo.

- Rozumiem, że umowa obowiązuje?

- Co ma pani na myśli?

- Koniec butelki oznacza koniec rozmowy. Napełniając mój kieliszek, skrócił mi pan mój czas.

- Takie życie.

- Zatem dobrze. Bez zbędnych wstępów. To ja zabrałam Eryka do Rapy. Chciałam, aby mi pomógł odzyskać Klaudię.

-Widzę, że naprawdę chce pani tej rozmowy. Doceniam to.

-I nie kłamie?

- Nie. Maria Bunda, matka Eryka powiedziała, że tamtego dnia jakaś kobieta w czerwonym samochodzie przyjechała po

jej syna. To nie była Klaudia. To była pani.

- Mój ojciec... To on porwał Klaudię. Szukałam jej długo. Którejś nocy zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że jest uwięziona w jakiejś wiejskiej chałupie. Zapytałam ją o to miejsce. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Jedyne, co wskazała, to dziwaczną budowlę w lesie, która była w kształcie piramidy. Mijali ją, jadąc samochodem. Skąd w Polsce piramida?, pomyślałam. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że ją wywiózł za granicę. Ale potem udało jej się na chwilę połączyć ze mną ponownie. Skorzystała z nieuwagi ochroniarza. Opisała teren jako typowo polski.

Lasy, rzeka, jezioro. Zaczęłam wypytywać wszystkich o takie miejsca z dziwną budowlą. Eryk robił to samo. Któregoś dnia dowiedziałam się, że w Rapie stoi piramida. Wszystko pasowało, odległość, okolica, którą opisała Klaudia. Wyruszyliśmy z Erykiem najszybciej jak się dało.

- Dlaczego nie poszła pani z tym na policję?

- Z tego samego powodu, dla którego ukrywałam się w fałszywym mieszkaniu. Bałam się ludzi ojca. Pan ich zna. Od czasu porwania Klaudii ukrywałam się. Nawet teraz...

- A po co ten cyrk ze zdjęciami na ścianie?

- Żeby pana bardziej w tę sprawę zaangażować.

- To akurat się pani udało.

- A zdjęcia pochodzą z szuflady Klaudii. On ją opętał. Doprowadził na skraj szaleństwa. Kiedy się zbuntowała - porwał. Boję się o jej życie.

- Do tego nie potrzeba było wymyślać całego teatru.

- Być może. Szaleństwo ojca jest czasami zaraźliwe. Już nikomu nie ufam. Przenoszę się z miejsca na miejsce. To mieszkanie wynajął dla mnie Eryk. Tak było bezpieczniej. Czy nie brzmiałoby to podejrzanie, gdybym powiedziała panu, że je wynajmuję?

- Powiedzmy, że na razie ta opowieść ma sens. Co było dalej? Dlaczego Eryk popełnił samobójstwo? Czyją krew miał na rękach w chwili zatrzymania?

Cecylia przechyliła kieliszek. Kiedy wypięła, podsunęła pusty Pawłowi. Bez słowa nalał jej do pełna.

- Kierowałam, całą drogę rozmawialiśmy o tym, jak uwolnić moją córkę, kiedy ją odnajdziemy. Dotarliśmy do tej całej piramidy po dwóch godzinach jazdy. Zostawiliśmy samochód przy drodze. Odległość do piramidy pokonaliśmy pieszo. Na miejscu nie było nikogo. Nie wiem, skąd brała się nasza pewność, że moja córka właśnie tam przebywa? Przecież ona powiedziała, że tylko przejeżdżała obok tej budowli. Ale proszę nas zrozumieć. Każdy ślad był dla nas ważny. To Eryk odkrył zwłoki. Zajrzał przez kraty do wnętrza. Widziałam, jak robi się błądy. Ruszyłam w jego kierunku. Odciągał mnie siłą. Wyrwałam się mu i wtedy to zobaczyłam. Ludzkie ciało. Zwęglone. Nie do identyfikacji. Wpadłam w rozpacz. Byłam pewna, że to moja Klaudia. Zamordował ją i spalił. Nie wiem, co się potem działo. Chciałam wyrwać te kraty. Ale czym? Jak? Eryk był w jeszcze gorszym stanie. Padł na trawę i wył. Gdyby pan wtedy słyszał ten jego pełen rozpaczony krzyk! Ptaki zrywały się z drzew. To ja pomyślałam, żeby ruszyć do wsi po pomoc. Wsiadłam za kierownicę. Drogi nie pamiętam. Nagle pojawił się na drodze jakiś człowiek. Chyba go potrąciłam. Potem poczułam uderzenie, ból.

- To nie Eryk siedział za kierownicą? Teraz już wszystko rozumiem.

- Mam tę samą grupę krwi, co ojciec. O pomyłkę nietrudno. Najwidoczniej policja uznała, że to jego krew jest na ubraniu Eryka.

Cecylia patrzyła w oczy Werensa. W milczeniu podwinęła rękaw żakietu. Jej przedramię było owinięte bandażem. Zaczęła go rozwijać. Werens wyciągnął roztrzęsioną dłoń.

- Proszę przestać! Wierzę pani! - Zakrył dłońmi twarz.

- Eryk powiedział, że bym uciekała. Wziął to wszystko na siebie. Wy tłumaczył mi, że ojciec łatwo mnie odnajdzie, kiedy będę w rękach policji.

- To straszne, ale miał rację. Pani ojciec miał wiele kontaktów - powiedział Werens i spojrzął na nią ze współczuciem. - Eryk nie wiedział, że w piramidzie znalazł zwłoki prześladowcy. Gdyby wtedy znał prawdę...

- Śmierć Eryka to moja wielka tragedia. Powinam była

zostać na miejscu wypadku, Eryk nie trafiłby do aresztu. Żyłby dzisiaj. Śmierć Klaudii załamała go. Odebrał sobie życie.

- Ale Klaudia żyje.

- Wtedy był przekonany, że jest inaczej. Widział na własne oczy zwęglone ciało.

Werens nie wiedział, co ma powiedzieć. Nieśluszenie podejrzewał tę nieszczęśliwą kobietę. Całe życie prześladował ją despotyczny ojciec. Czowała się współwinna samobójczej śmierci chłopaka swojej córki. I gdzie teraz ta jej córka przebywała? Werensowi przychodziły do głowy najczarniejsze scenariusze. Montalto mógł ją przetrzymywać wszędzie. Teraz, kiedy nie żył, była sama ze swoją rozpaczą. Kto wie, czy nie siedzi związana w jakiejś piwnicy, bez wody i żywności. Jej czas kończył się dużo szybciej niż stojąca przed Werensem butelka wina. Czuł, jak płoną mu policzki, kiedy pomyślał, w jaki sposób przywitał się z tą kobietą. Odstawił kieliszek i powiedział:

- Jak mogę pani pomóc?

Oczy Cecylii na moment rozbłysły. Z torebki wyciągnęła niewielką karteczkę. Podsunęła ją Werensowi. Zerknął na kremowy, elegancki papier. Znajdowało się na nim jedno nazwisko.

- Ten człowiek to bliski współpracownik mojego ojca. Może być zamieszany w jej porwanie. Znalazłam jego nazwisko w rzeczach córki, kiedy jeszcze była zafascynowana dziadkiem.

Werens wziął w palce kartkę. Oglądał ją w skupieniu. Wreszcie głośno odczytał:

- Wiktor Musz.

Schował karteczkę do portfela. Cecylia patrzyła z uwagą na jego ruchy. Jakby bała się, że nazwisko współpracownika ojca zawieruszy się wśród kilkunastu wizytówek, jakie dostrzegła w przegródkach ładnego, skórzanego portfela. Wstali prawie równocześnie. Podali sobie dłonie. Palce kobiety były bardzo zimne. Jakby chłód, który wypełnił jej duszę, rozlał się i na ciało. Wyszła, zostawiając go samego. Pomyślał, że zapomniał zadać jej kilku pytań. Chciał wybiec za nią, ale po namyśle zrezygnował. Zapłacił za wino, którego aksamitny smak z nutą kawową czuł na języku jeszcze podczas drogi do domu. Idąc

zaśnieżonymi ulicami, szukał odpowiedzi na trzy podstawowe pytania. Pierwsze było następujące: Gdzie jest teraz Klaudia? Drugie: Czy to Wiktor Musz na zlecenie Szuberta ją porwał? Trzecie zaś nasuwało się od początku całej tej sprawy. Kto z kolei zabił Szuberta? Werens czuł, że znalezienie mordercy może doprowadzić go do Klaudii.

Po wyjściu Werensa na spotkanie z Cecylią Garde Lena została sama w jego mieszkaniu. Co prawda był jeszcze Kort, ale pies nie był zainteresowany bliższymi kontaktami. Ożywił się tylko w chwili, gdy Lena ruszała do kuchni. Liczył wówczas na jakiś smaczny kąsek i rażno maszerował za nogami kobiety. Lena robiła sobie kolejną herbatę i wracała na kanapę. Okryta kocem bezmyślnie przerzucała pilotem kanały telewizyjne. Były święta, a zatem repertuar w tym czasie nie należał do szczególnie ciekawych. Pomimo obiecujących cuda zapowiedzi ulizanych i szczerzących zęby prezenterów pokazywano ciągle te same filmy rodzinne, głupawe komedijki, modnych kabareciarzy i grupy śpiewacze prezentujące nieśmiertelne kolędy. Lena była znużona. Paweł nie wracał. Powoli zaczęła się o niego niepokoić. Sprawa z fałszywym mieszkaniem była wielce podejrzana. Po co ta cała maskarada? Może Lena powinna była mu towarzyszyć? Z drugiej strony wiedziała, dokąd się udał.

Umówili się, że gdyby nie wrócił w ciągu trzech godzin może powiadomić policję. Prawdę powiedziawszy, na nic by się to zdało. Kto podejmuje interwencję po tak krótkim czasie, a do tego w święta? Lena wstała z kanapy i ruszyła do gabinetu Pawła. Na stole stał laptop. Postanowiła poczytać bożonarodzeniowe serwisy informacyjne. Włączyła komputer. Z kuchni przyniosła kolejny kubek herbaty i okryta kocem, z okularami na nosie przeglądała internetowe wydania gazet. Po półgodzinie wiedziała już, jak święta spędzają inni ludzie. Zajrzała też na stronę Wydziału Teologii. Ciągle jeszcze figurowała wśród pracowników. Niby dlaczego z dnia na dzień miałyby przestać? Oficjalnie nikt jej nie zwolnił, bo nie miał takiego prawa. Lecz Lena wiedziała, że wszystko odbędzie się

inaczej, w białych rękawiczkach. Powoli. Najpierw będą drobne docinki, uwagi, rzekome skargi studentów, współpracowników, pojawi się negatywna ocena pracy, dalej nagana do akt. Proces habilitacyjny z jakiegoś powodu się spowolni. Lena Lipska przestanie dobrze rokować, umowa o pracę nie zostanie z nią przedłużona. I tak, by ratować karierę, za jakiś czas odejdzie sama. Wróciła na stronę Wirtualnej Polski i zalogowała się. Po chwili ściągnęła pocztę elektroniczną. Wśród życzeń świątecznych, ofert reklamowych i sterty śmieci znajdował się mejl, który przyprawił ją o żywsze bicie serca. Nadawcą był niejaki „Phil”. List zatytułował „córka”. Lena otworzyła wiadomość. Wolno przeczytała jej treść:

„Leno, ach Leno. Zła i okrutna. Tak Ciebie kochamy, a ty przed nami uciekasz. Gdzie jesteś? A może chcesz wiedzieć, gdzie jesteśmy my? Jeśli tak, to napisz do nas”. Lena zamknęła oczy, z których popłynęły łzy. Moje dziecko, moje dziecko!, powtarzała w myślach. Czyżby przywiózł ją do kraju? Czy są gdzieś blisko? Moja Ewa! Moja kochana Ewa! Lena zdjęła okulary i wytarła łzy rękawem. Nałożyła okulary ponownie i odpisała: „Aleksandrze, wiem, że to Ty napisałeś ten list. Błagam Cię, oddaj mi dziecko! Wiem, że chcesz mnie ukarać. Nie rób tego w ten sposób. Nie krzywdź Ewy! Zrobię wszystko, co chcesz, tylko pozwól mi ją zobaczyć!”.

Nacisnęła klawisz. Uruchomiła opcję „Wyślij”. Potem okryła się szczelnie kocem, łącznie z głową i tępo wpatrywała w migotliwy ekran komputera. Po dziesięciu minutach drgnęła. Odpowiedź nadchodziła. Błyskawicznie ją otworzyła i głośno odczytała treść: „Za godzinę na Przystani Kortowskiej”. Lena zerwała się na równe nogi. Pobiegła do łazienki, wzięła szybki prysznic. Naga wybiegła do salonu. Odnalazła swoją torbę. Wybrała bieliznę, sztruksowe spodnie i śliczny kaszmirowy golf. Chciała wyglądać pięknie w chwili spotkania z córką. Musiała być dla niej ładna! Po kwadransie, w czasie którego zrobiła błyskawiczny makijaż i ułożyła włosy, wybiegła z domu. Na dole czekała zamówiona wcześniej taksówka. Poprosiła o

kurs do miasteczka studenckiego. Taksówkarz należał do tych uwielbiających rozmowy z pasażerami. Zasypywał ją opowieściami o niezwykłych pasażerach, których dane mu było wozić. Lena zorientowała się, że ich niezwykłość polegała głównie na roztrzepaniu, zapominalstwie i zwykłej głupocie. Słuchała kierowcy machinalnie potakując głową. W istocie jej umysł w całości zaprzątnięty był wizją ujrzenia po latach kochanej istoty. Nie myślała o konsekwencjach tego spotkania. Czekala na nie tyle lat! To najcudowniejszy prezent świąteczny, jaki w życiu mogła otrzymać! Wjechali na teren miasteczka studenckiego. Kortowo to unikatowy na skalę europejską kampus. Ulokowany na skraju miasta, stanowi siedzibę uniwersytetu. Posiada niezależną od miasta infrastrukturę. Z budynkami dydaktycznymi, akademikami, sklepami, restauracjami, kinem, basenem, stadionem, halą sportową, radiem, telewizją, prasą, stadniną koni, a nawet własną strażą uniwersytecką. Przy tym jest malowniczo położony nad jeziorem otoczonym lasem. To nad tym jeziorem Lena miała się spotkać z Aleksandrem i córką. Na miejscu była kwadrans przed czasem. W pobliskiej restauracji odbywała się jakaś prywatna uroczystość. Lena ruszyła w kierunku pomostu. Minęła brzeg z ustawionymi obok siebie rowerami wodnymi i kajakami. Na wodzie stały niewielkie jachty unieruchomione taflą lodu, która szczelnie je otaczała. Drewniany pomost pokryty był ubitym śniegiem. Serce Leny mocniej zabiło, kiedy dostrzegła na końcu pomostu dwoje ludzi. Ale po bliższej obserwacji okazali się parą zakochanych nastolatków. Lena pomyślała, że pragnienie zobaczenia ukochanej córeczki wyczynia z jej wzrokiem co chce. Jak mogła pomylić tego chłopca z Aleksandrem?! Jej były mąż był mężczyzną wysokim, barczystym. Kiedyś jej się to podobało. Jakaż była naiwna! Widziała ładne opakowanie, nie interesowała ją zawartość, w której siedział diabeł. Czas mijał. Lena rozglądała się dookoła. Prócz zakochanej pary i mężczyzny, który wyszedł na papierosa z sali restauracyjnej, na zasypanej śniegiem plaży nie było nikogo. Po raz kolejny zerknęła na zegarek. Umówiona godzina właśnie minęła. Powoli w myśli nieszczęśliwej kobiety zaczęło

wdzierać się zwątpienie. Znowu mnie oszukał! Tu nie ma Ewy. Zadrwił ze mnie. Niech będzie przeklęty! Mężczyzna z papierosem obserwował ją z uwagą. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Nagle zdało jej się, że kogoś jej przypomina. Czyżby to był on? Aleksander? Aż tak bardzo się zmienił? Wszystko jest możliwe. Minęło tyle lat! Ruszyła w jego kierunku, biegła. Ale im bliżej była tego człowieka, tym większe ogarniało ją zwątpienie. To nie był Aleksander. Mężczyzna z papierosem był od tamtego znacznie młodszy, nieco wyższy. Patrzył na nią zdumiony. Nie wiedział, dlaczego ta ładna kobieta zaczęła biec w jego kierunku, a teraz nagle stanęła w pół drogi. Wyrzucił papierosa i z uśmiechem skierował kroki w jej stronę. Postanowił nawiązać znajomość. Nagle stało się coś, co go zupełnie zaskoczyło. Kobieta rozłożyła ramiona i z uśmiechem na ustach biegła ku niemu. Tyle tylko, że wyminęła go niewielkim łukiem i pędziła dalej. Obejrzał się za nią. Podbiegła do ładnej dziewczynki i stojącego za nią mężczyzny.

Aleksander położył dłonie okryte skózanymi rękawiczkami na ramionach Ewy. Stał za jej plecami. Ciągłe był przystojny. Przez minione lata rysy jego twarzy nabrały ostrości i jakiejś trudnej do określenia szlachetności. Paradoks, pomyślała Lena. Złoczyńca wzbudzający zaufanie i zainteresowanie niejednej kobiety. Zapewne przez te lata skrzywdził ich wiele. Ubrany był w elegancki, czarny, wełniany płaszcz i równie ciemne trzewiki. Stroju dopełniał niedbale owinięty wokół szyi czerwony szal, który częściowo zasłaniał niewielką, siwą bródkę. Odkrytą głowę zdobiły krótko przystrzyżone, kruczoczarne włosy. Zza fotochromowych, modnych okularów mężczyzna obserwował teren. Dziecko z grymasem na twarzy patrzyło w kierunku nadbiegającej kobiety. Nie znało jej. Nagle kobieta się zatrzymała. Stało się to w chwili, kiedy Aleksander wykrzyknął w stronę Leny:

- Stój! Nie podchodź bliżej! - Głos miał niski, chropawy.

Zaskoczona Lena wykonała polecenie.

- Jak widzisz, dotrzymałem słowa. - Patrzył na nią wzrokiem, w którym dostrzegła szaleństwo.

- Dlaczego nie pozwalasz mi do niej podejść? - powiedziała,

prawie płacząc.

- Jesteś dla niej zupełnie obca. Nie zna ciebie. W naszym domu nigdy nie mówiliśmy o tobie.

- Kłamiesz! - wykrzyknęła zrozpaczona Lena.

- Ewo! Kochanie! To ja, twoja mama. Poznajesz mnie? - wyciągnęła ręce w kierunku córki. Dziewczynka była śliczna. Miała duże, brązowe oczy, lekko zadarty nosek, kształtne usta, które teraz przygryzała równymi, białymi zębami. Na głowie miała czapkę, przez co Lena nie mogła zobaczyć koloru jej włosów. Czy były podobne do jej? Jaka właściwie była jej córka? Co lubiła najbardziej? Jak postrzegała świat? Czy miała naturę pogodną, a może było odwrotnie? Dziesiątki pytań cisnęły się Lenie na usta, ale nie mogła zadać nawet jednego.

Córka patrzyła na nią w milczeniu. Najwyraźniej było jej zimno. Chciała znaleźć się w jakimś ciepłym pomieszczeniu. Najlepiej w tej restauracji, do której tata obiecał ją zabrać. Nie знаła tej pani, która teraz wyciąga w jej stronę ręce. Nie rozumiała języka, w którym do niej mówi. Odwróciła głowę i patrzyła na ojca.

- Tato, kim jest ta pani? - zapytała po niemiecku.

- To ciocia Lena.

- Dlaczego ona tak się dziwnie zachowuje? Dlaczego teraz płacze?

- Nie wiem. Pewnie jej zimno.

- Mnie też jest zimno.

-Ale ty nie będziesz płakać, prawda? Jesteś dzielną dziewczynką. W przeciwieństwie do tej pani.

Lena, która znała język niemiecki, słuchała tych słów, nie mogąc uwierzyć, że są wypowiedzane w jej obecności. Postanowiła walczyć. Zwróciła się zatem do córki po niemiecku:

- Kochanie. Ty mnie nie znasz. Ale ja znam ciebie. Nawet nie wiesz, jak dobrze! Ja jestem twoją mamą!

- Nie kłam - powiedziało dziecko - moja mama mieszka z nami w Essen.

A więc znalazł kolejną kobietę, pomyślała Lena. Następnej niszczy życie. Co mam teraz robić? Nagle zdała sobie sprawę, że

jeżeli teraz wkroczy w życie tej ślicznej dziewczynki, wywróci je do góry nogami. Zrobi z niego piekło. Ewa ma już matkę, którą zapewne kocha. Ale to przecież jej dziecko! To ona ją urodziła. Uczyła stawiać pierwsze kroki. Z zamyślenia wyrwały ją słowa Ewy.

-Tato, jest mi zimno! Bardzo zimno. Obiecałeś, że pójdziemy na ciastko do cafe. Patrz, tu jest, za nami! Chodźmy już!

Aleksander, jak przystało na opiekuńczego ojca, poprawił córce szalik. Wskazał wejście do restauracji i powiedział, aby poszła do środka. Obiecał dołączyć za chwilę. Zadowolone dziecko podbiegło do Leny, podało dłoń okrytą rękawiczką. Kiedy chciała ją przytulić, szarpnął dziewczynkę za rękaw, odciągnął od matki. - Biegnij! - powiedział z ironicznym uśmiechem. - Tata zaraz do ciebie przyjdzie!

Ewa zniknęła we wnętrzu budynku.

- Chciałaś ją zobaczyć to zobaczyłaś. Dotrzymałem słowa. - Śmiał się już całkiem głośno. Obszedł Lenę i z rękami w kieszeniach wkroczył na pomost. Ruszyła za nim.

- Oddaj mi ją - ze spuszczoną głową powtarzała na okrągło - oddaj mi ją, słyszysz! Oddaj mi córkę!

Aleksander rozglądał się z ciekawością po okolicy.

- Jak tu ładnie! Musimy tu z Ewą przyjeżdżać częściej. Może namówimy jej matkę? Ten hotel, w którym się zatrzymaliśmy, jest całkiem przyjemny. Ceny umiarkowane...

- Aleksandrze! Błagam! Zwróć mi ją! Czego za to chcesz?

-Ja nie handluję dziećmi! - rzucił oschle. Świetnie się bawił podczas tej rozmowy. To, co zaplanował, tak go cieszyło! Finał był już blisko!

- Przepraszam, źle się wyraziłam. Chcę, aby została ze mną.

- Hmm. Podobno właśnie straciłaś pracę. Za co ją utrzymasz? - drwił z niej na całego.

Lenę zaczął ogarniać coraz większy gniew.

- Przez ciebie, draniu! To ty napisałeś do Fitzera te oszczerstwa!

- Ja? A co ja mam z tym wspólnego? Pierwsze słyszę. Opowiedz coś o tym, może będę mógł jakoś pomóc... - Zaczął się głośno śmiać.

- Doniosłeś na mnie! Podalesz nieprawdziwe wiadomości. By mnie skompromitować.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dlaczego tak mnie dręczysz? - Nie patrzyła już na niego. Pomysł przyszedł nagle i wiedziała, że drugiej szansy nie będzie. - Słyszysz? Skąd w tobie tyle okrucieństwa? - Zbliżyła się do niego powoli. Stał na krawędzi pomostu. Zacisnęła pięści. Czowała jak krew napływa jej do twarzy, zbierała wszystkie siły.

- Ja, dręczyciel? Przyjechałem na kilka dni. Przesłałem ci kwiaty. Ewa zrobiła laurki. Napisałem w mejlu, że chcemy się z tobą spotkać. To wszystko. Gdzie tu dręczenie? Może byś mi w końcu podziękowała?

Lena była gotowa. Aleksander stał dwa metry przed nią. Pod pomostem złowrogo błyskała cienka warstwa lodu. Pod nim był śmiertelny chłód, przerażająca ciemność. Ostatni raz spojrzała na znienawidzonego człowieka, który ukradł jej córkę i z dzikim krzykiem rzuciła się w jego kierunku.

- Giń, bydlaku! - krzyknęła w ostatniej chwili.

- Idź tam, gdzie twoje miejsce! Do piekła!

Potem wpadła na niego z impetem. Tyle tylko, że Aleksander był już przygotowany na jej natarcie. Na ułamek sekundy przed jej uderzeniem odskoczył w bok. Lena otarła się ledwo o jego ramię i runęła przed siebie. Wpadła w poślizg na oblodzonych deskach. Spadała na taflę zamrożonego jeziora. Ostatnią rzeczą, jaką poczuła, był ból dłoni i szyi. Głowa schowana w ramionach przebiła twardą powłokę lodu. Potem jej ciało zniknęło pod lodowatą wodą.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Adam Dera stojącą nad nim postać.

Niczego nie pamiętał. Może jedynie rudego lisa, który krążył przy jego łóżku. Skąd przy łóżku lis? A zatem miał majaki, senne koszmary, zwidy. Nie czuł dłoni. Z twarzą nie było wcale lepiej. I jego stopy! To był dramat. Za nic nie potrafił poruszyć palcami,

- Proszę odpoczywać. Nic nie mówić. Pomoc jest w drodze - powiedziała łagodnym głosem postać stojąca nad nim.

- Ale co się stało? - Dera nie dawał za wygraną.

- Odnalazł pana w polu rolnik, który ze mną sąsiaduje. Miał pan dużo szczęścia. Są święta, ludzie rzadko wtedy wychodzą z chałup. A już to, że odnalazł pana na skraju pola, graniczy z cudem!

- Jak on się nazywa? Chcę mu podziękować.

- Zdąży pan. Teraz czekamy na karetkę z Gołdapi. Trafi pan do tamtejszego szpitala. Nie będę ukrywał, że ma pan liczne odmrożenia. Ale żyje pan i to jest w tym najważniejsze. Odkaziłem pana ranę. Co to było? Lis? Wilk?

- Szczur. Kim pan jest? Komu mam podziękować?

- To nie jest ważne.

- Nalegam!

- Skoro tak panu na tym zależy - nazywam się Wiktor Musz. Jestem weterynarzem.

Teraz Dera wiedział, że lis, którego zobaczył, musiał być rzeczywisty. Takie rzeczy się zdarzają. Ranne zwierzę przechodzi proces rehabilitacyjny w domu ludzi. Tak jak, nie przymierzając, on w tej chwili. Uniósł się lekko, poczuł ból. Opadając, powiedział:

- Bardzo panu, doktorze, dziękuję!

- Nie ma za co. To Witkowski.

-Kto?

- Ten chłop, który pana znalazł. Jemu niech pan dziękuje.

- Nie omieszkać. Zrobiłbym to zaraz, ale, jak pan widzi, nie bardzo mam jak - starał się być dowcipny.

Doktor Musz odszedł od łóżka. Zniknął w drugim pokoju. Dera powiódł za nim wzrokiem. Teraz oprócz krążącego lisa dostrzegł jakąś młodą kobietę, która mignęła mu na sekundę w progu. Poczul, jak ogarnia go sen. Ocknął się w chwili, kiedy do domu weszli ratownicy medyczni. Zabrali go na noszach do karetki. Dera nawet nie zdążył podziękować. Odjechali sprzed domu. Policjant przed ponowną utratą przytomności zapytał o nazwę tej miejscowości. W odpowiedzi usłyszał, że wieś nazywa się Zakałcze Wielkie.

- Powiadomcie moją żonę i córkę! Nazywam się Adam Dera!
- rzucił resztką sił. W następnej chwili zasnął.

Werens był przekonany, że Lena śpi. Wszedł do mieszkania cicho, żeby jej nie budzić. Wiedział, ile przeszła w ciągu ostatnich dni. Chciała odzyskać dziecko. Uwolnić się od prześladowcy. Ale czy i on nie doświadczał trudnych chwil? Jego ojciec walczył o życie. Paweł wiedział, że szanse ma niewielkie. Co potem? Zdecydował się na powrót w rodzinne strony ze względu na jego osobę. Nic więcej nie łączyło go z tym miastem. Tu uśmiechnął się do siebie. Lena. Ta piękna kobieta coraz częściej zaprzętała mu myśli. Romans, jaki nawiązali, wciągał go z każdym dniem mocniej. Łapał się na tym, że bez powodu wymienia jej imię. Już kiedyś doświadczał tego uczucia. Wtedy mu nie wyszło. Czy teraz będzie podobnie? A może jednak tym razem się uda? Nie jest już tym samym człowiekiem, którym był dwa lata wcześniej. Dojrzał. Wydorósł. Już nie goni jak wówczas za sławą i pieniędzmi. Werens pomyślał, że taki stan nazywany bywa ustatkowaniem się. Brzmiało jakoś mieszczańsko, staroświecko. Ale widocznie świat nie jest taki nowoczesny, jak wmawiają nam to media i znawcy tematu. Od wieków rządzą nim te same reguły. Z czasem każdy szuka bezpieczeństwa i oparcia w drugim człowieku. Cóż w tym złego?

Werens ruszył do sypialni. Spodziewał się zastać tam Lenę. Łóżko jednak było puste. Również zasłane, bez jednej fałdy.

- Lena! - wykrzyknął w kierunku łazienki. - Jesteś tam? Muszę ci powiedzieć coś ważnego. - Podszedł do drzwi i zapukał. Raz, drugi. Przyłożył do nich ucho. Nie słyszał szumu prysznica. Nacisnął klamkę. Delikatnie uchylił skrzydło drzwi. Leny nie było! To dziwne. Nie mówiła, że się gdzie wybiera. Werens zawołał psa. Kort przekonany, że wychodzą na spacer, błyskawicznie dopadł butów pana. Paweł sięgnął po telefon. Wybrał numer Leny i zadzwonił. W odpowiedzi usłyszał komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny. Ponowił próbę. Usłyszał to samo. Coś musiało się stać. Przecież nie mogła wyjść do sklepu. Są święta i sklepy są nieczynne. Werens skierował kroki do swojego gabinetu. Ku jego zaskoczeniu

komputer nie był wyłączony. A zatem Lena korzystała z niego. W następnej chwili poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. List od Aleksandra był ciągle otwarty. Dziennikarz porównał godzinę, w której nadszedł, z aktualnym czasem. Lena pojechała na spotkanie z byłym mężem półtorej godziny temu. Dlaczego nie odbierała telefonów? Dlaczego nie powiedziała mu o tym spotkaniu? Dlaczego pojechała sama? Bez ochrony, zdana na łaskę tego paskudnego typu.

Werens wybiegł z mieszkania. Wsiadł do samochodu, który ciągle jeszcze miał ciepły silnik i pognął na południe. Na plaży znalazł się po piętnastu minutach. Była zupełnie pusta. Dostrzegł światła przebijające nadchodzący błyskawicznie zmierzch. Skierował kroki do restauracji. We wnętrzu trwało przyjęcie weselne. Zaczepił przechodzącego kelnera. Zapytał o kobietę. Chciał ją szczegółowo opisać, kiedy kelner przerwał mu w pół słowa.

- Zabrali ją jakąś godzinę temu.

- Kogo?

- No tę topielicę. I gościa weselnego, który za nią skoczył.

Werens pobladł. Rzucił tylko krótkie:

- Ona żyje?

- Jak ją -wyciągał, to jeszcze żyła. Ale po kąpielii w takiej lodowatej wodzie to różnie może być. Pan wie, wychłodzenie organizmu i takie tam inne...

- Do którego szpitala ją zabrali?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Pogotowie ją zabrało. To chyba na ostry dyżur, w miejskim.

- A dziewczynka?

- Jaka dziewczynka?

- Ta, która z nią była. I mężczyzna.

- Nie było żadnej dziewczynki.

- Może pan nie widział? Może widział kto inny?

- Panie, to jest weselne przyjęcie, a nie show w telewizorze. Tu się nikt przez okna za topielicami nie rozgląda. Tu się, panie kochany, tańczy, śpiewa, wódkę pije i smacznie jada. Polecam! Ale nie dzisiaj. Wiadomo, wesele...

Werens nie słuchał dłużej. Wybiegł z budynku i popędził do

auta. Wpadając w poślizg na zakręcie, zdołał wyprowadzić golfa z niebezpieczeństwa i pognął do szpitala miejskiego przy ulicy Niepodległości 44. Zostawił samochód przed bramą i pobiegł na Oddział Ratunkowy. Dopadł recepcji i zdyszany zapytał o kobietę wyłowioną z jeziora. Recepcjonistka chwilę sprawdzała dyżurny dziennik. Potem, lekko sepleniąc, powiedziała:

- Psywieźli taką panią psed godziną. Lena Lipska.

O nią panu chodzi?

Werens rzucił krótkie „dziękuję!” i popędził w głąb budynku. Serce waliło mu jak oszalałe. Przez głowę przewalały się dziesiątki myśli. Z tego wszystkiego zapomniał zapytać o miejsce, w którym znajdowała się teraz Lena. Opamiętał się wreszcie, przystanął i przechodzącą korytarzem pielęgniarkę zapytał o panią Lipską.

W czasie, kiedy Werens rozmawiał z recepcjonistką, Aleksander krążył po szpitalnym korytarzu. On również szukał Leny.

Po tym, jak zostawił ją w lodowatej wodzie przeświadczony, że Lena utonie, ruszył po pomoście na brzeg. Ewa czekała we wnętrzu restauracji. Dziewczynka nie widziała dramatycznej sceny, która rozegrała się na molo. Aleksander był już w połowie drogi, gdy zobaczył, jak mężczyzna w garniturze z papierosem, dotychczas obserwujący ich, cisnął niedopałek w śnieg i popędził na pomost. Bez namysłu skoczył na wyprostowanych nogach do wody. Aleksander z niedowierzaniem patrzył, jak tamten wyciąga nieprzytomną Lenę na lód i ciągnie ją ku brzegowi. W następnej sekundzie z budynku zaczęli wysypywać się biesiadnicy. Zrobiło się zamieszanie. Ludzie biegli w kierunku przemoczonej pary, krzyczeli, ściągali marynarki, by okryć ofiary wypadku. Aleksander dostał się do budynku. W tłumie odnalazł Ewę. Korzystając z zamętu, pociągnął dziewczynkę na zewnątrz. Dziecko pytało go o przyczyny tego zamieszania. Milczał. Zza rogu przystani obserwował rozwój wypadków. Wkrótce pojawiła się karetka, zaraz po niej druga. Pielęgniarze zabrali

Lenę i jej ratownika. Samochody na sygnale pognały w kierunku miasta.

Teraz Aleksander krążył po korytarzach szpitala. Wiedział, że gdzieś tutaj przebywa jego niedoszła ofiara. Chciał zakończyć sprawę raz na zawsze. Wpadł na jakiegoś lekarza, przeprosił i ruszył dalej. Nie pytał o Lenę w recepcji. Nie chciał świadków. Prędzej czy później i tak ją odnajdzie. A wówczas ją zabije.

Gdyby ktoś powiedział Werensowi, że troje bliskich mu ludzi w tym samym czasie znajdzie się w trzech różnych szpitalach pomyślałby, że to jakiś kiepski żart. Jego ojciec przebywał na oddziale intensywnej terapii, przeszedł zawał mózgu. Trudno było wyrokować co z nim się stanie w ciągu najbliższych dni. Potem doszło do sepsy. Ze względów ochronnych nie mógł go nawet odwiedzać. Dzwonił do lekarza, który niezmiennie powtarzał, że stan jego ojca nie ulega poprawie. Ale i się nie pogarsza, co w tym wszystkim było bardzo ważne.

Druga z bliskich mu osób - Lena - wpadła do lodowatej wody. Trafiała do szpitala kilka ulic dalej. Lena przebywała na oddziale intensywnej opieki medycznej. O zobaczeniu się z nią nie było mowy. Dyżurny lekarz zaprosił go do swojego pokoju. Zaproponował krzesło. Sam zasiadł na wygodnym fotelu. Z wyglądu przypominał byłego prezydenta lewicy - Kwaśniewskiego - w formie przedwyborczej, a zatem odchudzonego i opalonego.

- Czy pani Lipska to pańska małżonka? - zapytał lekarz.

- Nie. Przyjaźnimy się.

- Czy ma jakichś krewnych, których powinniśmy powiadomić? A może już pan to zrobił?

Werens zamyślił się. Czy córka Leny widziała ten tragiczny wypadek? Jeśli tak, to jak zareagowała?

- Nie. Lena, to znaczy pani Lipska, nie ma krewnych. - Skłamał. Żyli przecież jej rodzice. Ale oni wiele lat temu zerwali z nią wszelkie kontakty. Może mimo wszystko powinien ich powiadomić?

- A zatem to pan się nią opiekuje?

- Można tak powiedzieć.

- Musi pan wiedzieć, że człowiek w kontakcie z zimną wodą ma niewielkie szanse na przeżycie. Następuje błyskawiczna hipotermia. Przyjmuje się, że jest w stanie utrzymać się przy życiu tyle minut, ile wynosi temperatura wody.

- Ta nie mogła mieć więcej jak cztery stopnie.

-I tyle minut by żyła, gdyby nie mężczyzna, który rzucił się jej na ratunek.

- A jak on się czuje?

- Dużo lepiej. To silny organizm. I krócej był w wodzie.

- Czy mogę go odwiedzić? Podziękować mu? Jak się nazywa?

- Muszę sprawdzić, zaraz... - Lekarz zerknął w notes. - Roman Radłowski. Ale odwiedzić go pan nie może. Za dwa, trzy dni... Wyjdzie z tego. Gorzej jest z pańską znajomą. Dotychczas nie odzyskała przytomności. To hipotermia o umiarkowanych objawach.

- Na czym one polegają?

- Temperatura jej ciała spadła do trzydziestu stopni. Dwa stopnie mniej i byłby stan krytyczny... Pani Lipska ma zaburzenia świadomości, straciła wrażliwość na bodźce. Można powiedzieć, że jej zachowanie jest apatyczne. Brak jej energii.

- Czy czuje ból?

- Tak, jak najbardziej. Ma skurcze mięśni.

Werens milczał. Rozumiał, że stan jest bardzo poważny. Lekarz wstał i podając mu rękę, dodał:

- Musi też pan wiedzieć, że ona w chwili zetknięcia się z wodą straciła poczucie czasu. Rozumie pan? Nie wie, jaki mamy dzień, miesiąc. Czy jest ranek, czy może nadchodzi wieczór.

- Ile to potrwa? To straszne! - Werens był zdruzgotany.

- Trudno powiedzieć. Ważne jest co innego.

- Mianowicie?

- Ona śpi. Oby się z tego snu obudziła.

Trzecią z bliskich osób, które trafiły pod opiekę lekarzy, był policjant Adam Dera. Przed wejściem do szpitala Werens zadzwonił do niego. Telefon milczał. Wydało mu się to podejrzane. Dlatego ponowił próbę, a kiedy i to nie przyniosło rezultatu, wówczas zadzwonił do mieszkania policjanta.

Odebrała roztrzęsiona żona, informując go o wypadku męża. Opisała jego zaginięcie, poszukiwania, które rozpoczęły z córką na własną rękę. Mówiła też o cudownym odnalezieniu przez jakiegoś rolnika. Wróciły właśnie z córką ze szpitala w Gołdapi. Stan męża jest poważny, ale stabilny. Ma kilka odmrożeń i ranę szarpaną. Jest bardzo dzielny. Werens wyczuł w jej głosie dumę przemieszana z niepokojem. Obiecał odwiedzić Derę w szpitalu. Chciał również spotkać się z kobietami, aby szczegółowo opisać przebieg zdarzeń. Bardzo im współczuł.

Usiadł na ławce przed wejściem na oddział i rozmyślał dalej. Próbował uporządkować wydarzenia. Oto, co już wiedział:

Generał Szubert vel Montalto porwał córkę Cecylii Garde - Klaudię i przetrzymywał ją w jakiejś kryjówce. Najwyraźniej wrogowie generała zabili go i dokonali jakiegoś rytualnego obrzędu. Odciepli mu głowę, a ciało spalili. Człowiek, którego nazwisko podała mu Cecylia na spotkaniu w restauracji, nazywa się Wiktor Musz. To ponoć najbliższy -współpracownik Montalto. Może on być kluczem do odnalezienia Klaudii. Niewykluczone, że to on ją z rozkazu Montalto porwał. Kiedy Eryk Bunda odkrył ciało w piramidzie, był przekonany, że to jest jego dziewczyna. Kochał ją bardzo. Trafił do aresztu jako podejrzany, z powodu nieszczęśliwej miłości odebrał sobie życie. Nie wiedział przecież, że to nie głowa jego ukochanej znajduje się w worku. Cecylia ukrywa się przed ludźmi swojego ojca, którzy ciągle są groźni. Tyle fakty. A teraz plan. Trzeba go stworzyć. Trzeba wiedzieć, co robić dalej? Nic nie przychodziło mu do głowy. Śledztwo stanęło w miejscu a ludzie, na pomoc których liczył, sami tej pomocy teraz potrzebowali. Werens siedział na korytarzu. Mijani ludzie patrzyli na jego smutną, zamyśloną twarz. Było jasne dla każdego, że ten przystojny mężczyzna bardzo cierpi. Wreszcie wstał z drewnianego siedziska. Jak automat ruszył do wyjścia. Wpadł na jakiegoś mężczyznę, na ułamek sekundy ich spojrzenia skrzyżowały się. Dziwne, pomyślał Werens, jakbym go skądś już znał. Tylko skąd? Czy to teraz ważne? Przeprosił eleganckiego mężczyznę w czarnym płaszczu i poszedł dalej.

Werens nie wiedział, że człowiekiem, na którego właśnie

wpadł, jest Aleksander. Ten stanął przed wejściem na oddział intensywnej opieki medycznej. Uważnie obserwował ruch na wewnętrznym korytarzu. Wreszcie, kiedy zrobiło się zupełnie pusto, otworzył drzwi i ruszył w poszukiwaniu pokoju Leny. Szedł wolno, z rękami w kieszeniach. W jednej z nich ukrył fiolkę ze śmiertcionośną amanityną, w drugiej niewielką strzykawkę.

Adam Dera czuł się coraz lepiej. Obrażenia, jakich doznał, okazały się mniej groźne niż się wydawało. Mała wilgotność powietrza i bezwietrzna pogoda złagodziły rozmiary odmrożeń. Na szczęście Dera nie wypił zbyt wiele alkoholu przy świątecznym stole. Ten mógłby go doprowadzić nawet do śmierci. Lekarze stwierdzili u niego powierzchowną martwicę skóry. Szczególnie ucierpiały palce u rąk i nóg oraz nos. Uszy i gardło okrył przecież swetrem, którym zatrzymywał ciepło. Organizm miał mocno wychłodzony. Wielką rolę odegrała pomoc weterynarza, do którego zawiózł go rolnik. Wiktor Musz natychmiast rozebrał go z mokrego ubrania i butów. Ściągnął mu nawet zegarek, prezent od żony, oraz ślubną obrączkę. Przebrał Derę w dres. Długo moczył mu palce w letniej wodzie, której temperaturę stopniowo zwiększał. Poił go letnią herbatą. Owinął w koc. Ponieważ policjant był nieprzytomny, nie podjął się podróży do Gołdapi. Cierpliwie, aż do przyjazdu karetki, zmieniał mu opatrunki z gazy. Droga była zbyt niebezpieczna. Ranny aspirant patrzył z uwagą na swoje blade palce. Nie czuł bólu. Wbrew temu, co myślał, oznaczało to, iż są odmrożone. Ale amputacja mu nie groziła. Żona z córką przesiedziały przy jego łóżku kilka godzin. Bardzo go tym rozczuliły. Więc jednak kochały go. A on niesłusznie podejrzewał je o obojętność. Teraz pojechały do domu w Baniach Mazurskich. Jego kolega z posterunku Filip Wiśniewski również złożył mu wizytę. Okazało się, że poszukiwania utrudniały opady śniegu, zakrywając ślady i jakiś dowcipniś, który ukrył jego samochód służbowy w lesie. Przez to rejon poszukiwań rozrósł się do jakichś niebotycznych rozmiarów. Do tego były przecież święta.

Dera wypytywał go o sytuację we wsi. Czy panuje spokój i porządek? Złapał się na tym, że polubił swoje nowe miejsce i pracę tam wykonywaną. Może rzeczywiście był już za stary na wielkie śledztwa? Pomyślał, że z utęsknieniem czeka na wiosnę, kiedy będzie mógł zaprosić warszawskiego przyjaciela na wspólne wędkowanie. Kiedy Wiśniewski opuścił szpital, Dera skierował myśli na Werensa i jego śledztwo. Ciekawe, jak mu idzie? Wiedział, że żona poinformowała dziennikarza o wydarzeniach ostatniej doby. Rozmyślenia przerwała mu pielęgniarka, która pojawiła się, żeby zrobić zastrzyk z surowicy przeciwężcовой i zmienić opatrunki. Po zastrzyku ogarnęła go senność. Próbował być dowcipny i opowiadać jakąś anegdotę, lecz jej nie dokończył. Słowa mu gdzieś uciekały, zapominał je, podobnie jak i sens całej opowieści. Aspirant Adam Dera zasnął.

Aleksander wolno pokonywał długi korytarz. Uważnie wypatrywał Leny. Świąteczny czas mu sprzyjał. Odwiedzający pacjentów w większości zeszli do szpitalnej kawiarni. Dyżurny lekarz siedział zamknięty w swoim gabinecie. Słuchał radia nadającego od kilku dni uwspółcześnione wersje kolęd. Szkło fiolki z amantyną ślizgało się w jego spoconej dłoni. Za chwilę odnajdzie znenawidzoną kobietę. Jak to się stało, że przeżyła skok do lodowatej wody? Uratował ją ten cholerny facet z papierosem w zębach. Miała tylko kilka minut! Ale szczęście nie trwa wiecznie. Z trucizną, którą wstrzyknie do kroplówki, jej organizm sobie nie poradzi. Nikt nie będzie go podejrzewał. Trucizna ujawnia swe śmiertelne oblicze po dziesięciu godzinach. Ta suka poczuje mdłości, bóle brzucha. Lekarze przekonani, że to zwykłe zatrucie dadzą, jej środki przeciwbólowe. Potem przyjdzie biegunka i wymioty. Durni lekarze ciągle będą przekonani, że to zatrucie jakich wiele. Wtedy Lena poskarży się ponownie na bóle brzucha, które doprowadzą ją do odwodnienia. Zainterweniują po badaniach ciśnienia krwi. Dostanie kolejną porcję leków, uzupełnią jej magnez i elektrolity. Będą zadowoleni, bo jej stan się ustabilizuje. Ale najgorsze dopiero nadejdzie. Po dwóch dniach nastąpi uszkodzenie wątroby. Od tej chwili zostanie jej kilka

dni życia. Najdalej po tygodniu zapadnie w śpiączkę wątrobową. Umrze. Twarz Aleksandra rozpromienił uśmiech. Wreszcie ją odnalazł! To był jej pokój! Przykryta białą pościelą leżała z dłońmi rozłożonymi na boki. W jej żyłę wprowadzono wenflon. Dalej Aleksander widział długi przewód wypełniony płynem. Pojemnik z nim wisiał na metalowym stojaku. Jego była żona spała. Ostatni raz obejrzał się na prawo i lewo. Korytarz mijali bliscy pacjentów. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikt też nie skojarzy jego wizyty ze śmiercią młodej kobiety. Podszedł do łóżka. Sam nie wiedząc, dlaczego, pocałował byłą żonę w czoło. Potem odcepil przewód. Z kieszeni wyjął fiolkę z trucizną. Z drugiej strzykawkę i igłę. Złączył je ze sobą, po czym wbił igłę w zatyczkę. Zassał truciznę.

- Żegnaj - powiedział do Leny, która w tej samej chwili otworzyła oczy.

Werens wyszedł przed szpital. Samochód pozostawił kilkadziesiąt metrów dalej, przy ulicy. Zastanawiał się nad dalszym planem. Od czego zacząć? Jego sprzymierzeńcy sami potrzebowali pomocy medycznej. W tej chwili nie mógł na nich liczyć. Szedł po śniegu ze spuszczoną głową. Potrafił jakiegoś człowieka. Przeprosił. Zdał sobie sprawę, że nawet nie spojrzał na niego. Uniósł głowę. Obok mężczyzny, na którego wpadł, stało srebrne audi A6 na niemieckich numerach. Coś mu nie pasowało w tym samochodzie. Zerknął do środka. Dostrzegł dziewczynkę bawiącą się grą w telefonie komórkowym. Dlaczego to dziecko zostało w aucie? Przecież, jeżeli przyjechało do szpitala na odwiedzin, powinno być w zupełnie innym miejscu. Stai się czujny. Zapukał w szybę. Rozsunęła ją nieznacznie. Zapytał:

- Czemu siedzisz w samochodzie? Gdzie są twoi rodzice?

Dziewczynka milczała, chociaż oderwała wzrok od wyświetlacza telefonu.

Ponowił pytanie po niemiecku, nieco je modyfikując:

- Czy twoi rodzice są w szpitalu?

Dziecko uważnie mu się przyglądało, by po chwili

powiedzieć:

-Tata poszedł do cioci, co wpadła do jeziora. - Wróciła do przerwanej gry, wcześniej zasuważąc szybę.

Werens poczuł, jak fala gorąca przelewa się przez jego ciało. Odbił się od szyby samochodu i pognął do szpitala. Ludzie patrzyli na szaleńca, który z krzykiem pędził na oddział intensywnej opieki medycznej. Rozpychał spacerujących korytarzem, przewracał ich. Barkiem napał na szklane skrzydła drzwi, te z wielkim impetem uderzyły o ściany i rozprysły się na tysiąc kawałków. Ludzie wybiegali z sal na korytarz. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co się dzieje. Potem próbowali zatrzymać szaleńca, który z obłędem w oczach gnał środkiem korytarza. Werens wpadł do pokoju Leny w chwili, kiedy Aleksander rozpoczynał wtłaczanie w jej ciało śmiertelnej trucizny. Rzucił się na zabójcę i obaj potoczyli się pod okno. Dziennikarz był wyższy i młodszy. Pomimo to morderca zdołał zrzucić go z siebie, błyskawicznie powstać i kopnąć w krocze. Werens zawył i zwinął się w embrion. Ból rozsadał mu pachwinę, wędrował do żołądka, ale też i do ud. Nie był w stanie się podnieść. Widział tylko, jak Aleksander znika w prostokącie drzwi. Potem słyszał ludzi krzyczących za nim. Werens wiedział, że niedoszły zabójca umknie. Na jego korzyść przemawiały zaskoczenie i dziki ryk, jaki wydobywał z gardła. Potem zaległa cisza. Goście pacjentów, jak i oni sami, wkładali głowy w futrynę. Byli ciekawi, cóż mogło się stać w tej oazie spokoju i ciszy? Po nich zjawili się sanitariusze, którzy obezwładnili Werensa. Co nie było konieczne, zważywszy na jego stan. Kiedy go wyprowadzali, zerknął na strzykawkę z trucizną. Uśmiech rozpromienił mu twarz. Była pełna.

26 grudnia 2006, wtorek

Werens obudził się spocony. Obok niego na łóżku rozłożył się Kort. Pies był wyraźnie niezadowolony, kiedy jego pan nakazał mu opuszczenie ciepłej pościeli. Sam Werens nie zamierzał jeszcze wstawać, chociaż pora była ku temu już najwyższa. Dochodziło południe. Wczorajszy dzień był jakimś koszmarem. Po tym, jak rzucił się na Aleksandra i został pochwycony przez pielęgniarzy, trafił na komisariat policji. Wcześniej przesiedział godzinę w oczekiwaniu na patrol. Zawieziono go na ulicę Partyzantów. Werens całkiem dobrze orientował się w rozplanowaniu budynku. Kilka razy już w nim był. A kiedyś nawet tu nocował. Wczoraj również zanosilo się na podobny scenariusz. Posądzony o wtargnięcie na teren szpitala z zamiarem napaści na jedną z pacjentek, musiał długo się tłumaczyć. Na szczęście trafił na rozsądnego policjanta, który na dodatek doskonale znał aspiranta, a wówczas jeszcze podkomisarza Adama Derę.

Wiadomość o jego stanie zdrowia bardzo go zmartwiła. Co wcale nie znaczyło, że łatwo uwierzył w historię o Aleksandrze, który chciał zamordować byłą żonę. Sytuacja wyjaśniła się dopiero w chwili, kiedy pojawił się dowód w postaci strzykawki z niezidentyfikowaną substancją, którą mieli przebadać specjaliści już następnego dnia. Werens złożył wyjaśnienia. Nie mówił jednak o sprawie Montalto i poszukiwanym niejakim Wiktorze Muszu. Brzmiało to zbyt dziwnie i obawiał się, że zburzy jego dotychczasowy wizerunek. Poprzestał na Aleksandrze, który poruszał się po kraju srebrnym audi z okolic Essen. Woził ze sobą dziewięcioletnią dziewczynkę. Córkę Leny, którą uprowadził przed kilkoma laty. Policjant wszystko

notował. Dziennikarz odniósł wrażenie, że sprawa porwanego dziecka wyraźnie go poruszyła. Czyżby pętla na Aleksandrze zaciskała się coraz bardziej? Bardzo tego pragnął. Był przekonany, że widok córki będzie najlepszym lekarstwem dla Leny. Zwolniono go o siedemnastej. Pieszko wrócił do domu. Samochód zostawił pod szpitalem. Derze wysłał SMS z życzeniami powrotu do zdrowia. Dzwonić nie chciał. Było zbyt późno. Potem wziął psa na spacer i ruszyli pod szpital. Światło w pokoju Leny ciągle się paliło. Być może przechodziła kolejne badanie. Werens odnalazł swoje auto, wsiadł do golfa, obok wskoczył Kort i pojechali do domu. Nie miał ochoty na kolację. Wziął prysznic i szybko zasnął. Zmęczenie i napięcie towarzyszące mu w ciągu ostatnich dni zrobiły swoje.

Teraz siedział oparty o wezglowie. Zastanawiał się, co dalej? Do ojca pojechać nie mógł. W szpitalu obowiązywała kwarantanna. Do Leny tym bardziej. Personel by go rozszarpał. Zapewne zapamiętali szaleńca niszczącego sprzęty. Prózne byłyby jego tłumaczenia, że jest niewinny. Przecież to on, cokolwiek by powiedzieć, uratował jej życie. Kto by w to uwierzył? Obrońca, który z krzykiem biega po korytarzu, a potem wyprowadza go w kajdankach policja! Nie, lepiej tam nie jechać. Chociaż pokusa była ogromna. Bardzo chciał ją zobaczyć. Zapytać lekarzy o stan zdrowia. Po namyśle uznał, że gdyby działo się coś niedobrego, wezwano by go na policję. Ale przecież Lenie nic złego stać się nie może. Jest młoda, silna i waleczna. Im dłużej rozmyślał, tym częściej w jego interpretacji zdarzeń pojawiało się nazwisko Musz. Kim właściwie jest Wiktor Musz? Prawą ręką Montalto. Tak przedstawiła go Cecylia Garde. Czy tylko jego zastępcą? Montalto był już bardzo stary, stał nad grobem, do którego zresztą w końcu trafił. W dwóch kawalkach, ale jednak. A jeżeli to Musz pokierował zabójstwem swojego szefa? Objął po nim schedę. Przecież to nie igła. Gdzieś być musi. Ktoś go zna. Sprawuje jakieś funkcje.

Werens zwlókł się z łóżka, wziął prysznic i zaparzył dzbanek kawy. Siedząc przy kuchennym stole, przeglądał książkę telefoniczną. Już kiedyś mu się udało w ten sposób odnaleźć kogoś. Ta krótka znajomość skończyła się tragicznie. Starsza

pani poniosła śmierć. Zabili ją ludzie Montalto. Kto wie, może w zamachu na jej życie uczestniczył ów Musz? Ale tym razem Werens nie trafił. Nikogo o tym nazwisku nie znalazł. Zazgrzytał zębami, dopił kawę i dopiero teraz się ubrał. Wyprowadził psa na spacer. Musz, Musz, cholerny Musz! Powtarzał to nazwisko na okrągło. Nie zauważył, że w jego kieszeni brzęczy telefon. Odkrył to dopiero po piątej próbie połączenia. Ku wielkiej radości Werensa dzwonił Dera!

- Werens? - Dera głos miał zmęczony, ale nie aż w tak, jak można by się spodziewać.

- Jak się czujesz, Adamie? - Werens był szczęśliwy, słysząc głos policjanta. Wreszcie jakieś dobre wydarzenie!

- Całkiem znośnie. Jedzenie co prawda papierowe, bez smaku... Ale da się wytrzymać. Inni mają gorzej, co nie?

- Zważywszy na okoliczności, w jakich byłeś jeszcze wczoraj...

- To prawda. Zamiast jeść, mało co nie zostałem kolacją dla sporej grupy szczurów. Wierz mi, naprawdę były głodne. Jeszcze mnie noga piecze! To wszystko każe mi postawić tezę, że mam w życiu dużo szczęścia. Inna sprawa, po co ja lałem do tej nory?!

- Rzeczywiście, wybrałeś sobie dziwne miejsce na zwiedzanie. I to w święta... Odkryłeś chociaż coś ciekawego?

- Co do miejsca to nieszczęśliwie. Wycieczek tam prowadzić nie radzę. Za to trafiłem na wspaniałych ludzi. Gdyby nie ich pomoc, już byśmy sobie nie pogadali. Ten rolnik... Zapomniałem jego nazwisko. No... Przez ten mróz mózg mi się skurczył. He! He! A, już wiem! Witkowski! Oczywiście, że Witkowski. Kiedy stąd wyjdę, pojedę mu podziękować. No i oczywiście temu weterynarzowi. Wiktor Musz się nazywa. Dobrze zapamiętałem!

Werens pobladł. Rzucił do słuchawki:

- Jak powiedziałeś? Musz?

- Tak. Musz. Wiktor. Wspaniały doktor. Co prawda od krów, ale i mnie potrafił pomóc!

Werens nie chciał wchodzić w szczegóły. Kręciło mu się w głowie. Musz był gdzieś niedaleko. Czysty przypadek sprawił, że na niego trafił. Być może to nie jest człowiek, którego

poszukuje, ale był to jedyny trop, jaki miał. Zapytał zatem Dere o to, czy pamięta miejsce, z którego zabrała go karetka.

- Oczywiście. Piękny dom otoczony wzgórzami. Wieś nazywała się... Właśnie, znowu mam dziury w pamięci! A, już mam. Wieś nosi nazwę Zakalcze. Zakalcze Wielkie. Niedaleko Bani Mazurskich. A do czego ci to potrzebne?

- Pojadę podziękować temu Muszowi za to, co zrobił. Dera pomyślał, że to ostatnie zdanie, nie wiedzieć czemu, zabrzmiało groźnie.

Werens zastanawiał się, czy o miejscu pobytu człowieka Montalto powiadomić policję. Po namyśle uznał, że to nie był dobry pomysł. Cóż by powiedział policjantom? Że jakiś człowiek o nazwisku Musz przebywa na odludziu i prawdopodobnie jest zamieszany w ciemne interesy poszukiwanego generała? Zresztą już przecież nieposzukiwanego. Tu musiałby przyznać, że wie o jego śmierci. A wtedy narobiłby kłopotów Derze, który i tak ma ich aż nadto. Werens postanowił trzymać się z daleka od policji. Lecz należało powiadomić kogo innego. W pierwszej kolejności Cecylię. Był jej to winien. To ona podała mu nazwisko przestępcy. To jej córkę przetrzymywano w niewoli. Ciągle jeszcze palił go wstyd. To, jak się zachowywał podczas rozmowy z Cecylią, było skandaliczne. Te jego uwagi, nieufność, lekceważenie kobiety. Werens chciał się zrehabilitować. Sięgnął zatem po telefon i zadzwonił do Cecylii. Odebrała natychmiast.

- Mam coś - zaczął bez zbędnych wstępów - chyba odnalazłem tego Wiktora Musza. Wiem, gdzie teraz mieszka.

Prawdę mówiąc, to nie on natrafił na poszukiwanego, a Dera. Ale o tym Werens już nie wspomniał. Chciał zaimponować tej kobiecie. Przynajmniej w tej chwili. Na szczegółowe wyjaśnienia przyjdzie czas. Cecylia milczała. Pomyślał nawet, że się rozłączyła. Ale ona czekała na dalsze informacje. Werens nerwowo opowiadał:

- Ten cały Wiktor Musz ukrył się na odludziu. Wioska, w której zamieszkuje, nazywa się Zakalcze Wielkie. Jest tam

weterynarzem, to całkiem dobra przykrywka. A sama -wieś to niewielka osada na północny zachód od Bani Mazurskich. Jeszcze dzisiaj się tam wybieram. Być może to przypadkowa zbieżność nazwisk, ale ja w takie przypadki nie wierzę! Co pani na to?

W tym momencie telefon Cecylii się rozłączył. Werens przekonany, że to jakaś awaria linii, ponownie wybrał jej numer. Lecz nie uzyskał połączenia. Dziwne, pomyślał. Po trzeciej próbie dał sobie spokój. Uznał, że Cecylii mógł rozłądować się telefon. Innego wytłumaczenia nie znajdował. A jeżeli coś jej się stało? Gdyby nawet, to nie wiedział, gdzie ona się znajduje. Nic nie mógł zrobić. Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu.

- Pani Cecylio, coś przerwało połączenie - rzucił uradowany. Lecz głos, który usłyszał, nie należał do Cecylii Garde.

- Pan Werens, prawda? - Ku jego zaskoczeniu dzwoniła do niego Maria Bunda, matka Eryka. - Czy nie przeszkadzam?

- Pani Mario, czy coś się stało? - Werens był zaskoczony tym telefonem.

- Wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem, czas też mamy szczególny, ale stało się coś, co wydaje mi się ważne. Ten czerwony samochód... Już wiem, co to było. To znaczy widziałam w telewizji taki sam. I mąż, który się zna, mi powiedział, że takie auto nazywa się saab. To szwedzkie auto. Identyczny, to znaczy kształtem i kolorem, podjechał wtedy po mojego syna.

- Pani Mario, już wiem, do kogo należał ten samochód. Sprawa się wyjaśniła.

- Do kogo?

- Pani mogę to powiedzieć. Do Cecylii Garde.

- Coś mi to nazwisko mówi. Tylko co?

- To przecież matka Klaudii Garde. Eryk poznał ją w szpitalu, kiedy się leczyła. Sama pani to powiedziała.

- Nie, proszę pana. Ja powiedziałam co innego. Klaudia poznała Eryka podczas wizyt w szpitalu.

- Jak to podczas wizyt? - Werens poczuł, że usłyszy coś, co mocno go zdenerwuje.

- Zwyczajnie. Chodziła tam w odwiedziny do chorej ciotki.

- Pani raczy żartować...

-Ależ proszę pana! Wiem, co mówię! Klaudia nigdy nie leczyła się w tym szpitalu. Przyjechała tu ze wsi w odwiedziny do krewnej.

- To Klaudia nie nazywa się Garde? Nie jest córką Cecylii?

- Nie wiem, kto jest jej matką. Wiem tylko tyle, że nazywa się Musz. Klaudia Musz.

- Dlaczego pani mi to dopiero teraz mówi?

- Z prostej przyczyny. Pan mnie o to nie pytał.

- Pani Mario, jeszcze tylko jedno pytanie. Jak ma na imię ojciec Klaudii? Może mówiła coś o nim?

- A pewnie, że mówiła. Jej ojciec jest weterynarzem. Ma na imię Wiktor.

Werens zaniemówił, Właśnie uświadomił sobie, że zrobił najgłupszą rzecz na świecie. Wszystko było inaczej, niż to sobie wymyślił. Dlaczego drugi raz zaufał Cecylii? Przecież stawało się jasne, że od początku go oszukiwała. Chciała, żeby wyszedł Klaudię i jej ojca. Kim oni byli, że tak pragnęła ich odnaleźć? Werens już wiedział, że to ona była w tej łamigłówce najgroźniejszym graczem. Eryk popełnił samobójstwo w celi, ponieważ zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć. Pojechał z Cecylią do Rapy. Potwierdziła to jego mama. Tam musiało się wydarzyć coś strasznego. Coś więcej niż śmierć Montalto. Cecylia podała mu nazwisko Musz. Miał być to rzekomy współpracownik jej ojca. Kim był ten człowiek w istocie? Kto tu mówi prawdę, a kto kłamie? Kim jest Klaudia? Córką Musza? Zakładając, że tak, to kim jest dla niej Cecylia? Maria Bunda mówiła, że Klaudia chodziła do jakiejś ciotki, pacjentki w szpitalu dla nerwowo chorych. Czyżby Wiktor Musz i Cecylia Garde byli rodzeństwem? Zaraz, przecież Cecylia mówiła o zaginionym w roku 1981 bracie Wiktorze. Ulubieńcu ojca. Werens myślał intensywnie. Był coraz bardziej przerażony. Zadzwoił na informację i poprosił o numer recepcji do szpitala psychiatrycznego. Kiedy się tam dodzwonił, skierował kolejną prośbę do recepcjonistki. Chciał, aby podano mu numer telefonu do ordynator, doktor Zakrzewskiej. Miał

szczęście. Lekarka pełniła akurat dyżur.

- Dzień dobry. Nazywam się Paweł Werens. Jestem dziennikarzem. Zajmuję się sprawą Eryka Bundy.

Zaległa cisza, po której usłyszał:

- Przypominam sobie pana. Był tu pan i zadawał nieuprzejme pytania.

- Bardzo panią przepraszam za tamto spotkanie. Rzeczywiście, nie wyszło to najlepiej. Teraz mam tylko jedno pytanie. Czy zgodzi się pani na nie odpowiedzieć?

- Jeszcze nie wiem, o co chce pan mnie zapytać.

- Racja. A zatem pytam wprost: Czy Cecylia Garde była państwa pacjentką? Błagam, to sprawa czyjegoś życia! To może pomóc w wyjaśnieniu śmierci Eryka! Wiem, że nie może pani zdradzać tajemnicy lekarskiej. Proszę zatem o odpowiedź w inny sposób. Jeżeli ona się u was leczyła, niech pani odłoży słuchawkę.

W następnej sekundzie zaległa cisza.

Werens wybiegł z mieszkania. Czas działał na jego niekorzyść. Cecylia zapewne już wyruszyła do domu Wiktora i Klaudii. Paweł nie wątpił, że jej zamiary nie są szlachetne. Po co jej powiedział o tym odkryciu? Wpierw powinien sam sprawdzić ten trop, a dopiero potem powiadamiać o swoich ustaleniach. Wiedział już, że Cecylia leczyła się psychiatrycznie i jest potencjalnie niebezpieczna. Co planuje? Czy to ona zabiła swojego ojca? A może jeszcze ktoś inny uczestniczy w tej makabrycznej grze? Co go spotka na miejscu? Pomyślał, że powinien powiadomić Klaudię. Wyjeżdżając z miasta, zadzwonił ponownie na informację telefoniczną. Poprosił o numer weterynarza we wsi Zakałcze. Po pięciu minutach już go miał. Wybrał numer. Tyle tylko, że nikt nie odpowiadał. Co jakiś czas próbował się połączyć. Gnał po śliskiej drodze na granicy bezpieczeństwa. Modlił się, aby na poboczu nie dopadli go policjanci z drogówki. Na razie miał szczęście. Mijał kolejne miejscowości. Dotarł do Węgorzewa. Dalej, tą samą drogą numer 650, popędził na północny wschód. We wsi Popioły skręcił w lewo. Do celu było już tylko kilka kilometrów.

Cecylia uważnie obserwowała obejście z ukrycia. W domu paliły się światła. Panowała cisza i spokój. Po podwórzu biegał duży pies. Jeszcze jej nie wyczuł. Z niewielkiej torby wyciągnęła saszetkę mokrej psiej karmy, rozerwała ją i doprawiła bezbarwnym i bezwonnym proszkiem. Zawołała psa. Sporych rozmiarów owczarek ruszył nastroszony w jej kierunku. Szczekał i warczał. Kiedy cisnęła mu pod nogi pachnącego tuńczyka, zamachał radośnie ogonem i łapczywie rzucił się na jedzenie. Cecylia obserwowała go z uwagą. Pies początkowo zachowywał się normalnie. Skończył posiłek i ruszył w poszukiwaniu kolejnej saszetki. Po trzech minutach poczuł pierwsze skurcze mięśni. Trucizna zaczęła atakować układ nerwowy. Pies poczuł wielki ból w kłębie i pysku. Za chwilę rozlał się na łapy. Zwierzę zaczęło się nienaturalnie wyginać w łuk. Skurcze nasiliły się. Cecylia wiedziała, że nawet promienie słoneczne, ptaki krążące nad gospodarstwem i jej obecność przerażają go. By zadać mu jeszcze większy ból, klasnęła w dłonie. Pies błyskawicznie umierał. Mimo to był przytomny. Teraz leżał w śniegu z wykręconymi kończynami, miał wytrzeszczone oczy. Po kolejnych pięciu minutach nie żył. Strychnina zrobiła swoje. Cecylia mogła teraz przystąpić do dalszego działania. Z ukrytego w zagajniku samochodu przyniosła kanister benzyny. Ruszyła z nim w kierunku domu. Oblała drzwi. Nagle dostrzegła przez okno jakąś postać. Schyliła się, lecz najwyraźniej ją również zauważono. Łysiejący mężczyzna w białej koszuli, na którą miał narzuconą skórzaną kamizelkę, wyszedł przed dom. Cecylia w tym czasie skryła się za drzwiami. Gospodarz rozejrzał się po podwórku. Dostrzegł leżącego psa. Chciał pobiec w jego kierunku, ale wtedy poczuł silne uderzenie w kark. Stracił przytomność. Cecylia stała nad nim ze złamanym trzonkiem od grabi. Od chwili przybycia do wsi czuła się coraz gorzej. Dysforia wracała. Atak choroby, na którą zachorowała w dzieciństwie i trafiła do szpitala psychiatrycznego, zbliżał się nieuchronnie. Od wielu tygodni nie brała lamotryginy, leku, który odstawiła z powodu bezsenności. Uznała, że jej nie pomaga. W istocie u niektórych

pacjentów wywoływał on skutki uboczne, takie jak ból głowy, zmęczenie i nudności, ale był jedynym skutecznym lekiem w walce z chorobą. Teraz Cecylia czuła wielki gniew. Musiała dać mu ujście. Stojąc nad rannym mężczyzną, wzięła zamach i zaczęła okładać go drewnianym trzonkiem. Odzyskał na moment przytomność. Zakrył głowę dłońmi, w które waliła z szaleńczą zaciekłością. Po chwili mężczyzna leżał w kałuży krwi. Atak coraz bardziej się nasilał. Cecylii było jednak ciągle mało. Weszła do domu. Minęła duży pokój, za którym był kolejny, mniejszy.

Klaudia z podkulonymi nogami siedziała na fotelu. Była odwrócona plecami do Cecylii. Nieświadoma zbliżającego się niebezpieczeństwa oglądała telewizję. Nagle poczuła, że ktoś zarzuca jej na szyję szalik i zaczyna go zaciskać. Przerazona, w odruchu samoobrony próbowała zerwać z siebie pętlę. Wciśnięta w fotel, nie była w stanie się z niego poderwać. Napastnik nie ustępował, jeszcze mocniej zaciskał materiał na szyi swojej ofiary. Przy tym wykrzykiwał wprost do jej ucha jakieś potworne przekleństwa. Klaudia czuła, że traci przytomność. Już rozpoznała ten głos! Po chwili jednak jej ciało osunęło się z fotela na dywan.

Werens dotarł do wsi. Ma przystanku PKS natrafił na jakąś zakochaną parę nastolatków. Zapytał o dom weterynarza. W pierwszym odruchu chciał poprosić ich o pomoc, lecz uznał, że Cecylia jest tak niebezpieczna, że nie ma prawa narażać tych młodych ludzi na niebezpieczeństwo. We wsi nie było posterunku policji, a posiłki z Gołdapi przybyłyby za późno. Podjechał samochodem pod dom weterynarza. Brama wjazdowa była zamknięta. Rozejrzał się wokół. W zagajniku stał samochód z olsztyńską rejestracją. Czyżby Cecylii? Więc się spóźnił. Jak bardzo, miało się okazać w następnej chwili. Wszedł na podwórze. Minał zabitego psa. Widok był przerażający. Przed drzwiami zobaczył wielką plamę krwi i ślady ciała wciąganego do domu. Poczul zapach benzyny. Cały drżał. Wiedział, że ma do czynienia z bardzo niebezpieczną

osobą. Do tego chorą. Zdolną do wszystkiego. Zajrzał do wnętrza przez okno.

Wiktor Musz leżał na środku pokoju w kałuży krwi. Patrzył w kierunku stołu, za którym zasiadła Cecylia. W rękę miała wielki kuchenny nóż. Klaudia była przywiązana białym sznurem do fotela. Na jej szyi błyskawicznie tworzyła się sina obręcz. Innych śladów walki nie było. Cecylia wyglądała potwornie. Umazana krwią Wiktora, roztrzęsiona. W jej oczach widać było szaleństwo.

- Znalazłam ciebie, Wiktorze - Cecylia rozpoczęła ponury monolog. - Tyle lat to trwało. Ale wreszcie się udało! Od zawsze ciebie nienawidziłam. Tej twojej dobroci. Tych cholernych zasad. Nasz ojciec chciał, żebyśmy byli tacy jak on. Ale ty odrzuciłeś jego wolę. Uciekłeś od nas. Zmieniłeś nazwisko i ukryłeś się wśród tych lasów i jezior. Umyłeś ręce. I tego nie mogę ci wybaczyć! Zostawiłeś mnie z nim samą. Swoją młodszą siostrę... Początkowo walczyłam. Buntowałam się. Ale on był silniejszy. Czy ty wiesz, co ja przesłam? Co on ze mną robił? Jaki potrafił być okrutny? Jako weterynarz pewnie wiesz, co to jest blizna glejowa. Ja mam taką. Powstała po tym, jak uderzył mnie w głowę i konieczna była operacja. Od tej pory mam ataki padaczki. Myślisz, że to go poruszyło? Powiedział mi po wyjściu ze szpitala, że przez tę epilepsję jestem wyjątkowa. Jak Sokrates i Napoleon Bonaparte albo Juliusz Cezar. On potrafił wmówić wszystko! Nawet i to, że spanie z nim jest czymś naturalnym. Pierwszy raz mnie posiadał, kiedy jeszcze żyła mama. Nie udawaj zdziwionego! Dobrze wiedziałeś, co ze mną robi! I mi nie pomogłeś! Bydlaku!

- To nieprawda! Nie wiedziałem! - Wiktor uniósł się nieco z dywanu.

- Nie przerywaj mi! Słyszysz?! Kiedy mówię, nikt nie ma prawa się odzywać! To też mam po nim. Z czasem się przyzwyczaiłam, że mnie gwałci. A nawet zaakceptowałam to i jeśli mi uwierzysz, nawet polubiłam. Nie był dobry w łóżku. Potem wciągnął mnie do tego swojego bractwa. Tam poznałam

lepszyc kochanków. Robiłam mu to na złość. Wpadał w szal, kiedy się dowiadywał o moich, zdradach. Bo według niego to była zdrada. I ja go rozumiałam. Kochał mnie. Tak jak i ja pokochałam jego. Jak kobieta mężczyznę. Parę lat temu pierwszy raz zabrał mnie do piramidy.

Pojechaliśmy tam we dwoje. Gdybym wiedziała, że jesteś tak blisko! Ojciec twierdził, że piramida ma cudowne właściwości. Przybywali do niej ludzie, by im pomogła. Ładowali w niej energię. Pruscy księżęta, myśliciele, filozofowie. Najdalej posunął się Hitler, który nakazał wybudować podziemne przejście do jej wnętrza. Ojciec odkrył je i wykorzystywał. Twierdził, że pole magnetyczne poprawia jego witalność. W rzeczywistości był już dawno do niczego. Od czasu zamachu na papieża ukrywał się pod grobowcem. Jakby już za życia zamieszkał w grobie.

Cecylia wstała i podeszła do Klaudii. Ostrze noża przystawiła do jej szyi.

- I wtedy pojawiła się ta podstępna suka. Nie wiem, jak na mnie trafiła. Dość, że wywróciła nasze życie. Mów, mała suko! Masz ostatnią okazję, by się bronić!

Klaudia odzyskała przytomność i z trudem zaczęła mówić:

- Ojciec nigdy nie chciał mówić o swojej rodzinie - zaczęła. - Kiedy go pytałam, odpowiadał, że jego bliscy zginęli w wypadku. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, odkryłam jego świadectwo maturalne. Byłam kompletnie zaskoczona. Na tym dokumencie widniało nazwisko Garde. Pokazałam mu je. Nie miał wyjścia. Powiedział mi, że to panięńskie nazwisko jego matki. Wtedy zapytałam o ojca. Bardzo się zdenerwował i zakazał mi o niego kiedykolwiek pytać. Nie dałam za wygraną. Naciskałam kilka lat. Wreszcie pękł.

Powiedział, że ma siostrę, z którą nie utrzymuje kontaktów. Faktycznie, nie wiedział, gdzie mieszkasz. Ale ja już nie mogłam zejść z tej ścieżki. Nazwisko Garde nie jest zbyt częste. A już Cecylia Garde może być tylko jedna. Znalazłam ciebie w takiej starej gazecie, która wychodziła przy SGPiS. Tam studiowałam. Tyle wyciągnęłam od ojca. Zdjęcie przedstawiało piękną dziewczynę z długimi włosami.

Klaudia przelknęła ślinę. Mówienie sprawiało jej ból.

- Pojechałam do Warszawy. Odnalazłam człowieka, który zrobił to zdjęcie. Był twoim kolegą z roku. Powiedział mi, że po studiach zrezygnowałaś z propozycji pracy na zagranicznej placówce. Nie mógł tego zrozumieć. A ponieważ się w tobie kochał, ustalił, że zamieszkałaś z ojcem w domu nad Baudą. Oczywiście, pojechałam tam. I wtedy poznałam twojego ojca. Mojego dziadka. Nie wiedział o moim istnieniu. Ta wiadomość go wyraźnie poruszyła.

- Wtargnęłaś w nasze życie. Kto dał ci prawo?! Zniszczyłaś je!

- Ojciec zareagował panicznie na wieść, że was odnalazłam. Nie wiedziałam, dlaczego. Dopiero potem zrozumiałam, kim jesteście. Zabronił mi kontaktów z dziadkiem. O to żeśmy się pokłócili. Zabrałam rzeczy i przeniosłam się nad Baudę.

-Ty suko! Ukradłaś mi go! Omotałaś, uwiodłaś! Już nie kochał mnie tak jak wcześniej. Nie nazywał „najdroższa”. Cieszył się tobą jak nową zabawką. Ty tania dziwko! To przez ciebie trafiłam do szpitala! Do wariatów. Ja wariatką! Jestem silna i zdrowa!

- Odwiedzałam ciebie, ciociu. Tam poznałam Eryka.

- Eryk? Ten głupiutki Eryczek! Łatwo go uwiodłam. To dlatego przestał się z tobą spotykać. Nie powinien jako mój lekarz angażować się w ten romans. Ale to zrobił. Kazałam mu wynająć mi to mieszkanie, do którego zwabiłam Werensa. Ten dziennikarz nadał się idealnie do mojego planu. Zmyśliłam historyjkę o zaginionej córeczce. Liczyłam na to, że ciebie odnajdzie. Nie zawiodłam się. Idiota. Zaczął pracować dla mnie. Nagle odkrył kłamstwo z wynajętym mieszkaniem. Wtedy na chwilę zwątpiłam. Plan się rozpadał. Ale zaryzykowałam i zadzwoniłam do niego. Bajeczka w restauracji znowu zadziałała. Zrobię dla pani wszystko, tak powiedział! Przekonał go kawałek bandaża na ręce. Gdyby wtedy zajrzał pod niego... A Eryk, ten głupiec, skoczyłby dla mnie w ogień! Był naiwnym dzieciakiem. W jego przypadku samobójstwo było tylko kwestią czasu. A z wami, tobą i Wiktorem, trzeba było coś zrobić. Musieliście zniknąć z mojego życia. Nie wiedziałam tylko, gdzie jest twój ojciec?

- Zabronił mi o tym mówić.

- Tylko dlatego jeszcze żyje. Ale już wkrótce to się zmieni. Zdechniecie oboje. Tak jak mój ojciec, który okazał się podłym zdrajcą! Nie potrafiłam mu wybaczyć. Jak mógł wybrać takie coś? Namówiłam Eryka, żeby ze mną pojechał. Bał się. Ale kiedy dowiedział się, że ojciec ciebie zgwałcił, wpadł w szal. On chyba ciągle ciebie kochał.. Wystarczyło mu tylko podsunąć narzędzie. Prymitywną maczetę. Zabił go natychmiast. Kazałam mu odciąć głowę ojca, a ciało spalić.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Gdybyś była z nim tyle lat, co ja, wiedziałabyś, że przez wieki karą za morderstwo i bałwochwalstwo było ścięcie. On dopuścił się obu tych czynów. Zabił wielu ludzi.

- A bałwochwalstwo?

- Jego bożkiem zostałaś ty. Zgrzeszył. Ale to była zbyt mała kara dla niego. Należało go spalić. Bo kazirodztwo powinno być ukarane spalaniem!

I ty też, przez to, że obcowałeś z nim, zostaniesz spalona!

- O czym ty mówisz, Cecylio? On mnie nie dotknął! To był stary, schorowany człowiek! Myślałam, że mnie lubi. Chyba nawet zaprzyjaźniłam się z nim. To wszystko. A kiedy zaczął się zachowywać dziwnie, uciekłam do mojego ojca. Bałam się dziadka. On był bardzo złym człowiekiem.

- Łżesz, dziwko! Ale to już ci nie pomoże. Ani jemu, zdrajcy, który kiedyś był moim bratem. Spłoniecie oboje!

Werens słuchał tych słów i kręciło mu się w głowie. To, co właśnie usłyszał, wstrząsnęło nim do głębi. Zrozumiał, że po raz trzeci dał się oszukać. Cecylia wyglądała niczym upiór. Z jej przedramienia zniknął bandaż, który miał kryć rzekomą ranę z wypadku. Ta kobieta zmanipulowała Eryka. Namówiła go do dokonania morderstwa. Młody lekarz w więzieniu popełnił samobójstwo. Nie był w stanie udźwignąć ciężaru zbrodni. Ale nie pora była na analizowanie zdarzeń. Werens musiał natychmiast podjąć działanie. Czas płynął nieubłaganie. Choroba Cecylii była coraz bardziej widoczna. Kobieta wpadła w

szal. Zaczęła przewracać meble. Krzesła, regały z książkami, rzucała o ściany talerzami ze świątecznej zastawy. Wielkim nożem cięła poszycie kanapy, zasłony w oknach. Werensowi zdawało się nawet, że go dostrzegła. Jednak ona była zamroczona agresją. Klaudia i Wiktor próbowali kryć się przed odłamkami szkła i porcelany, które pryskały na podłogę. Najstraszniejszy był ogrom siły, jaką ciągle miała Cecylia. Nie wykazywała zmęczenia. Teraz ruszyła w kierunku szafy. Najwyraźniej chciała nią zabarykadować drzwi. Czyżby też zamierzała spłonąć? Na chwilę odłożyła na stół nóż. Werens wiedział, że to ostatni moment, aby ruszyć na pomoc uwięzionym ludziom. Łokciem wybił szybę w oknie i wskoczył do środka. Czuł, jak szkło rani mu dłoń i ramię. Błyskawicznie pojawiła się krew. Co gorsza, Cecylia zauważyła jego wtargnięcie i pobiegła po nóż, który zostawiła na stole. Była szybsza od Werensa.

- Jeszcze i ty?! - wrzasnęła dziko. - Zginiesz razem z nimi! - Szła wolno w jego kierunku. Ostrze noża trzymała przed sobą na wysokości żołądka. Jedno celne pchnięcie i będzie po nim.

W tej chwili stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Pod nogami Cecylii pojawił się lis. Ten sam, którego wcześniej widział Dera. Rekonwalescent, ukryty dotychczas za szafą, straciwszy naturalną kryjówkę, wybiegł na środek pokoju. Jego widok tak zaskoczył Cecylię, że wypuściła z dłoni nóż. Werens wykazał się refleksem. Jednym susem dopadł niedoszłej morderczyni i powalił ją na podłogę. Przetoczyli się w kierunku Wiktora. Cecylia znalazła się na górze. Zaciśnęła dłoń na tętnicy szyjnej Pawła. Ciągle była bardzo silna. Jej żelazny uścisk sprawiał, że krew nie dochodziła do mózgu. Było jasne, że za chwilę straci przytomność. Nagle Cecylia opadła na niego bezwładnie. Werens resztkami sił zepchnął ją z siebie. Powoli otworzył oczy. Przy nim leżała nieprzytomna kobieta. Wyteżył wzrok i przez mokre od łez źrenice dostrzegł kontur mężczyzny. Po chwili widział wyraźnie zalanego krwią Wiktora, który chwał się na nogach, opierał dłonią o stół. W drugiej trzymał drewnianą nogę od krzesła.

- Dziękuję - wycharczał Werens.

- To my dziękujemy tobie - odparł Wiktor i opadł na kolana. Na czworakach dotarł do córki przywiązanej sznurem do fotela. Kawalkiem ostrego szkła przeciął więzy. Rzucili się sobie w ramiona.

Prawie równocześnie cała trójka skierowała wzrok na Cecylię. Leżała nieprzytomna, z jej głowy wypływała cienka strużka krwi. Weterynarz zostawił córkę, wstał i na ugiętych nogach poczłapał do siostry.

- Żyje - powiedział po chwili. - Trzeba jej zatamować krew.

Kiedy skierował kroki do gabinetu, ukryty za szafą lis wysunął ciekawsko pyszczek. Werens pomyślał, że zwierzak zapewne wolałby teraz być w swoim lesie. Życie między ludźmi nie należało do najłatwiejszych.

Epilog

31 grudnia 2006, niedziela

Aspirant Adam Dera zajechał pod dom Werensa służbowym ARO 10. Wsiadł z niego żwawo i po schodach dotarł do mieszkania dziennikarza. Pies za drzwiami wyczuł obecność człowieka i zaczął szczekać. Po chwili drzwi otworzył Werens. Mężczyźni rzucili się sobie w objęcia.

- Zbieraj się - powiedział Dera.

- Już jestem gotowy! Czekałem na ciebie.

Zbiegli na dół. Dera zajął miejsce za kierownicą, a Paweł usiadł obok niego.

- To już ostatni kurs - rzucił policjant - prawie wszystko przewiozłem.

- Nie lepiej byłoby wziąć bagażówkę?

- Może i lepiej. Ale co ja z tego będę miał? Tak przynajmniej co drugi dzień przyjeżdżam na stare śmieci. I mam wytłumaczenie.

- Jak wam się tam żyje?

- Żona po tym, co się stało, powiedziała, że nie pozwoli, abym mieszkał na wsi sam. Myślę, że to tylko połowa prawdy. Spodobało jej się tam. Wiesz, te lasy! Powietrze! Gorzej z córką. Zostawiła przyjaciółki. Ale przecież zaraz nas i tak opuści. Wybiera się na studia do Warszawy. Mam tam dobrego kolegę w policji. Będzie pretekst, żeby się odwiedzać. A co z twoim ojcem?

- Lekarze mówią, że najgorsze już minęło. Ciągłe jest w szpitalu. Byłem u niego dzisiaj rano. Nie uwierzysz, ale się do mnie uśmiechał. A w przyszłym tygodniu zabieram go do domu. Po Nowym Roku poszukam fachowej opieki dla niego. Wiesz, same chęci nie wystarczą. Potrzeba doświadczenia i wiedzy fachowej. Chyba też zacznę pisać nową książkę. Mam

kilka pomysłów. Pieniądze również się przydadzą.

Pojechali do szpitala miejskiego.

- Wiesz - zaczął Dera - przez ten cały czas myślałem nad planem, który ułożyliśmy, by uwolnić Lenę od Aleksandra.

- Ja też o nim myślałem. To było bardzo ryzykowne. Dobrze, że nie trzeba było tego robić.

- To prawda.

- A tak z ciekawości zapytam, jak chciałeś to przeprowadzić?

- Cóż, wszystko zależało od okoliczności. Lena miała podjąć próbę samobójczą. Jak wiesz, za taki czyn Aleksander, który ją do tego doprowadził, dostałby dziesięć lat więzienia. Taką karę przewiduje kodeks karny za stalking. Ja miałem ją uratować i świadczyć przeciwko jej prześladowcy. Wiesz, co teraz myślę?

- Mniej więcej.

- Zwariowaliśmy wszyscy! Lenę jestem w stanie zrozumieć, ale nas?!

- To prawda. Czas był szalony, a nasze pomysły jeszcze bardziej. Przecież gdyby jej się coś stało, obaj byśmy poszli siedzieć.

- Nie musisz tego mówić policjantowi. Chciałem złamać wszelkie zasady i przepisy. Myślę nad dymisją. Z drugiej strony - właśnie ściągnąłem rodzinę do siebie. Czuję się podle. Nie wiem, co będzie dalej.

- Adamie, tym razem się udało. Ale umówmy się, że już nigdy żaden z nas nie zaproponuje równie głupiego pomysłu.

- Zgoda. Tyle tylko, że ja myślę o tym każdego wieczora, kiedy kładę się spać. To się nazywa „wyrzuty sumienia”.

- Wiesz co? Ze mną nie jest lepiej.

- Zdaje się, że musimy z tym żyć. To nasza kara.

Zostawili samochód i weszli do budynku. Werens

obawiał się, czy personel go przypadkiem nie rozpozna i w następnej chwili nie wyrzuci za drzwi. Po tym, jak z krzykiem ganiał za Aleksandrem po korytarzu, wszystko było możliwe. Ale nikt nie zwrócił na nich uwagi. Doszli do pokoju Leny. Rozpoznała ich, co było bardzo dobrą wiadomością. Lekarze ostrzegali przecież przed możliwymi problemami z orientacją w czasie i przestrzeni spowodowaną wyziębieniem. Lena Lipska

nie wyglądała najlepiej, ale nie to było najważniejsze. Powoli wracała do zdrowia. Obaj mężczyźni wycalowali ją, podarowali zakupione w przyszpitalnej kwiaciarni róże. Widać było, że jest wzruszona. Obsiedli ją po obu stronach łóżka i opowiedzieli ze szczegółami wydarzenia ostatnich dni. Słuchała z wielką uwagą. Werens zakończył opowieść informacją, że Cecylia Garde trafiła na obserwację psychiatryczną.

- Biedna, nieszczęśliwa kobieta - powiedziała Lena. - Zaczynała życie pełna planów, nadziei i ufności. To nie jej wina, że miała takiego ojca. Zamienił życie tej rodziny w piekło. Taki współczesny król Tyru.

- A któż to taki? - zapytali prawie jednocześnie.

- W Księdze Ezechiela znajduje się fragment mówiący o królu biblijnej krainy - Tyru - Lena z trudem, wolno zaczęła recytować:

- „Byłeś odbiciem doskonałości,
pełen mądrości i niezrównanie piękny”.

Poprosiła o szklanekę z wodą. Zamoczyła w niej usta, potem dokończyła:

- „Sprawiłem, że ogień wyszedł z twego wnętrza,
aby cię pochłonąć,
i obróciłem cię w popiół na ziemi
na oczach tych wszystkich, którzy na ciebie
patrzyli”.

Mężczyźni długo milczeli. Pierwszy odezwał się Dera.

- Wszystko to prawda. Jerzy Szubert urodził się jak każdy z nas jako dobry człowiek. Zrobił wielką karierę. Posiadał władzę, wpływy i pieniądze. Z czasem stał się zbrodniarzem, kazirodcą i mordercą. Jego umysłem zawładnęły pycha i zło.

- Ezechielowi chodzi o to, że król Tyru to diabeł - powiedziała ponuro Lena i przeraziła się własnych słów.

- Szubert diabłem!?! - Werens poczuł na plecach chłód.

- Tak, to możliwe. - Dera wzdrygnął się. - Ale już go nie ma i

nigdy nie będzie.

- Czyżby? - Lena uniosła się z posłania. - Czy myślicie, że na tym świecie był tylko jeden król Tyru?

Zamilkli. Zrozumieli, że chodzi jej o innego diabła, który pojawił się na ziemi. Nosił imię Aleksander i porwał jej córeczkę. Gdzie ona teraz może być?

Funkcjonariusze straży granicznej w Świecku od kilku dni wypatrywali srebrnego audi A6 z rejestracją niemiecką. Poszukiwali też mężczyzny z dziewięcioletnią dziewczynką. Mieli w rejestrze ich dane i zdjęcia. Za pół godziny zaczynał się Nowy Rok. Siedzieli w służbowym samochodzie ubrani w ciepłe kurtki okryte żółtymi kamizelkami. Słuchali radia nadającego największe hity. Funkcjonariusze byli młodzi. Służba w sylwestrową noc nie należała do przyjemnych. Dlatego kiedy obok nich zatrzymała się duża furgonetka z grupą rozbawionych studentek, przyjęli pojawienie się atrakcyjnych kobiet z wielką radością. Dziewczyny w szampańskich humorach zapragnęły przywitać z nimi Nowy Rok. Wpadły na ten pomysł spontanicznie. Kto bawi się z uzbrojonymi mężczyznami w taki dzień? Będą jutro miały co opowiadać. Młodzi funkcjonariusze nie widzieli przeciwwskazań do zabawy. Do północy pozostawał kwadrans. Świat nie zawali się przez tych piętnaście minut, które spędzą we wnętrzu przesiąkniętej alkoholem, perfumami, głośną muzyką i nikotyną furgonetce. Strażnicy stanowczo odmówili picia alkoholu. Poczęstowali się kanapkami. O północy całe towarzystwo opuściło samochód i na poboczu otworzyło szampana. Teraz nawet funkcjonariusze straży granicznej nie odmówili -wypicia symbolicznej lampki alkoholu. Zaczęto składać sobie życzenia. Kiedy rozbawieni ludzie rzucili się sobie w objęcia, obok nich wolno przejechało niepozorne czarne suzuki. Aleksander pomachał rozbawionym biesiadnikom i pojechał na Zachód. Na tylnym siedzeniu spała dziewięcioletnia Ewa.

Od Autora

Niechaj będzie mi wolno w tym miejscu podziękować żonie, która zawsze wspiera moje działania, jest pierwszym, często krytycznym czytelnikiem. Tworząc kolejną część przygód Pawła Werensa, korzystałem z Biblii Tysiąclecia (Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1990). Piramida w Rapie istnieje. Jest miejscem chętnie odwiedzanym przez turystów. Do jej wnętrza od lat nie ma dostępu. Nie wiadomo, czy tunel pod budowlą rzeczywiście został zbudowany. Jedno jest pewne: na kartach mojej powieści wędruje nim Adam Dera. Takie to moje prawo autora, by powoływać do życia niezwykle światy. Czytelników tej książki zachęcam do odwiedzania Warmii i Mazur - krainy lasów, jezior i setek budowli, które zamieszkiwali niezwykli ludzie tworzący historię tych ziem. Wszelkie podobieństwo bohaterów książki do osób żywych lub zmarłych jest przypadkowe. Za ewentualne błędy odpowiedzialność ponoszę wyłącznie ja.

Tomasz Białkowski

W zamurowanym grobowcu rodu Fahrenheitów turysta znajduje spalone ciało pozbawione głowy. W okolicy zostaje zatrzymany przez policję młody lekarz szpitala psychiatrycznego. Mężczyzna w areszcie popełnia samobójstwo. Wcześniej opiekował się wnuczką generała Szuberta. Teraz dziewczyna zaginęła. Czy trup w grobowcu to zaginiona? Jeśli nie, to kim jest ofiara? Gdzie ukrywa się wnuczka generała?

Zrozpaczona matka dziewczyny zwraca się z prośbą o jej odnalezienie do Pawła Werensa. Rozpoczyna się pełne tajemnic i niebezpieczeństw śledztwo...

Tomasz Białkowski – polski prozaik z ciekawym dorobkiem literackim. Debiutował w 2002 roku zbiorem opowiadań *Leze*. Później wydał powieści: *Dłużny, Pogrzeby, Mistrzostwo świata, Zmarzlina* i *Teoria ruchów Vorbla*. Napisał również sztukę *Drzewo*. Jego książki były wielokrotnie nagradzane. Dotychczas ukazały się dwie części serii opisującej śledztwa dziennikarza Pawła Werensa – *Drzewo morwowe* i *Kłamca*.

Blog autora: www.tomaszbialkowski.blogspot.com

Z recenzji „Kłamcy”

„Trzeba przyznać, że Tomasz Białkowski ma talent do konstruowania szybkich i wciągających fabuł. Tak było w *Drzewie morwowym* tak jest i w *Kłamcy*. Trudno się od tych powieści oderwać”.

Marta Guzowska „Zbrodnicze Siostrzyczki”

„Historia, która trzyma czytelnika w napięciu, a im bliżej jest finału, tym trudniej wrócić do realnego świata, tym szybciej kartkuje się stronę za stroną. Nie liczy się nic, prócz chęci rozwiązania zagadki, jaką przygotował nam Białkowski”.

Beata Sarnowska „Czytajmy Polskich Autorów”

cena: 29,90 zł
(w tym 5% VAT)

Patronat:



ISBN 978-83-935772-8-6



9 788393 577286

lesiojot